

# **Erle Stanley Gardner**

## **Sprawa haczyka z przynętą**

Przełożył Bartłomiej Madejski

Wydawnictwo Dolnośląskie

### **OSOBY:**

OLE - zaspany windziarz

ROBERT PELTHAM - przebiegły architekt

„KOCHANKA W MASCE” - ma połowę przynęty

DELLA STREET - sekretarka par excellence

GERTIE - recepcjonistka

ABIGAIL ESTHER TUMP - ma wyobraźnię i jest ambitna

PAUL DRAKE-szef Agencji Detektywistycznej Drake’a

ALBERT TIDINGS - niewiarygodny powiernik

NADINE TIDINGS - jego zgnębiona żona

SIERŻANT HOLCOMB - z wydziału zabójstw

BYRL GAI LORD - próbuje wejść na salony

CARL MATTERN - sekretarz Tidingsa

PAN LOFTUS - starszy partner w biurze maklerskim Loftus & Cale

PAN GANTEN - doradca prawny w biurze Loftus & Cale

EMERY B. BOLUS - prezes Western Prospecting Company

ADELLE HASTINGS - dziedziczka bez grosza

ARTHMONT A. FREEL - szacowny szantażysta

HAMILTON BURGER - prokurator okręgowy oraz

PERRY MASON

### ***Rozdział 1***

Dwie osoby w mieście znały zastrzeżony numer telefonu Perry’ego Masona. Jedną była Della Street, jego sekretarka, a drugą Paul Drake, szef Agencji Detektywistycznej Drake’a.

Była burzliwa noc na początku marca. Deszcz od czasu do czasu walił o szyby, a wiatr wiał na gzymsach i wciskał się do mieszkania Masona przez lekko uchylone okna. Dął w

firanki, które co chwilę przybierały najdziwniejsze kształty białych duchów, a potem opadały i zwisały nieruchomo.

Mason otrząsnął się z obezwładniającego, głębokiego snu, który nadchodzi w pierwszej części nocy, i sięgnął ręką, szukając dzwoniącego telefonu.

Niepewne palce przez chwilę nie mogły odnaleźć aparatu.

Prawa dłoń adwokata dotknęła wreszcie łańcuszka zwisającego z lampy nad łóżkiem. Równocześnie lewa zaplątała się w kabel i ściągnęła telefon na podłogę.

W pełni już rozbudzony, Mason odnalazł aparat, przyłożył słuchawkę do ucha i powiedział:

- Boże, Delio, nie potrafisz pójść spać o przyzwoitej porze?

- Pan Mason? - odezwał się męski głos.

- Tak, kto mówi? - odpowiedział zdziwiony prawnik.

- Cash.

Mason usiadł w łóżku i oparł się o poduszkę.

- Świetnie - powiedział. - Jak się ma Carry?

W głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Carrie? - spytał. - Nie mam pojęcia, o kogo panu chodzi.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Mason pogodnie - skoro pan jest Cash, musi pan znać Carry'ego.

- Aha, żart - odezwał się głos tonem obrażonej godności człowieka pozbawionego poczucia humoru. - Nie zrozumiałem.

- Dlaczego pan dzwoni? - spytał Mason.

- Chcę przyjść do pańskiej kancelarii.

- A ja chcę zostać w łóżku.

Rozmówca adwokata odezwał się, cedząc słowa:- Panie Mason, w portfelu mam dwa tysiąc dolarowe banknoty. Jeżeli zechce pan przyjść do kancelarii i przyjąć sprawę, którą pragnę panu zlecić, dam panu te dwa banknoty jako zaliczkę. Zatrószczę się również, aby otrzymał pan dziesięć tysięcy dolarów, jeżeli poproszę pana o podjęcie czynności w moim imieniu.

- Morderstwo? - spytał Mason.

Głos zawahał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Nie.

- Jak pan się naprawdę nazywa?

- Przykro mi, ale nie mogę tego panu powiedzieć. Mason odezwał się zirytowany:

- Wystarczą dwa centy, żeby zadzwonić i obiecywać wielkie pieniądze. Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia, zanim pójde do kancelarii.

Głos odezwał się po chwili wahania:

- John L. Cragmore.

- Gdzie pan mieszka? - 5619 Union Drive.

- W porządku - powiedział Mason - będę w kancelarii za dwadzieścia minut. Zdąży pan?

- Tak - odparł mężczyzna i dodał uprzejmie, zanim odłożył słuchawkę - dziękuję panu.

Mason wygrzebał się z łóżka, zamknął okna i wziął do ręki książkę telefoniczną. Nikt o nazwisku Cragmore nie mieszkał pod tym numerem na Union Drive.

Mason wykręcił numer Agencji Detektywistycznej Drake'a. Telefonistka na nocnej zmianie odezwała się znudzonym, monotonnym głosem:

- Agencja Detektywistyczna Drake'a.

- Tu Mason - rzucił krótko adwokat. - Jestem umówiony w biurze za dwadzieścia minut. Klient prawdopodobnie przyjedzie samochodem. Ustawcie po jednym człowieku na każdym rogu. Niech sprawdzą numery rejestracyjne wszystkich samochodów, które zaparkują na ulicy. Dowiedźcie się wszystkiego, czego się da. Wpadnę do agencji, zanim pójde do kancelarii.

Mason odwiesił słuchawkę, zdjął piżamę i zaczął się pośpiesznie ubierać. Na zegarku było dziesięć minut po północy. Przeciągnął grzebieniem przez splątane włosy, wbił się w płaszcz przeciwdeszczowy, rozejrzał się szybko po mieszkaniu, podszedł do telefonu i polecił portierowi, żeby podstawiono mu jego samochód. Wyłączył światła, zamknął za sobą drzwi i wezwał windę. Czarny windziarz spojrzał na niego z ciekawością.

- Strasznie mocno leje, panie Mason.

- Jak z cebra? - spytał Mason. Chłopak pokazał białe zęby w uśmiechu.

- Nie, proszę pana. Jak z sikawki. Dokądś się pan wybiera?

- Niegodziwi nie zaznają spokoju - odrzekł Mason. Chłopak wywrócił oczy ku górze i spytał:

- Znaczy, pan jest niegodziwy?

- Nie - odpowiedział Mason z uśmiechem, gdy winda zatrzymała się delikatnie na parterze - moi klienci.

Przywitał się z nocnym portierem i spytał:

- Przekazał pan moje polecenie?

- Tak, panie Mason. Samochód czeka. Okropna pogoda.

Mason pokiwał głową w zamyśleniu, rzucił klucz na biurko i ruszył w kierunku schodów prowadzących do garażu. Poły jego płaszcza owijały się wokół nóg stawiających długie kroki. Portier patrzył z zaciekawioną miną, przez chwilę ważąc w ręce klucz, zanim odłożył go do odpowiedniej przegródki.

Adwokat odpowiedział kiwnięciem głowy na pozdrowienie pracownika garażu, wsunął się za kierownicę wielkiego coupe i z rykiem silnika ruszył spiralnym podjazdem. Na zewnątrz dopadł go wiatr, a ulewny deszcz zaczął walić w karoserię. Po przedniej szybie spływały strugi wody. Mason włączył wycieraczki, wrzucił drugi bieg i ostrożnie zjechał z chodnika w wodę płynącą po jezdni.

Światła reflektorów odbijały się od rozprysków kropli deszczu uderzających o ziemię. Mason wrzucił wyższy bieg i ruszył przez mokre i wymarłe ulice.

Nie dostrzegł żadnego samochodu przed budynkiem, w którym była jego kancelaria. Na parking, gdzie wynajmował stałe miejsce, stały tylko dwa nierzucające się w oczy samochody Agencji Detektywistycznej Drake'a. Zaparkował, zamknął samochód i ruszył w burzę. Deszcz bił w twarz, woda płynęła strumieniami po płaszczu i rozpryskiwała się pod stopami. Mason z zasady nie nosił parasola, więc wbił dłonie głęboko w kieszenie, pochylił głowę, stawiając czoła ulewie, i ruszył przez kałuże w kierunku drzwi prowadzących do oświetlonego holu budynku.

Plamy wody powiedziały mu, że ktoś wszedł przed nim. Wezwał windę, która nadjechała dopiero po minucie. W środku był zaspany Szwed, obsługujący windy na nocnej zmianie.

- Nieźle leje - powiedział i ziewnął.

Mason odszedł parę kroków, żeby spojrzeć w książkę, do której muszą wpisać się osoby wchodzące do budynku w nocy.

- Ktoś do mnie, Ole? - spytał.

- Jeszcze nie - odparł windziarz. - Może ta deszcz tak leje, że oni nie na czas.

- Ktoś schodził z biura Drake'a parę minut temu?

- Tak.

- Wrócił? - pytał Mason

- Tak. On na górę jechał.

- Ktoś jeszcze?

- Nie.

Windziarz zatrzymał windę sześć cali nad poziomem podłogi, lecz Mason rzekł:

- Może być, Ole.

Drzwi rozsunęły się i adwokat wszedł w półmrok długiego korytarza. Doszedł szybko do końca, lecz zamiast skręcić w lewo do kancelarii, ruszył w prawo ku oświetlonemu prostokątowi drzwi z matowego szkła Agencji Detektywistycznej Drake'a. Popchnął je i wkroczył do małej poczekalni, w której stała zwykła ławka i dwa krzesła w wysokimi oparciami.

Nocna telefonistka, siedząca za zakratowanym okienkiem z łukowatym napisem „Informacja”, podniosła wzrok i nacisnęła przycisk zwalniający zamek drzwi wahadłowych.

Niewysoki człowiek stał koło kaloryfera, próbując osuszyć nogawki spodni. Przemoczony filcowy kapelusz i lśniący wilgocią płaszcz wisiły na wieszaku obok.

- Cześć, Curly - powiedział Mason. - Zrezygnowałeś?

- Zrezygnowałem? - odpowiedział detektyw, patrząc z żalem na przemoczone buty. -

O co ci chodzi?

- Ole mówi, że nikt nie wchodził na górę.

- Jasne - odpowiedział detektyw. - Można by napisać książkę o tym, czego Ole nie wie.

- Więc ktoś przyszedł?

- Tak, dwie osoby.

- Jak się dostały na górę?

- Mężczyzna wyjął klucz - powiedział Curly - otworzył drzwi windy, włączył światło i wślizgnął się do środka wraz z kobietą. Kiedy dotarłem na górę, kabina stała z zamkniętymi drzwiami i zgaszonym światłem.

- Czy Ole to zauważył?

- Nie, jest za bardzo zaspany. Walczy ze sobą, żeby nie zasnąć.

- Czyli na tym piętrze są mężczyzna i kobieta?

- Aha.

- Od kiedy?

- Od pięciu minut. Wolałbym śledzić ich w lepszą pogodę. Czuję się, jakbym siedział w zatopionej łodzi podwodnej.

- Gdzie ich namierzyleś?

- Przyjechali samochodem. Mężczyzna prowadził. Wysadził kobietę przed budynkiem i skręcił za róg. Domyśliłem się, że parkuje, więc spokojnie poszedłem za nimi do budynku i na górę.

- A samochód?

- Sprawdziłem numer rejestracyjny. Właścicielem jest Robert Peltham, mieszka na 3212 Oceanie. W książce telefonicznej jest wymieniony jako architekt.

Mason w zamyśleniu wyjął z kieszeni papierośnicę, potarł zapalką o kaloryfer i zaciągnął się papierosem.

- A dziewczyna?

- Jest w niej coś dziwnego - powiedział Curly. - Powiedziałbym, że to młoda dziewczyna, ale nie jestem pewien. Kobieta - tyle wiem. Cała owinięta w wielki, czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Chodzi, jakby miała buty o dwa rozmiary za duże. Twarz zakryła gazetą.

- Gazetą? - spytał Mason.

- Aha. Kiedy wysiadła z samochodu, trzymała ją nad głową, jakby chciała osłonić kapelusz, ale zobaczyłem, że gdy wsiedli do windy, zasłoniła nią twarz. Więcej ich nie widziałem.

- Są na tym piętrze?

- Winda jest.

- Dowiedz się wszystkiego o Pelthamie - powiedział Mason.

- Pracuję nad tym - odparł Curly. - Sprawdzamy go. Mam zameldować się u ciebie?

- Nie - powiedział Mason - skontaktuję się z tobą. Przyjdź do mnie do kancelarii za jakieś piętnaście minut na drinka - chyba że Paul ma whisky w swoim biurku.

- Dziękuję. Na pewno wpadnę.

- Wiesz co? - powiedział Mason. - Zostawię butelkę w sekretariacie i nie zamknę drzwi na klucz.

- Świetnie. Dzięki.

Kroki Masona odbiły się echem od cichych ścian, gdy ruszył do kancelarii na końcu korytarza.

Nikogo nie zobaczył, nie dobiegł go żaden dźwięk, z wyjątkiem odgłosu jego własnych stóp. Otworzył drzwi do sekretariatu, zablokował zamek i wszedł do środka. Wysunął szufladę biurka, odnalazł butelkę whisky i właśnie kiedy stawiał ją na biurku recepcjonistki, otworzyły się drzwi i pojawił się szczupły mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat.

- Pan Mason? Adwokat kiwnął głową.

- Nazywam się Peltham. Mason uniósł brwi.

- Wydawało mi się, że nazywa się pan Cragmore - rzekł.

- Już nie - oschle odezwał się Peltham. - Zmieniłem nazwisko z kilku powodów.

- Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego? - spytał Mason. Peltham uśmiechnął się gorzko.

- Po pierwsze, obserwowano mnie od chwili, gdy zaparkowałem samochód. Bardzo umiejętnie, ale jednak. Na tym piętrze mieści się Agencja Detektywistyczna Drake'a. Kiedy wjechał pan na górę, poszedł pan tam na jakieś pięć minut. Teraz zostawił pan dla kogoś butelkę whisky na biurku. W tych okolicznościach, panie Mason, zrezygnujemy z naszej gry. Nazywam się Peltham i nie będziemy owijać w bawełnę. Wygrał pan pierwsze rozdanie dość gładko, ale niech pan nie przecenia swoich kart.

- Proszę wejść - powiedział Mason i wskazał drzwi do kancelarii.

- Jest pan sam? - spytał.

- Wie pan, że nie.

- Kim jest ta pani? - spytał Mason. - To znaczy, czy jest zaangażowana w tę sprawę?

- Porozmawiamy o tym.

Mason wskazał gościowi fotel, zdjął płaszcz, strząsnął krople wody z runda kapelusza i usiadł wygodnie w wielkim obrotowym fotelu za biurkiem.

Mężczyzna z powagą wyjął portfel.

- Panie Mason - powiedział, wyciągając dwa tysiąc dolarowe banknoty - przypuszczam, że gdy powiedziałem, iż zapłacę panu dwa tysiące dolarów za przyjęcie tej sprawy, nie spodziewał się pan zobaczyć pieniędzy tak szybko.

Nie wręczył mu banknotów, lecz trzymał je w ręce, gotów umieścić je na krawędzi biurka.

- Co to za sprawa? - spytał Mason.

- Nie ma żadnej sprawy. Mason uniósł brwi.

- Mam kłopoty - powiedział Peltham.

- Pan?

- Tak.

- Jakie?

- Nie chcę panu tym zawracać głowy - powiedział Peltham. - Dam sobie radę. Chcę, żeby ją pan chronił.

- Przed czym? - spytał Mason.

- Przed wszystkim.

- A kim ona jest?

- Najpierw muszę wiedzieć, czy przyjmuje pan sprawę - odpowiedział Peltham.

- Muszę wiedzieć coś więcej - odparł adwokat.

- Na przykład co?

- To, co, jak pan twierdzi, może się wydarzyć. Przed czym chce pan ją chronić.

Peltham opuścił wzrok i przez kilka sekund zamyślony wpatrywał się w dywan.

- Jest tutaj - rzekł Mason. - Proszę ją przyprowadzić. Peltham uniósł wzrok i spojrzał na Masona.

- Niech pan zrozumie - powiedział. - Nikt nie może się dowiedzieć, kim jest.

- Dlaczego?

- Będzie skandal.

- Co to znaczy?

- Po prostu to, że gdyby jej związek ze mną wyszedł na jaw, byłby straszny skandal.

Powstałaby sytuacja, której właśnie chcę uniknąć.

- Kim ona jest dla pana? - spytał Mason.

- Wszystkim - odpowiedział Peltham spokojnie.

- Czy mam rozumieć, że chce pan, żebym reprezentował kobietę, o której nic nie wiem?

- Zgadza się. Mason zaśmiał się.

- Dobry Boże! A wydaje się pan trzeźwy i zdrowy na umyśle.

- Owszem.

- Lecz żąda pan rzeczy niemożliwych. Nie mogę reprezentować klientki, której nie znam.

Peltham wstał. Podeszedł w milczeniu do drzwi prowadzących bezpośrednio na korytarz.

- Proszę wybaczyć, panie Mason, jeżeli poczynam sobie zbyt swobodnie - powiedział i wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

Mason słyszał, jak rozmawiają ścisłymi głosami. Chwilę potem drzwi otworzyły się i Peltham wprowadził do środka kobietę.

Ubrana była w czarny płaszcz przeciwdeszczowy, zapięty po szyję, który prawie sięgał ziemi i skrywał jej postać. Płaszcz był wielki, jakby uszyto go dla mężczyzny o parę rozmiarów większego. Miała na sobie mały kapelusz, ciasno przylegający do głowy. Górną część twarzy skrywała maska, przez którą widać było lśniące, ciemne oczy.

- Wejdz, moja droga, i usiądź - powiedział Peltham.

Kobieta spokojnie podeszła do fotela i usiadła naprzeciw adwokata. Jej podbródek, koniuszek nosa i pełne, szkarłatne usta wskazywały na młodą osobę, lecz poza tym nic nie zdradzało jej wieku czy wyglądu. Siedziała nieruchomo na krześle, skrywając dłonie w



czarnych rękawiczkach. Nie założyła nogi na nogę, lecz umieściła stopy płasko na podłodze. Na nogach miała kalosze o rozmiar za duże.

- Dobry wieczór - powiedział Mason.

Jej ciemne, lśniące i niespokojne oczy patrzyły przez otwory w masce, jakby go nie usłyszała.

Masona zaczęła bawić ta dziwaczna sytuacja. Na zewnątrz niesiony wiatrem deszcz walił o szyby w ciemności, tworząc odpowiednią atmosferę.

Peltham był jedyną osobą w kancelarii, która zdawała się nie widzieć w tym nic dziwnego. Znowu wyciągnął portfel z kieszeni i wyjął banknot.

- Panie Mason, oto dziesięć tysięcy dolarów - powiedział. - Proszę sprawdzić, czy są one prawdziwe.

Przesunął banknot po blacie biurka w kierunku adwokata. Mason obejrzał go i w milczeniu zwrócił.

- Czy masz nożyczki, moja droga? - spytał Peltham.

Kobieta bez słowa otworzyła czarną torebkę i wyjęła zakrzywione nożyczki do paznokci. Wręczyła je Pelthamowi, który podszedł z nimi do biurka Masona. W lewej ręce trzymał banknot, a w prawej nożyczki.

Ostrożnymi ruchami kogoś, kto doskonale panuje nad swoimi dłońmi, rozciął banknot na dwie części serią półokrągłych cięć.

Po ostatnim cięciu małych nożyczek jedna trzecia banknotu sfrunęła na biurko.

Peltham oddał nożyczki kobiecie w masce. W rękach trzymał dwa kawałki banknotu o wartości dziesięciu tysięcy dolarów w taki sposób, żeby było widać, iż doskonale do siebie pasują. Większy kawałek oddał kobiecie, a mniejszy położył na dwóch tysiąc dolarowych banknotach, które przesunął po blacie biurka w stronę Masona.

- Proszę - powiedział. - Nie chcę pokwitowania, wystarczy mi pańskie słowo. Nie pozna pan tożsamości tej pani, dopóki nie będzie to konieczne, żeby chronić jej interesy. Wtedy dostanie pan pozostałą część banknotu. W ten sposób będzie pan wiedział, że to ona. Będzie mógł pan skleić obydwie części i zanieść do banku. Tak więc ma pan pewność, że otrzyma pan swoje honorarium, i że nie zgłosi się do pana oszust.

- A jeżeli ktoś zdobędzie ten drugi kawałek banknotu?

- Nikt go nie dostanie. Mason spojrzął na kobietę.

- Czy pani rozumie, o co prosi mnie pan Peltham? Kiwnęła głową.

- Zakładam, że znała pani jego zamiary, zanim tu przyszliście. Znowu skinęła głową.

- I akceptuje pani warunki, na jakich miałbym przyjąć tę sprawę?

Ponownie potaknęła gestem.

Mason wyprostował się w krześle, odwrócił się w kierunku Pelthama i rzekł:

- No, dobrze. Proszę usiąść. Podsumujmy... Pan chce, żebym reprezentował tę panią. Ja nie wiem, kim ona jest. Załóżmy, że jutro ktoś przyjdzie, poprosi mnie o przyjęcie sprawy i ja się zgodzę. Następnie pojawi się ta pani, wręczy mi resztę banknotu, a potem okaże się, że jest stroną przeciwną w sprawie. Wtedy będę równocześnie zaangażowany po obydwu stronach konfliktu.

To powinno wystarczyć, żeby pan zrozumiał moją sytuację. Nie mogę tego robić. Żąda pan rzeczy niemożliwej. Sprawa jest interesująca, ale nie mogę jej przyjąć.

Peltham podniósł rękę i zaczął masować lewą skroń czubkami palców. Odezwał się po chwili milczenia:

- Dobrze, rozwiążemy to w ten sposób. Może pan się podejmować wszelkich spraw z wyjątkiem tych, które mnie dotyczą mniej lub bardziej bezpośrednio. Jeżeli pojawi się takie zlecenie, przed przyjęciem go będzie musiał pan mieć moją zgodę.

- W jaki sposób ją dostanę? - spytał Mason. - Innymi słowy, jak skontaktować się z panem? Czy będzie pan osiągalny w dowolnym momencie?

Peltham znowu pomasaował skroń, namyślając się przez kilka sekund, po czym rzekł:

- Nie.

- No, dobrze - odezwał się Mason zniecierpliwiony - wracamy więc do punktu wyjścia.

- Nie, niekoniecznie. Jest inny sposób.

- Jaki?

- Zamieści pan ogłoszenie w Contractor's Journal". Zaadresuje je pan po prostu do P. i podpisze się pan jako M. W ogłoszeniu zapyta pan, czy istnieją przeciwwskazania do przyjęcia sprawy od nowego klienta.

- To nie byłoby w porządku w stosunku do pozostałych klientów - odpowiedział Mason. - Nie mogę ujawniać ich danych w dziale ogłoszeń.

- Proszę nie podawać nazwiska. Niech pan weźmie książkę telefoniczną i poda numer strony, kolumnę i miejsce nazwiska w kolumnie. Na przykład, jeżeli będzie to ktoś ze strony 1000, czwarte nazwisko od góry w trzeciej kolumnie, proszę po prostu napisać: „Jeżeli przyjmę zlecenie od 1000-3-4, czy ryzykuję prowadzeniem sprawy przeciwko panu?”

- A pan odpowie?

- Jeżeli nie odpowiem w ciągu czterdziestu ośmiu godzin - rzekł Peltham - będzie pan mógł ją przyjąć.

- A skąd będę wiedział o pańskich sprawach? - spytał Mason. - Zakładam, że prowadzi pan zróżnicowane interesy. Mogę nie wiedzieć, że...

Peltham przerwał mu. Po raz pierwszy w jego głosie dało się odczuć napięcie.

- Dowie się pan jutro - powiedział - to znaczy, jeżeli czyta pan gazety.

- To śmieszne - rzekł Mason - to nie ma sensu. Peltham wskazał na banknoty na biurku.

- Tu są dwa tysiące dolarów - powiedział. - Płacę panu te pieniądze, nie stawiając żadnych warunków. Nie chcę zaświadczenia, polegam na pańskim słowie. Z prawdopodobieństwem jak dziewięćdziesiąt dziewięć do stu nie będzie pan musiał nawet kiwnąć palcem. Pieniądze za nic. Ale jeżeli zajmie się pan sprawami tej pani, automatycznie dostanie pan dodatkowe dziesięć tysięcy dolarów.

Mason odezwał się, podejmując decyzję:

- Przyjmę pańską propozycję pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Takim, że będę postępował zgodnie z zasadami, że będę działał w dobrej wierze. Jeżeli zrobię błąd i okaże się, że jestem stroną, będę miał prawo zwrócić te dwa tysiące i wymazać całą sprawę tak, jakbyśmy nigdy nie odbyli tej rozmowy.

Peltham spojrział pytająco na kobietę w masce. Potrząsnęła energicznie głową. Mason rzekł:

- To moje ostatnie słowo.

Peltham rozejrzał się po pokoju i wbił wzrok w drzwi prowadzące do biblioteki prawniczej.

- Czy możemy tam wejść na chwilę? - spytał.

- Proszę bardzo - rzekł Mason i dodał. - Czy boi się pan, że mógłbym usłyszeć głos tej pani?

Peltham otworzył usta, lecz kobieta energicznie kiwnęła głową, odpowiadając mu w ten sposób na pytanie. Adwokat roześmiał się.

- Proszę bardzo - powiedział - w końcu to pański mecz. Ja tylko siedzę na ławce rezerwowych.

- Na ławce wartej dwanaście tysięcy dolarów - z naciskiem rzekł Peltham. - Dzisiaj to pan prowadzi, panie Mason. Zgarnął pan główną wygraną.

Mason wskazał drzwi biblioteki.

- Proszę - rzekł - za pół godziny chcę być w łóżku. Zna pan moje warunki.

Peltham podszedł do fotela, na którym siedziała kobieta.

- Chodź, moja droga - rzekł.

Wstała z pewnym wahaniem. Peltham włożył dłoń pod jej ramię i poprowadził do drzwi. Kiedy szła, płaszcz chrzęścił w rytmie stawianych kroków.

Stąpała niezdarnie w zbyt dużych kaloszach. Płaszcz zwisający z ramion skrywał jej figurę, lecz coś w jej sposobie chodzenia zdradzało, że jest młoda i wysportowana.

Mason wyjął papierosa, rozparł się w fotelu i czekał, położywszy nogi na rogu biurka.

Wrócili po niecałych trzech minutach.

- Przyjmujemy pański warunek - powiedział Peltham. - Proszę tylko, żeby działał pan w dobrej wierze.

- To mogę panu obiecać - rzekł Mason. - To i nic więcej.

Przez chwilę wydawało się, jakby Peltham chciał wyłożyć kolejne karty na stół. Z trudem panując nad emocjami, pochylił się nad biurkiem.

- Niech pan posłucha... - zaczął ostrym głosem, lecz opanował się.

Mason czekał.

Peltham odetchnął głęboko.

- Panie Mason - rzekł - nie robiłbym tego, gdyby to nie było absolutnie konieczne. Już od dwóch godzin łamię sobie głowę, szukając sposobu, jak dokonać tego, co chcę dokonać, i niczego nie zepsuć. Gdyby ktokolwiek się domyślił, że coś łączy ją ze mną wtedy... wtedy... spowodowałoby to zgubę wszystkich zainteresowanych. Muszę ją przed tym chronić za wszelką cenę. Rozumie pan? Za wszelką cenę!

- Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie - odpowiedział Mason. - W końcu ze mną może pan być szczery. Nie zdradzam tajemnic moich klientów. Jeżeli ta pani zechciałaby zdjąć maskę i...

- To niemożliwe - rzucił Peltham. - To jest jedyny sposób, żeby nas chronić.

- Nie ufa mi pan?

- Załóżmy - odparł Peltham - że byłby pan w posiadaniu informacji, która dla policji byłaby ważnym dowodem. Czy miałby pan prawo zatrzymać ją dla siebie?

- Chroniłbym interesy mojego klienta - rzekł Mason. - Jestem prawnikiem. Informacje pochodzące od moich klientów są poufne.

Peltham odezwał się zdecydowanym głosem:

- Nie - rzucił krótko - to jedyny sposób. Mason spojrział na niego z zaciekawionym.

- Najwyraźniej bardzo dobrze przygotował się pan do tej rozmowy.

- Nie rozumiem...

- Na przykład winda.

Peltham machnął lekceważąco ręką.

- Cokolwiek robię - rzekł - zawsze przygotowuję się do tego bardzo dokładnie i z dużym wyprzedzeniem. Śledzę pańską karierę zawodową z ogromnym zainteresowaniem. Kilka miesięcy temu postanowiłem, że jeżeli będę potrzebował adwokata, zwrócę się do pana. Może pana zainteresuje to, że zaprojektowałem ten budynek i że posiadam kontrolny pakiet jego akcji. Chodź, moja droga.

Wstała i w milczeniu ruszyła w kierunku wyjścia.

Mając nadzieję, że ją zaskoczy i usłyszy jej głos, Mason rzucił żartobliwie:

- Do widzenia, panno Tajemnicza.

Obróciła się i zobaczył, jak jej usta zadrżały w nerwowym uśmiechu. Skłoniła się nieznacznie i bez słowa opuściła biuro.

Mason włożył dwa tysiąc dolarowe banknoty do kieszeni. Spojrzał na kawałek banknotu wartego dziesięć tysięcy dolarów i stłumił śmiech. Podeszedł do sejfu, ustawił szyfr, rozwarł drzwiczki, kluczem otworzył skrytkę i wysunął ją, przez chwilę trzymał nad nią rękę, po czym zamknął skrytkę z hałasem i głośno zatrzasnął drzwiczki. Przekreślił zamek i zmienił kombinację.

Jednakże fragment banknotu o wartości dziesięciu tysięcy dolarów nie znalazł się w skrytce. Mason dyskretnie włożył go do kieszeni spodni.

Podeszedł do wieszaka, założył mokry kapelusz, włożył płaszcz i zajrzał do sekretariatu, żeby upewnić się, że z biurka zniknęła butelka whisky. Zamknął drzwi na klucz i zgasił światło. Wrócił do kancelarii i podeszedł do drzwi prowadzących na korytarz. Tak jak przypuszczał, Peltham nie zamknął ich, blokując zamek zapadką.

Mason odblokował zamek, wyłączył światło i wyszedł na korytarz, na którym niosły się echem jego kroki.

Zauważył, że zamknięta, ciemna kabina windy wciąż stoi na siódmym piętrze. Zadzwoił i po chwili z dołu nadjechał windziarz.

Mason wskazał na ciemną klatkę windy.

- Zacięła się? - spytał.

Windziarz wyszedł na korytarz, żeby się przyjrzeć.

- A niech mnie szlag trafi - odezwał się głosem pełnym zdziwienia, które Mason odebrał jako szczere.

Mason wszedł do oświetlonej windy.

- Dobrze, Ole - rzekł. - Jedziemy.

## ***Rozdział 2***

Della Street otwierała poranną pocztę, gdy Mason wszedł do kancelarii lekkim krokiem.

- Wczesnie dzisiaj - powiedziała. - Zapomniałeś, że sprawa Smithersów z oskarżenia publicznego została oddalona przez prokuraturę okręgową?

- Nie, przyszedłem poczytać gazetę.

Spojrzała na niego, zmarszczywszy brwi. W kącikach jej ust czaił się uśmiech, lecz w oczach pojawiło się zdziwienie, gdy dojrzała wyraz jego twarzy.

- Studiujesz historię współczesną? - spytała.

Powiesił kapelusz na wieszaku, odsunął na bok pocztę leżącą na blacie biurka, nawet na nią nie patrząc, i rozłożył gazetę.

- Nieźle lało wczoraj.

- I to jak. O co chodzi z tą gazetą, szefie?

- Chwilę po północy - odpowiedział Mason - dostałem dwa tysiące dolarów zaliczki i kawałek banknotu o wartości dziesięciu tysięcy. Odbyłem interesujące spotkanie z kobietą w masce i mężczyzną, który bardzo był czymś zaniepokojony. Dał do zrozumienia, że w dzisiejszej gazecie znajdzie jakieś zaskakujące wiadomości.

- I są? - spytała.

- Jeszcze nie patrzyłem - odpowiedział z szerokim uśmiechem. - Mam na to cały dzień.

- Kto to był?

- Robert Peltham, architekt - odpowiedział. - Nie był specjalnie zadowolony z tego, że odkryłem jego prawdziwe nazwisko. Przedstawił się jako John L. Cragmore, zamieszkały na 5619 Union Drive. To był jego pierwszy błąd. Nikt taki nie jest wymieniony pod tym adresem w książce telefonicznej. Tego nie rozumiem. Przygotował się do spotkania na tyle dokładnie, że trudno mi uwierzyć w tak prosty błąd. Gdyby podał nazwisko, które jest w książce, uwierzyłbym mu, przynajmniej na pewien czas.

- No i?

Mason opowiedział w skrócie, co się wydarzyło w czasie rozmowy.

- Skąd on wziął twój zastrzeżony numer, szefie?

- To jeszcze jeden dowód na to, jak starannie się przygotował.

- Nie był to spontaniczny odruch?

- Myślę, że poprosił o spotkanie, bo zdarzyło się coś nieoczekiwanego, ale najwyraźniej już jakiś czas temu postanowił, że zobaczy się ze mną, gdyby potrzebował

adwokata. Dokładnie zaplanował sposób, w jaki się ze mną skontaktuje. Świadczy to o jego charakterze.

- A co z tą windą? - spytała Della.

- Tu sprzyjało mu szczęście - rzekł Mason. - Posiada kontrolny pakiet akcji tego budynku. Pewnie ma zapasowe klucze do wszystkich pomieszczeń. Dla ostrożności nie zostawiłem na noc fragmentu banknotu w biurze. Pomyślałem, że ktoś, kto ma klucz do windy, pewnie będzie dysponował kluczem do kancelarii.

- A ta kobieta? Myślisz, że postanowił spotkać się z tobą w związku z nią?

- Nie, myślę, że stało się coś nieoczekiwanego - powiedział Mason w zamyśleniu. - Na przykład ta maska. Jestem przekonany, że jest to element kostiumu na bal maskowy. Czarna, wykończona lametą. Coś, co kobieta odłożyłaby do szuflady na pamiątkę.

- Niczego się nie domyślasz?

- Ma nie więcej niż trzydzieści lat - powiedział Mason - i dobrą figurę. Ma drobne ręce, ale założyła na nie o wiele za duże rękawiczki. Na prawej dłoni miała kilka pierścionków i jeden na lewej. Widać było ich zarys przez rękawiczki. Obróciła je oczkami do wewnątrz.

- Może obrączka? - spytała.

- Nie sądzę. Nie chciała też, żebym usłyszał jej głos.

- Na pewno ją znasz - powiedziała Della Street. - To znaczy, musiałeś ją już kiedyś poznać i bała się, że głos ją zdradzi.

- Albo poznam ją już niedługo. To wydaje mi się bardziej prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Nie wiem, przecucie.

- Jak to wpisujemy do rejestru? Mason podał jej fragment banknotu.

- Jak chcesz, choć ten kawałek dziesięciu tysięcy to mocna przynęta.

Della prychnęła:

- Sam wiesz, że większe wrażenie robi na tobie ta tajemnicza Madame X niż pieniądze. Może nazwijmy to „Sprawa kochanki w masce”?

- No, cóż, jest to jakiś pomysł - odpowiedział Mason - choć być może krzywdzisz ją w ten sposób.

- Czy wyglądała na młodą kobietę z zasadami? Mason uśmiechnął się szeroko.

- Jeżeli o to chodzi - rzekł - trudno to ocenić, nawet kiedy widzi się je w pełnym blasku, obserwuje gesty rąk i słyszy głos. Tamta kobieta trzymała ręce nieruchomo na oparciu

fotela, stopy płasko na podłodze i język za zębami. Otwórz akta „Sprawy haczyka z przynętą” i w ten sposób nie popełnimy błędu, bez względu na to, kimkolwiek ona jest.

- A odpowiedź ma być w gazecie?

- Nie odpowiedź - rzekł - a wskazówka.

- Mam przeglądnąć gazetę?

- Weź pierwszą część - odpowiedział - a ja wezmę drugą. Nie przegap niczego, nekrologów, zawiadomień o ślubach, urodzinach i rozwodach - szczególnie o rozwodach.

Mówiąc te słowa, Mason otworzył gazetę na stronie z wiadomościami sportowymi.

Po piętnastu minutach Della Street podniosła wzrok znad gazety.

- Znalazłeś coś? - spytała.

- Nie.

- Może przynajmniej tyle, że Peltham - Śmiertelny Lewy Sierpowy został zakontraktowany na piętnaście rund z Joe Louisem?

Uśmiechnął się szeroko.

- A cóż to szkodzi upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, Delio?

- Ogień już zgasł, a my nadal nic nie mamy. Nic nie znalazłam. Czy sugerował, że będzie to coś mało rzucającego się w oczy?

- Nie - odpowiedział Mason - zrozumiałem, że będzie to coś wielkimi literami na pierwszej stronie, coś, czego nie można przeoczyć.

- Cóż, w takim razie, cokolwiek to było, gazet to nie zainteresowało.

- To komplikuje całą sprawę - powiedział Mason. - Nie mam pojęcia, czego właściwie chce ode mnie. Równie dobrze mogę przyjąć sprawę rozwodową przeciwko pani Jones, a pani Jones przyjdzie, położy drugi kawałek banknotu na biurku i powie: „Czy to tak traktuje się klienta?”

- Albo - rzekła Della z fałszywą skromnością - wyrzucisz mnie za nieudolność i nagle podsunę ci pod nos ten banknot i powiem: „Czy to tak prowadzi się kancelarię prawniczą?”

Mason spojrział na nią podejrzliwie.

- Delio - powiedział - teraz mam o czym myśleć. Roześmiała się.

Gertie, duża, pogodna blondynka, recepcjonistka w sekretariacie kancelarii, zastukała do drzwi, otworzyła je i wślizgnęła się do środka.

- A. E. Tump chce się z panem widzieć - rzekła.

- O co mu chodzi? - spytał Mason. Potrząsnęła głową.

- Nie jemu, tylko jej.

- Jak się nazywa?



- Po prostu A. E. Tump, ale to kobieta.

- Czego chce?

- Chce się z panem zobaczyć i wygląda jak ktoś, komu się nie odmawia.

- Młoda? - spytał Mason.

- Nie. Ma jakieś sześćdziesiąt pięć lat, ale jest na swój sposób atrakcyjna.

- Wielki Boże, Gertie - rzekł Mason - nie chcesz powiedzieć, że jest zalotna?

- Nie, nie jest jedną z tych kobiet, które próbują utrzymać figurę dwudziestolatki, ale... no, cóż, ma osobowość i zna swoją wartość. Bardzo bezpośrednia.

Mason rzekł do Delii:

- Delio, dowiedz się, czego chce, i dobrze się jej przyjrzyj. Mason wziął gazetę i czekał, leniwie przerzucając strony i czytając nagłówki.

Della wróciła po chwili i powiedziała:

- Jest rozłożysta, ma siwe włosy, i gładką cerę. Jest duża w ponętny sposób. Wygląda na kogoś z pieniędzmi. Ma maniery, charakter i osobowość. Chyba powinieneś ją przyjąć.

- Czego chce?

- Chodzi jej o fundusz powierniczy i nielegalną adopcję dziecka.

- Wprowadź ją - powiedział Mason i Della wróciła, żeby wprowadzić klientkę.

- Dzień dobry, pani Tump.

Uśmiechnęła się do niego i usiadła w dużym, skórzanym fotelu. Mason odezwał się ze śmiechem, przyglądając się jej:

- Zapowiedziano panią jako A. E. Tump. Myślałem, że jest pani mężczyzną.

Kobiet uśmiechnęła się do niego.

- No cóż, jak pani widzi, nie jestem - rzekła. - A oznacza Abigail, E to Esther. Nie znoszę ich. Ociekają przyzwoitością i biblijnymi skojarzeniami.

- Dlaczego nie zmieniła pani imion? - spytał Mason, patrząc na nią bystrym wzrokiem doświadczonego prawnika.

- Zbyt wiele zamieszania w sprawach majątkowych. Wszystkie moje papiery wartościowe wystawione są na Abigail E. Tump. W każdym razie, mojej córce było łatwiej.

Mason uniósł brwi.

Pani Tump nie potrzebowała zachęty. Ciągnęła bez wysiłku płynnym głosem kogoś, kto lubi mówić.

- Nazwałam ją Cleopatra Circe Tump. Strasznie się tego wstydzi, ale przynajmniej nie ma konwencjonalnych i przyzwoitych imion skazujących ją na życie pełne przeciętności.

Mason rzucił Delii rozbawione spojrzenie.

- Tak więc, łączy pani przyzwoitość z przeciętnością?

- Nie zawsze - odrzekła. - Nie mam nic przeciwko przyzwoitości. Po prostu nie znoszę etykietek.

- Czy chciała się pani ze mną zobaczyć w sprawie córki?

- Nie. Wyszła za męża za bankiera w Des Moines. Moim zdaniem to pompatyczny sztywniak. Córka jest filarem przyzwoitości, a swoich imion nie znosi równie bardzo jak ja moich. Żaden z jej przyjaciół nawet nie ma pojęcia, że ma na imię Circe.

Mason uśmiechnął się.

- O czym chciała pani porozmawiać?

- Sprawa sięga roku 1918, jeszcze przed końcem wojny - powiedziała.

- Co się wtedy stało?

- Płynęłam brytyjskim statkiem do Południowej Afryki. Wśród pasażerów było dwoje rosyjskich uchodźców. Oczywiście podróżowali incognito. Przed rewolucją zajmowali wysoką pozycję, to znaczy, on miał wysokie stanowisko. Po kilku latach wyrwali się z koszmaru bolszewizmu, lecz nie udało im się zabrać córki.

Mason kiwnął głową i poczęstował panią Tump papierosem.

- Za chwilę zapalę razem z panem - powiedziała. - Teraz chcę to z siebie wyrzucić.

Mason zapalił i spojrzał w kierunku Delii, która trzymała ołówek i notes, gotowa stenografować przebieg rozmowy.

- Statek został storpedowany - powiedziała pani Tump. - To było straszne. Widzę to jeszcze, kiedy zamknę oczy. Była noc i morze było wzburzone. Statek natychmiast mocno się przechylił. Wiele łodzi ratunkowych przewróciło się. W wodzie byli ludzie, lecz nie było ich widać - tylko dłonie wyłaniające się z ciemnych fal i wpijające się palcami w śliskie, stalowe burty statku. Zmyły ich fale i słychać było tylko krzyk, jeden wielki jęk.

Mason patrzył współczująco.

- To małżeństwo, o którym mówiłam... - kontynuowała pani Tump. - Przejdę do sedna sprawy, panie Mason. Opowiedzieli mi swoją historię. Ta kobieta miała dar jasnowidzenia, jeżeli tak można to nazwać, albo po prostu była wystraszona i zdenerwowana, jeżeli pan woli. Była pewna, że statek zostanie storpedowany. Mąż próbował to zbagatelizować... Śmiał się z niej i żartował. W nocy poprzedzającej zatopienie statku przyszła do mojej kabiny. Miała okropny sen. Powiedziała, że miała widzenie. Wymogła na mnie obietnicę, że jeżeli coś jej się stanie, a ja przeżyję, to pojedę do Rosji, odnajdę ich córkę i wymyślę jakiś sposób, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

Oczy Masona zwęziły się, lecz nic nie powiedział.

- Dała mi biżuterię. Nie miała wiele pieniędzy, ale dużo biżuterii. Powiedziała, że jeżeli statek bezpiecznie dopłynie do portu, to ją jej oddam. Mąż miał o niczym nie wiedzieć.

- I utonąła? - spytał Mason.

- Tak. Oboje byli w pierwszej łodzi, którą spuszczone na wodę. Na własne oczy widziałam, jak się przewraca. Potem nadeszła wielka fala i rozbiła drugą łódź o burtę statku. Mniejsza o to, panie Mason. To są szczegóły. Opowiem w skrócie, co było dalej. Uratowałam się. Pojechałam do Rosji, odnalazłam dziecko i wywiozłam je stamtąd. Teraz to nie ma znaczenia. Wspaniała dziewczyna, w której żyłach płynie królewska krew. Chciałam, żeby adoptowała ją moja córka. Wychodziła wtedy za męża, ale jej mąż nawet nie chciał o tym słyszeć, więc... niestety, zrobiłam coś niewybaczalnego, panie Mason.

- Co takiego? - spytał.

- Nie miałam warunków, żeby ją zatrzymać, to znaczy, tak mi się wydawało. Oddałam ją do sierocińca.

- Którego? - spytał Mason.

- Hidden Home Welfare Society.

- Gdzie?

- W małym miasteczku w Luizjanie. Specjalizowali się w opiece nad dziećmi, których rodzice nie mogli się nimi zająć.

Przerwała na chwilę, jakby próbując pozbiierać myśli.

- Proszę dalej - powiedział Mason.

- Muszę panu powiedzieć coś o tym sierocińcu, coś, czego wtedy nie wiedziałam. Handlowali dziećmi.

- Nie rozumiem - powiedział Mason.

- Jest duże zapotrzebowanie na dzieci do adopcji. Bezdzietne małżeństwa wciąż ich poszukują. Sierociniec nie zawracał sobie głowy tym, jak je zdobywa. Później odkryłam, że większość zatrudnionych tam kobiet była w ciąży. Rodziły i zostawiały dzieci. Niektóre płaciły za ich utrzymanie, lecz nie wszystkie były w stanie to zrobić..

- Pani, oczywiście, opłacała utrzymanie dziecka?

- Ależ tak. Wysyłałam pieniądze regularnie co miesiąc. Mogę na dowód pokazać zrealizowane чеки. Dzięki Bogu zatrzymałam je.

- A dziecko? - spytał Mason.

- Rok później - powiedziała - kiedy uporządkowałam własne sprawy, pojechałam do sierocińca, żeby ją odebrać. I co się okazało?

- Ze jej tam nie ma - rzekł Mason.

- Właśnie. Sprzedali ją za tysiąc dolarów. Niech pan sobie wyobrazi! Sprzedali ją jak konia, psa albo używany samochód.

- Jak to tłumaczyli?

- Bardzo mnie przepraszaali. Twierdzili, że zaszła pomyłka. Na początku mówili, że nie płaciłam, ale pokazałam im zrealizowane czeki. Chwyтали się każdego sposobu, żeby je ode mnie wydostać. Narobiłam im wielkich kłopotów, sprawą zajęła się prokuratura okręgowa i Hidden Home Welfare Society po prostu rozwiązało się i zniknęło bez śladu. Później dowiedziałam się, co się dzieje w takich sierocińcach. W razie kłopotów po prostu przenoszą się do innego stanu, przybierają nową nazwę i zaczynają od nowa.

- Przecież w archiwach powinno być napisane, co się stało z dzieckiem? - spytał Mason.

- Na pewno, ale sierociniec nie chciał się do tego przyznać. Ukryli je. Powinnam była wynająć adwokata i oddać sprawę do sądu, lecz zamiast tego zawiadomiłam władze. Niestety, wie pan, jak opieszali są czasem urzędnicy. Prokurator okręgowy był wtedy na wakacjach, więc wróciłam do Nowego Jorku i czekałam na wiadomość. Przysłał do mnie list, z którego wynikało, że jest z siebie bardzo zadowolony. Napisał, że dzięki mnie Hidden Home Welfare Society zostało zlikwidowane, że już przedtem były skargi i gratuluje mi faktu, iż zatrzymałam czeki, i tak dalej.

Natychmiast wróciłam do Luizjany i powiedziałam mu, że nie tego oczekiwałam, że chcę odzyskać dziecko. Odpowiedział mi, że powinnam wynająć adwokata i że jego urząd zajmuje się szerszym aspektem sprawy. Niesłychane! Szerszy aspekt sprawy. Myślałam, że go uduszę na miejscu.

Jej zimne szare oczy zaiskrzyły gniewem.

- Wynajęła pani adwokata? - spytał Mason.

- Tak, i to był mój kolejny błąd. Było już za późno na prawnika. Powinnam była wynająć dobrego detektywa. Adwokaci wzięli ode mnie pieniądze i nic nie zrobili. Powiedzieli mi, że sierociniec zniszczył archiwa, bojąc się procesu, i że rozpiechli się na cztery strony świata, jak to ujęli. Akurat! Po prostu przenieśli się do Kolorado i zaczęli od nowa pod inną nazwą. Tego też nie wiedziałam.

- Skąd się pani w końcu dowiedziała? - spytał Mason.

- Upór i łut szczęścia - odrzekła. - Ktoś, kto pracował w księgowości sierocińca, zapamiętał oczywiście całą transakcję z powodu zamieszania, jakie wywołała, i w końcu skontaktował się z prawnikami, a oni z kolei ze mną... Oczywiście, chcieli pieniędzy za informację.

- I co pani zrobiła? - spytał prawnik.

- Pewnie powinnam była zawiadomić władze, ale sparzyłam się już, więc zapłaciłam, ile chcieli.

- I co? - spytał Mason.

- Dowiedziałam się, że dali dziecku na imię Byrl. Adoptowali ją ludzie o nazwisku Gailord. Mieszkali wtedy tutaj.

- Kiedy to było? - spytał adwokat.

- Dwa miesiące potem, jak zostawiłam ją w sierocińcu, Gailordowie pojawili się, szukając dziecka. Oszaleli na jej punkcie i nalegali, żeby ją zabrać. W sierocińcu powiedziano im, że nie jest jeszcze przeznaczona do adopcji, ale że za kilka miesięcy będą mogli ją zabrać, bo z doświadczenia wiedzą, iż większość ludzi przestaje płacić. Umowa była taka, że gdy przestawały napływać pieniądze, dziecko przeznaczano do adopcji.

Gailordowie nie chcieli czekać i zaoferowali wysoką cenę - tysiąc dolarów. Przypuszczam, że równocześnie zapłacili łapówkę. Obiecali oddać dziecko w razie jakichś kłopotów... Może mieli wtedy taki zamiar, ale bardzo się do niej przywiązali i... no cóż, wie pan, jak to bywa.

- Pani Tump - rzekł Mason - dziewczyna jest już pełnoletnia. Może robić, co jej się podoba. Jest wolna, biała i ma dwadzieścia jeden lat.

- To się zgadza - powiedziała pani Tump - sama na to wpadłam, ale stało się coś jeszcze. Gailordowie byli bogaci. Kiedy Frank Gailord zmarł, połowę jego majątku odziedziczyła żona, a połowę Byrl. Jej część złożono w funduszu powierniczym i miała ją dostać, kiedy skończy dwadzieścia siedem lat. Tymczasem powiernik miał jej wypłacać pieniądze na utrzymanie i wykształcenie w ilości, którą uznał za niezbędną.

Pani Gailord ponownie wyszła za mąż za człowieka o nazwisku Tidings. Po pięciu latach zmarła, zostawiając cały swój majątek Byrl w podobnym funduszu powierniczym i dając Tidingsowi nieograniczone pełnomocnictwa. Tidings to drań. Ożenił się ponownie, a potem rozwiódł... Panie Mason, nie będę zwracać panu głowy szczegółami. Mówię o tym tylko po to, żeby wyjaśnić sytuację. Chodzi o to, że Albert Tidings zarządza teraz majątkiem Byrl, a nie jest on mały. Nie ma do tego żadnego prawa. Uważam, że jest nieodpowiednią osobą. To oszust, jeżeli chce pan wiedzieć.

- Widziała się pani z nim? - spytał Mason.

- Oczywiście. Poszłam do niego i wszystko mu powiedziałam.

- Jak zareagował?

- Kazał mi zwrócić się do jego prawnika.

- Więc postanowiła pani spotkać się ze mną?

- Tak.

- Czy wyjaśniła pani wszystko Byrl - to ojej rodzicach?

- Oczywiście, że tak. To był dla niej szok. Zawsze myślała, że jej prawdziwymi rodzicami byli Gailordowie.

- Gdzie teraz jest?

- Tu, w mieście.

- Czego pani ode mnie oczekuje? - spytał Mason.

- Chcę, żeby zajął się pan Tidingsem - odpowiedziała. - Chcę, żeby pan wykazał, że adopcja była niezgodna z prawem, że to było oszustwo możliwe dzięki łapówce i korupcji. Chcę, żeby odebrano Tidingsowi majątek Byrl.

Mason lekko zmrużył oczy.

- Innymi słowy, chce pani zarządzać jej majątkiem zamiast niego.

- Cóż, uważam, że Byrl powinna dostawać więcej pieniędzy. Powinna podróżować, poznać świat, odzyskać majątek i wyjść za mąż.

- Może wyjść za mąż, kiedy zechce, prawda?

- Tak, ale nie obraca się wśród odpowiednich ludzi... Wystarczy raz ją zobaczyć, żeby zdać sobie sprawę z jej niezwykłego pochodzenia.

- Pani Tump, przeszłość ma niewielki wpływ na sytuację prawną - rzekł Mason. - Fundusz powierniczy nie ma nic wspólnego z adopcją. Byrl jest dorosła. Nie jest pani stroną w tej sprawie. Nie łączy pani z Byrl pokrewieństwo. Jej rodzice prosili panią, żeby wydosłała ją pani z Rosji i zaopiekowała się nią. Zabrała ją pani z Rosji, a potem - będą z panią szczerzy - bystry prawnik będzie w stanie wykazać, że mając biżuterię, nagle przestała się pani nią interesować. Poza wnoszeniem miesięcznych opłat, szczerze mówiąc, nie przejmowała się pani jej losem.

- Nieprawda - powiedziała. - Pisywałam regularnie do sierocińca, pytając o nią, a oni odpisywali mi, że jest zdolnym dzieckiem, i że jest jej dobrze.

- Czy ma pani te listy?

- Tak.

- Poza tym - podkreślił Mason - Tidings nie był zaangażowany w nieprawą adopcję, a jeżeli chodzi o Byrl, nie ma ona powodu do żartów. Odziedziczyła majątek w wyniku postępowania adopcyjnego.

- Ależ ona nigdy nie została formalnie adoptowana - powiedziała pani Tump.

- Nie?

- Nie.

- Jak to?

- Widzi pan, kiedy Gailordowie ją zabrali, wiedzieli, że nie można jej adoptować, a potem, kiedy narobiłam zamieszania, prawnicy reprezentujący sierociniec zatuszowali to. Bali się, że jeżeli adopcja zostanie załatwiona sądownie, dowiem się tego i odbiorę ją. Z tego, co wiem, adwokat powiedział Gailordom, że mogą zadbać o majątkowe sprawy Byrl za pomocą testamentu i utrzymywać ją w przekonaniu, że są jej rodzicami. Stopniowo wmówili jej to, wymyślając jakąś historię, która tłumaczyłaby niektóre z jej wspomnień z dzieciństwa.

- Jak ją pani wywiozła z Rosji? - zainteresował się Mason.

- Nie mogę panu tego teraz powiedzieć. Moi przyjaciele, bardzo wpływowi ludzie, podróżowali z dzieckiem wpisanym do ich paszportów. Dziecko to umarło i... cóż, Byrl została przywieziona do Stanów Zjednoczonych. Złamaliśmy prawo, więc obiecałam im, że nie powiem o tym nikomu. Byrl wie o tym i o prawdziwych rodzicach.

- Mogę spowodować, że zostanie przeprowadzona kontrola w tym funduszu - powiedział Mason. - Prawdopodobnie będę mógł zmusić Tidingsa, żeby oddał Byrl cały dochód i część kapitału, a po roku czy dwóch przejmie ona cały fundusz zgodnie z jego warunkami. Jeżeli Tidings złamał prawo, możemy go odsunąć.

- To mi wystarczy - powiedział pani Tump. - Chciałam panu przedstawić sytuację. Jeżeli chce pan coś wiedzieć o Albercie Tidingsie, dowie się pan tego od kogoś, kto zna go bardzo dobrze. Jest jego współnikiem w pewnej fundacji, jednym z trzech ludzi zarządzających darowiznami na rzecz uniwersytetu..

- To cenna informacja - rzekł Mason. - Kim jest ten człowiek?

- To coś bardzo wpływowego i bardzo bogatego - odpowiedziała. - Jest,; też pańskim wielbicielem, panie Mason. To on mnie przysłał do pana.

- Jak się nazywa?

- Robert Peltham - odpowiedziała. - Jest architektem. Mieszka na 3212 Oceanie Avenue, ale ma biuro w centrum, gdzie można się z nim skontaktować.

Mason powstrzymał się, żeby nie spojrzeć w kierunku Delii Street.

- Świetnie - powiedział. - Chciałbym skontaktować się z panem Pelthamem, zanim podejmę decyzję w pani sprawie.

- Nie rozumiem, co on ma z tym wspólnego, poza tym, że może przekazać panu pewne informacje. Proszę wziąć sprawę, a potem skontaktować się z panem Pelthamem. Dam panu zaliczkę.

Mason w zamyśleniu strzepnął popiół z papierosa i odezwał się po chwili:

- Pani Tump, nie jest pani stroną w tej sprawie. Jak już wspomniałem, nie jest pani spokrewniona z panną Gailord. Wszelkie działania prawne muszą pochodzić z jej inicjatywy.

- No, cóż, chyba ma pan rację.

- Zanim podejmę się czegokolwiek, muszę też zobaczyć się z panną Gailord i dostać od niej bezpośrednio upoważnienie do działania - dodał Mason.

Pani Tump nagle przybrała rzeczowy ton i spojrzała na zegarek udekorowany drogimi kamieniami.

- Jutro o drugiej? - spytała. - Czy to panu odpowiada?

- Z najwyższą przyjemnością umówię się z nią na tę godzinę - odpowiedział Mason.

Pani Tump dźwignęła się z głębokiego skórzanego fotela.

- Zajmę się tym natychmiast - rzekła. - Aha, tak przy okazji, panie Mason. Chyba źle postąpiłam... Być może zaczęłam nie z ter go końca.

- Co się stało? - spytał Mason.

- Kiedy pan Tidings powiedział, żebym zwróciła się do jego prawnika, odpowiedziałam, żeby on porozmawiał z moim, i powiedziałam mu, że pan Perry Mason przyjdzie do niego dziś o jedenastej. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Mason nie odpowiedział bezpośrednio na jej pytanie.

- Pani Tump, czy mieszka pani w mieście na stałe? - spytał.

- Nie. Przyjechałam tu z powodu Byrl. Zatrzymałam się w hotelu St. Germaine.

- Czy ma pani jej adres? - zapytał Mason z udawaną obojętnością.

- Oczywiście. Vista Angeles Apartments... Wyjedziemy razem, jak tylko uporządkujemy jej sprawy. Tymczasem wspomagam ją finansowo. Panie Mason, będzie pan działał za moim pośrednictwem. Naturalnie, to ona będzie pańską klientką, ale ponieważ ja płacę pańskie honorarium, będzie pan postępował zgodnie z moimi wskazówkami.

- Czy Byrl Gailord jest wymieniona w książce telefonicznej? - spytał Mason.

- Tak.

- Dziękuję pani, pani Tump. Spotkamy się jutro o drugiej.

- A co z rozmową z panem Tidingsem?

- Skontaktuję się z nim - powiedział Mason - Wyjaśnię mu, że rozmawiałem z panią, że godzina mi nie odpowiada i poproszę o przełożenie spotkania.

Podala mu rękę.

- Panie Mason, mam do pana pełne zaufanie... Pan jest inny. Uprzedziłam się do prawników, ale pan Peltham powiedział mi, że panu można zaufać. Dużo o panu wie... Czy panowie się znają?



Mason roześmiał się.

- Znam wielu ludzi i wielu ludzi zna mnie, choć nigdy ich nie poznałem osobiście. Czasem jest to krępujące.

- Oczywiście. To konsekwencja bycia sławnym adwokatem. No cóż, spotkamy się jutro o drugiej.

Mason i Della Street nie ruszyli się z miejsc, patrząc, jak pani Tump idzie przez kancelarię pewnym krokiem. Nie podeszła nawet do drzwi, którymi weszła, lecz skierowała się do drzwi prowadzących bezpośrednio na korytarz. Przekręciła klamkę i obróciła się w progu w ich stronę.

- Panie Mason, proszę nie zapomnieć o rozmowie z Tidingssem o jedenastej - rzekła, uśmiechając się do niego, i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy zamek zaskoczył z trzaskiem, Mason po raz pierwszy odważył się spojrzeć na Delię.

- Urocza! - rzekła Della. Mason uśmiechnął się szeroko.

- Czuję, że gdzieś tu jest haczyk.

Della spoważniała nagle i spróbowała dodać mu otuchy.

- Może to jednak zbieg okoliczności i nic więcej.

- Może - przyznał, choć w jego głosie dał się słyszeć sceptycyzm. - Jak jeden do miliona, jeżeli chcesz ująć to matematycznie.

- Nie sądzę, żeby pani Tump była osobą, która ma ten drugi kawałek banknotu - rzekła.

- Pewnie nie - zgodził się Mason. - O co się założysz, że Byrl Gailord też nie?

- W to nie wchodzę - odrzekła. - Na własne życzenie ruszyłeś na wyprawę w krainę tajemniczych kobiet i kochanek w masce... Jeżeli Byrl Gailord wiedziała, że pani Tump przyjdzie do ciebie, oczywiście nie mogła dopuścić do tego, żebyś usłyszał jej głos... Jednak nie rozumiem, po co ta tajemnica.

- Chce ukryć przed panią Tump swoją bliską znajomość z Pelthamem, jeżeli to rzeczywiście ona jest jego znajomą.

- A jeżeli nie jest? - spytała Della.

- Mniejsza o to - rzekł Mason. - Zadzwoń do Contractor's Journal". Powiedz im, że mamy ogłoszenie, które musi ukazać się z najbliższym wydaniem. Znajdź Byrl Gailord w książce telefonicznej i ułóż ogłoszenie z pytaniem, czy mogę przyjąć jej sprawę... Nie mogę się pozbyć uczucia, że pakuję się w kłopoty.

- Nie możesz przyjąć tej sprawy, nie pytając Pelthama?

- Mogę - przyznał Mason - ale nie chcę. Wczoraj te dziesięć tysięcy to była góra forsy, lecz teraz wiem, że wyniknie z tego mnóstwo problemów. Zredaguj to ogłoszenie. Poproś Paula Drake'a, żeby odnalazł Tidingsa, a potem zadzwoń do niego.

Po chwili Della włożyła głowę przez drzwi i powiedziała:

- Ogłoszenie trzeba przesłać najpóźniej do wpół do drugiej, szefie. Jest już gotowe i zaraz je wyślę. Za chwilę będzie na linii Albert Tidings. Połączyłam się z jego sekretarzem.

Mason podniósł słuchawkę telefonu i usłyszał męski, choć wysoki głos, który rzekł: - Halo.

- Czy to pan Tidings? - spytał Mason.

- Nie. Jestem jego sekretarzem. Chwileczkę, panie Mason, łączę z panem Tidingsem... Proszę.

Tubalny, donośny głos odezwał się z irytacją:

- Halo, kto mówi, do diabła?

- Perry Mason, adwokat - rzekł prawnik. - Dzwonię, ponieważ umówiła nas pani Tump. Powiedziała panu, że przyjdę o jedenastej... Czy pan Albert Tidings?

Po chwili ciszy głos odezwał się bardziej łagodnie:

- Tu Tidings. Wiem, czego pan chce, i...

- Pani Tump właśnie wyszła ode mnie - przerwał Mason, wykorzystując chwilę wahania po drugiej stronie. - Powiedziała mi, że umówiła nas na dzisiaj na jedenastą. Spotkanie to, oczywiście, zostało umówione bez konsultacji ze mną i...

- Doskonale rozumiem, panie Mason - przerwał mu tubalny głos. - Właśnie miałem do pana dzwonić. To wszystko bzdury. Szkoda naszego czasu. Powiedziała, że o jedenastej?... Domyślałem się, że nie rzuci pan wszystkiego, żeby przybiec tutaj i sprzedawać mi babskie plotki, choć nie powiedziałem tego pani Tump. Pomyślałem, że na tym sprawa się skończy, ale prosiłem sekretarza, żeby się upewnił, dzwoniąc do pana.

- Być może będę chciał porozmawiać z pańskim adwokatem - rzekł Mason. - Czy może pan mnie z nim skontaktować?

- Mam kilku adwokatów - rzekł Tidings wymijająco.

- Proszę mi powiedzieć, który z nich będzie prowadził tę konkretną sprawę.

- Żaden - rzekł Tidings. - To wszystko brednie, ale jedno mogę panu powiedzieć, Mason. Jeżeli ta kobieta nie przestanie mnie obsmarowywać, dobiorę się do niej. Był to świetna dziewczyna. Jesteśmy w dobrych stosunkach, a ta stara mąci i narobi sobie kłopotów. To kanciarza. Podpuszcza Byrl, żeby przy okazji uszczknąć coś dla siebie. Dobiorę się do niej, jeżeli nie przestanie. Niech pan jej to ode mnie powie.

- Sam pan jej to powie - rzekł Mason. - Ja chcę tylko odwołać spotkanie.

Tidings roześmiał się.

- Dobrze, w porządku. Nie chciałem pana urazić. Po prostu zaczyna mnie to irytować. Proszę zadzwonić, kiedy będzie pan potrzebował czegoś ode mnie. Mój sekretarz i pańska sekretarka na pewno coś ustalą. Do widzenia.

Mason opuścił słuchawkę na widełki, odsunął fotel, wstał i zaczął powoli przechadzać się po kancelarii.

### **Rozdział 3**

Telefon zadzwonił, gdy Perry Mason leżał w łóżku i czytał. Właśnie miał wyłączyć światło, więc zmarszczył brwi, podnosząc słuchawkę.

- Cześć, szefie - pozdrowiła go Della Street. - Czytałeś wieczorne wydanie gazety?

- Przeglądałem. O co chodzi?

- Przeczytałam, że firma audytorska ma zbadać księgi szpitala Elmer Hastings Memoriał. Ktoś z rodziny Hastingsa twierdzi, że fundusze są źle zarządzane. Biegli księgowi mają wstępnie przeglądać księgi. Darowizny zarządzane są przez fundację, na której czele stoi trzech powierników: Albert Tidings, Robert Peltham i niejaki Parker C. Stell.

Mason zamyślił się. Odezwał się po chwili milczenia:

- Pewnie o to chodziło Pelthamowi.

- Posłuchaj - mówiła szybko Della - nie chciałam ci przeszkadzać i wycięłam artykuł, żeby pokazać ci go rano, ale kiedy szłam spać, włączyłam radio, żeby posłuchać wiadomości. W radiu powiedzieli, że wieczorem policja znalazła samochód zaparkowany na niezabudowanej parceli. Na siedzeniu odkryto ślady krwi. Znalaziono też męskie palto poplamione krwią, upchnięte na podłodze. Z lewej strony palta jest dziura po kuli. Samochód został zarejestrowany na Alberta Tidingsa, a chusteczka znaleziona w prawej kieszeni palta ma jego monogram i ślady szminki. Nikt go nie widział od południa, a jego sekretarz powiedział, że wyszedł, nie mówiąc, dokąd idzie.

Mason zastanowił się i rzekł:

- To już jest coś. Jeszcze jakieś wiadomości?

- To wszystko. Czy mam zadzwonić do Paula Drake'a i poprosić, żeby to zbadał?

- Dziękuję, Delio. Sam do niego zadzwonię - odpowiedział Mason.

- Sprawa się zagęszcza.

- Zwarzyła się - zgodził się Mason wesołym tonem. - Jak sos Tysiąca Wysp. Jest tak gęsta jak sos śmietanowy, który mi nie wyszedł na polowaniu ostatniej jesieni.

- Co mam robić, szefie?

- Nic, Delio. Ja też nie mam tu wiele do roboty. Pani Tump na pewno odezwie się do nas w związku z tym, co uprości sytuację.

- Moim zdaniem, sprawy się komplikują.

- Nie, wprost przeciwnie. W związku z oskarżeniami dotyczącymi fundacji szpitala sąd będzie chciał zbadać dokładnie księgowość Tidingsa w funduszu Gailordów. Tidings nie będzie chciał, żebyśmy ciągnęli go po sądach w tej sprawie, więc pójdzie na ustępstwa, pod warunkiem że to nie on miał na sobie palto, które przeszła kula. Jeżeli jednak Tidings zszedł ze sceny, będziemy mogli ustanowić nowego powiernika funduszu i wydobyć od niego księgi... Martwi mnie ta szminka na chusteczce.

- Hołdujesz konwenansom, szefie? - zażartowała Della.

- Zastanawiam się tylko, czy właścicielka szminki nie ma w swojej torebce tego kawałka banknotu... Zaczynam mieć obsesję na tym punkcie. Boję się pójść spać, żeby mi się nie przyśniło, że ścigam wiedźmę, która zamienia się w piękną, młodą kobietą, podtykającą mi pod nos ten banknot.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że będzie to piękna, młoda kobieta, zamieniająca się w wiedźmę... Daj mi znać, kiedy będziesz mnie potrzebował.

- Dobrze. Dziękuję, że zadzwoniłaś. Dobranoc.

- Dobranoc, szefie.

Mason zadzwonił do Agencji Detektywistycznej Drake'a.

- Czy możesz złapać Paula Drake'a? - spytał telefonistkę.

- Myślę, że tak.

- Tu mówi Perry Mason. Jestem u siebie. Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie jak najszybciej. To ważne.

- Dobrze, panie Mason. Myślę, że potrwa to najwyżej piętnaście minut.

Mason wstał z łóżka, założył płaszcz kąpielowy i kapcie, a potem zapalił papierosa. Zmarszczył brwi i myślał, stojąc na szeroko rozstawionych stopach i wpatrując się w dywan. Od czasu do czasu podnosił papierosa do ust i zaciągał się głęboko.

Dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Uniósł słuchawkę i usłyszał głos Paula Drake'a.

- Cześć, Perry. Właśnie zastanawiałam się, czy dzwonić do ciebie, czy poczekać do rana. Mam pewne informacje o Tidingsie.

- Co takiego? - spytał Mason.

- To i tamto - odpowiedział Drake. - Ogólne informacje, jakieś plotki i trochę przemyśleń.

- Podaj to, co najważniejsze.

- Jest żonaty, po raz drugi. Pierwszą żoną była Marjorie Gailord, wdowa z córką. Zmarła po pięciu latach. Potem Tidings ożenił się z Nadine Holmes, aktorką, dwadzieścia osiem lat, brunetka z klasą. Zostawiła go po sześciu miesiącach. Publicznie oskarżył ją o niewierność. Ona wniosła sprawę o rozwód z powodu znęcania się fizycznego, a potem nagle wycofała pozew. Mówią, że kiedy jego prawnicy powiedzieli jej prawnikom, co na nią mają, postanowiła być grzeczną dziewczynką. Jednak nie wróciła do niego, a on nie chce dać jej rozwodu. Albo szaleje za nią, albo jest po prostu wredny.

To makler i dyrektor banku, ma opinię dobrze ustawionego. Jest jednym z powierników fundacji szpitala Elmer Hastings Memoriał. Adelle Hastings go nie znosi. Poróżnili się i panna Hastings zażądała kontroli księgowości fundacji. Wygląda na to, że jej zarzuty są uzasadnione.

- Kim ona jest? - spytał Mason.

- Wnuczką założyciela fundacji - powiedział Drake. - Rodzina straciła majątek w czasie kryzysu i pewnie przydałyby się jej pieniądze, które dziadek przekazał instytucjom charytatywnym. Jest biedna, ale dumna, szanuje nazwisko i szczyli się szpitalem.

- Czy ma coś? - spytał Mason.

- Nic, z wyjątkiem urody i pozycji społecznej. Pracuje gdzieś jako sekretarka, ale śmietanka towarzyska uważają za swoją. W ciągu tygodnia pracuje, ale weekendy spędza na jachtach milionerów i w posiadłościach bogaczy. Znajomi chcieli dać jej dobrze płatną pracę, ale ona wie, że chcą jej pomóc, i woli pozostać niezależna.

- Dobrze, Paul - rzekł Mason. - Mam coś dla ciebie. Leć na komendę policji. Znaleźli samochód Tidingsa, gdzieś na jakiejś pustej parceli. W środku były ślady krwi i palto z dziurą po kuli. Okazuje się, że palto należy do Tidingsa. Mógł je mieć na sobie, kiedy padł strzał.

- To jest coś! - powiedział Drake. - Skąd to wiesz, Perry?

- Wiadomości z ostatniej chwili z radia. Della zadzwoniła do mnie parę minut temu.

- Biorę się do roboty - powiedział Drake. - Czy mam zbadać sprawę tego samochodu?

- Dowiedz się, co wie policja - powiedział Mason. - Nie zaczynaj jeszcze własnego dochodzenia. Zbadaj fakty i informuj mnie.

- Czy mam zadzwonić później? - spytał Drake.

- Nie - odpowiedział Mason - idę spać. Zerwali mnie dzisiaj z łóżka nad ranem.

- Słyszałem - powiedział Drake. - Aha, Perry, człowiek, którego chłopcy obserwowali z twojego polecenia, też jest w zarządzie fundacji szpitala, razem z Tidingsem... Wiedziałeś o tym?

- Aha.

- Czy to coś znaczy?

- Chyba tak - rzekł Mason - ale nie wiem, co. Jeszcze nie.

- Czy chcesz, żebym zajął się sprawą pod tym kątem?

- Nie trzeba, Paul. Jeszcze za mało wiem. Dowiedz się, ile się da, nie ponosząc wydatków. Nie rób tego osobiście. Wyślij kogoś dobrego i rano zobaczymy, co mamy.

- Dobrze - rzekł Drake.

- Paul, a teraz coś, co mnie najbardziej interesuje - kontynuował Mason.

- Mów.

- To trzeba zrobić delikatnie. Potrzebuję informacji, i to tak szybko, jak się da.

- O co chodzi?

- Robert Peltham - powiedział Mason. - Nie może się dowiedzieć, że się nim interesuję, ale muszę wiedzieć, z kim romansuje. Dzwoniłem do niego dzisiaj po południu. Nie było go, a sekretarka powiedziała, że nie wie, kiedy wróci. Świetnie udawała niezorientowaną.

- Żonaty? - spytał Drake.

- Nie wiem - odpowiedział Mason. - Jeżeli tak, założę się, że nie w żonie lokuje swoje uczucia.

- Jeżeli jest żonaty, na pewno dobrze ukrywa swoje romanse - ostrzegł go Drake. - Dzień czy dwa może nie wystarczyć, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Zależy mi na tym, żeby mieć coś do jutra do drugiej po południu - powiedział Mason. - Postaraj się, Paul.

- Dobrze, spróbuję.

Mason odłożył słuchawkę, wyciągnął się na łóżku i powrócił do lektury. Książka przestała go interesować, lecz nie mógł zasnąć. Położył ją na podłodze, usiadł w fotelu koło okna, wypalił trzy papierosy, wyłączył światło, zamknął okna i wrócił do łóżka. Zasnął dopiero po godzinie.

Kiedy dotarł do kancelarii o dziesiątej rano, wydarzenia nabrały już rozpędu i toczyły się jak śnieżna kula po stoku.

Wstępna kontrola ujawniła poważne braki pieniędzy w fundacji szpitala. Audytorzy byli zaskoczeni faktem, że zniknęły czeki i księgi z transakcjami realizowanymi za ich pomocą. Jednakże z pozostałych ksiąg i innych danych wynikało, że z fundacji wyprowadzono około dwieście tysięcy dolarów, a suma ta nie miała odbicia w aktywach szpitala i w wydatkach fundacji. Ponieważ powiernicy mieli prawo sprzedawać akcje i

obligacje oraz ponownie inwestować zyski, biegli zaznaczyli, że wyjaśnienie sytuacji wymagałoby prześledzenia wszystkich skomplikowanych transakcji dotyczących materialnych aktywów szpitala.

Ponieważ pieniądze można było wyprowadzić tylko za pomocą czeków podpisywanych przez Alberta Tidingsa i któregoś z pozostałych powierników, prowadziło to do „poważnych i daleko idących wniosków”, jak to ostrożnie sformułowała gazeta. W artykule wspomniano, że Robert Peltham wyjechał służbowo, a nikt w jego biurze nie potrafi powiedzieć, jak można się z nim skontaktować. Albert Tidings zniknął w tajemniczych okolicznościach. Policja prowadzi gorączkowe dochodzenie w sprawie odnalezienia jego samochodu z plamami krwi na przednim siedzeniu i przestrelonym paltem, próbując dowiedzieć się, dokąd udał się Tidings po wyjściu z biura. Zabrnęli w ślepią uliczkę.

Parker C. Stell, jeden z powierników fundacji, skontaktował się z firmą audytorską, gdy tylko dowiedział się, że rozpoczęła się kontrola. Oddał biegłym do dyspozycji własnych księgowych. Ogłosił, że jest głęboko poruszony i gotów okazać wszelką możliwą pomoc. Stwierdził, że Tidings wzywał go od czasu do czasu, aby podpisał czek, choć to Peltham podpisywał większość czeków wraz z Tidingsem. Przyznał, że - jak to ujął - „w rozsądnych granicach” sprawami zajmował się Tidings i że po akceptacji Tidingsa podpisywanie czeków na mniejsze sumy było formalnością. Jednakże чеki na większe sumy były dokładnie sprawdzane, przynajmniej te, które podpisywał wraz z Tidingsem. Pokrywały one wydatki na papiery wartościowe, w które inwestowano pieniądze. Stell przyznał, że Tidings sam prowadził księgi rachunkowe i od czasu do czasu prezentował szczegółowe raporty dotyczące fundacji.

Adelle Hastings nie załowała ostrych słów pod adresem członków zarządu. Oskarżyła Alberta Tidingsa o defraudację, a Parkera Stella o naiwność i nieudolność. Co do Roberta Pelthama, twierdziła, że jest uczciwy i sumienny oraz że Albert Tidings nigdy nie odważyłby się posunąć mu do podpisu czek, który nie reprezentowałby uczciwej transakcji.

Mason oderwał wzrok od gazety i rzekł do Delii Street:

- Teraz rozumiem, co miał na myśli... Jednak dziwne jest to, że sprawa wyszła na jaw dzień później, niż oczekiwał.

Kiwnęła głową i rzekła po chwili:

- Zauważyłeś w tym coś szczególnego?

- Co?

- To, jak Adelle Hastings broni Roberta Pelthama. Tidings zniknął, a pokrwawione palto może być fałszywym tropem, na który ktoś chce skierować policję. Peltham wyjechał, a

Parker Stell jest na miejscu i robi, co może, żeby pomóc, lecz to jego oskarża o naiwność i nieudolność.

- Świetnie, Delio - zachęcił ją Mason. - Jeżeli uda ci się to rozgryźć, nie będę musiał łamać sobie głowy, analizując sprzeczne fakty.

- Panna Hastings musiała mieć dokładne informacje na temat tego, co się dzieje w fundacji. Coś, na czym mogła oprzeć swoje oskarżenia.

Mason kiwnął głową.

- Zrobiła aferę - powiedziała Della Street - i teraz wygląda na to, że Peltham jest po uszy w kłopotach, na równi z Tidingssem, lecz Adelle Hastings bierze go w obronę. Z artykułu wynika, że tylko Parker Stell zachowuje się logicznie, rozsądnie i uczciwie, lecz panna Hastings właśnie jego oskarża o nieudolność.

- Czy chcesz powiedzieć - spytał Mason - że Robert Peltham powiedział Adelle Hastings, co się dzieje w fundacji?

- Szefie, obudź się - odrzekła Della. - Chcę powiedzieć, że Adelle Hastings ma drugi kawałek tego banknotu, który leży w sejfie.

Mason wyprostował się gwałtownie.

- To jest myśl.

- To tylko spekulacja - kontynuowała Della - ale nie potrafię sobie wyobrazić jej w innej roli. Jako kobieta czuję, że jest zakochana w Pelthamie... W każdym razie ufa mu, co w tych okolicznościach nie jest w pełni uzasadnione, i bardzo się stara, żeby to okazać publicznie.

Cała reszta pasuje. Teraz widać, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że Peltham jako jeden z powierników fundacji utrzymuje bliskie stosunki z Adelle Hastings.

- Ale po co ta cała tajemnica? - spytał Mason. - Dlaczego nie miałyby się z nią spotykać albo ożenić?... Zakładając oczywiście, że nie jest już żonaty.

- Tego dowiemy się już niedługo - rzekła Della. - Mogę się tylko założyć, że to ona ma drugi kawałek banknotu.

Mason właśnie sięgał po papierosa, kiedy Paul Drake zastukał do drzwi prowadzących bezpośrednio z korytarza do kancelarii.

- To Paul - powiedział Mason. - Wpuść go... Do diabła, im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że masz rację. To by oczywiście oznaczało, że Peltham nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym przyjął sprawę Byrl Gailord... Choć mam pewne przemyślenia na temat pani Tump.

- Co takiego? - spytała Della, otwierając drzwi Paulowi.



- Później ci powiem - odparł Mason. - Cześć, Paul.

Paul Drake był wysoki i ospały. Mówił, przeciągając głoski, i chodził powolnym krokiem. Był szczuplejszy od Masona, garbił się i miał w zwyczaju opierać się o biurko lub szafkę albo przysiądać na poręczy fotela. Sprawiał wrażenie kogoś pozbawionego energii i oszczędzającego resztkę tej, która mu jeszcze została.

- Cześć, Perry, cześć, Delio - powiedział Drake i podszedł do wielkiego, skórzanego fotela. Opadł na wygodne poduszki z westchnieniem zadowolenia, po czym po chwili podniósł stopy i obrócił się w fotelu tak, że oparł się plecami o jedną poręcz i przerzucił nogi przez drugą.

- Perry, muszę ci coś powiedzieć - odezwał się.

- Co takiego tym razem? - spytał Mason.

- Wybierasz dziwne sprawy. Wiedziałeś, że wyda się ta sprawa Tidingsa?

Mason spojrzał na Delię i potrząsnął głową.

- Perry, chciałbyś usłyszeć coś o życiu miłosnym Tidingsa?

- Czy ma to związek z naszą sprawą?

- Aha. Być może nawet z samym Tidingsem. Skoro zniknął, mogę wskazać osobę, która widziała go ostatnia.

Mason wyprostował się w fotelu i zaczął nerwowo bębnić palcami po blacie biurka.

- Paul, myślę, że i tak się tego dowiem.

- Kiedy?

- O drugiej, dziś po południu.

- Sądzę, że to się wyda wcześniej. Olbrzymia presja. Wpadnie na to jakiś dziennikarz albo detektyw - powiedział Drake.

- Co masz? - spytał Mason.

- Tidings powiedział bliskiemu przyjacielowi trzy dni temu, że chce zastawić pułapkę na żonę - powiedział Drake. - Wprowadzi się do niej i zmusi ją, żeby go wyrzuciła. Dałoby mu to przewagę w jakimś prawnym aspekcie. Powiedział, że żona czeka, żeby dostać rozwód z powodu separacji, więc wprowadzi się, zanim minie rok od rozstania.

Odszukałem ją. Mieszka na jednym z tych wzgórz, gdzie są piękne widoki i spokój. Mam przecucie, że Tidings pojechał tam we wtorek, kiedy wyszedł z biura. Chcesz to sprawdzić?

- Chyba tak - stwierdził Mason. - Delio, połącz mnie z Byrl Gailord. Skoro mam się w to wplątać, muszę zdobyć więcej informacji.

- A co ona ma wspólnego z tą sprawą? - spytał Drake, kiedy Della bezszelestnie wyszła z biura.

- To długa historia - odpowiedział Mason. - To córka pierwszej żony Tidingsa, choć w rzeczywistości nią nie jest. Łączy się to ze sprawą adopcji... Coś jeszcze, Paul?

- Nie mogę się niczego dowiedzieć o przyjaciółce Pelthama.

- Czy jest żonaty?

- Nie, jest kawalerem. Biznesmen, dosyć surowy, ktoś w rodzaju ascety. Znajomi mówią o nim, że jest jak zimna, zrównowazona, myśląca maszyna. Perry, jesteś pewny, że może być w kimś zakochany?

Mason roześmiał się.

- To ty dostarczasz mi informacji. Ja jestem adwokatem chroniącym prywatność swoich klientów...Ty dajesz, ja biorę.

Della Street otworzyła drzwi do biura, trzymając w ręce słuchawkę.

- Jest na linii, szefie - powiedziała.

Mason podniósł słuchawkę telefonu stojącego na jego biurku.

- Halo, czy to panna Gailord? Miły, kobiecy głos rzekł:

- Dzień dobry, panie Mason. Dziękuję, że pan zadzwonił. Rozumiem, że jesteśmy umówieni na drugą.

- Tak - rzekł Mason - ale tymczasem wydarzenia rozwijają się w szybkim tempie. Czy czytała pani gazety?

- Tak. Co to wszystko znaczy?

- Nie wiem - odpowiedział Mason - ale trafiłem na pewien ślad, który chcę zbadać. Wszystko, co w tej chwili wiem, pochodzi z gazet... Rozumiem, że pani wie, co pani Tump robi w pani imieniu.

- Tak.

- Czy pani to aprobuje?

- Tak, oczywiście.

- Czy chce pani, żebym wziął tę sprawę?

- Naturalnie. Pani Tump działa w moim imieniu.

- Czy zna pani pana Pelthama?

Zawahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

- To znajomy pani Tump. To zdaje się on skierował ją do pana.

- Tak to rozumiem. Domyślam się, że zna pani bardzo dobrze pana Tidingsa.

- Tak, oczywiście.

- W jakich państwo pozostają stosunkach?

- Przyjacielskich. Nie miałam żadnych wątpliwości, dopóki nie zaczęłam się ostatnio interesować swoimi sprawami. Kiedy go o to spytałam, wujek Albert - tak do niego mówię - wściekł się. Powiedział, że pani Tump nagadała mi bzdur, że chce przejąć mój majątek, choć to nieprawda. Mam do niej absolutne zaufanie. Wiem coś, czego nie mogę powiedzieć nawet panu, panie Mason, ale pani Tump ma pełnomocnictwo, żeby działać w moim imieniu.

- Dziękuję - powiedział Mason. - Właśnie to chciałem wiedzieć. Do zobaczenia o drugiej.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Delii:

- Połącz mnie z „Journal”. Zobaczmy, czy ktoś odpowiedział na moje ogłoszenie.

Della Street kiwnęła głową, wykręciła numer i po chwili pokazała mu gestem, że może mówić.

- Tu Perry Mason - przedstawił się. - Umieściłem ogłoszenie w porannym wydaniu. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś na nie odpowiedział.

- Chwileczkę, sprawdzę w dziale ogłoszeń - odrzekł mężczyzna.

Mason usłyszał, jak kroki oddalają się od telefonu i po chwili wracają. Mężczyzna powiedział:

- Tak, panie Mason. Niecałą godzinę temu młoda kobieta przyniosła odpowiedź. Brzmi ona: „Tak. R. P.”. W nagłówku jest napisane: „Odpowiedź dla M.”, co - jak rozumiem - oznacza pańskie ogłoszenie... Jutro je opublikujemy, więc nie ma powodu robić z niego tajemnicy.

- Dziękuję panu bardzo - rzekł Mason, odłożył słuchawkę i kiwnął głową Paulowi Drake'owi.

- Dobrze, Paul - powiedział. - Czas odwiedzić zgnębioną żonę.

#### ***Rozdział 4***

Mason zredukował bieg u stóp wzniesienia. Drogi wiła się w górę na stromym pagórku, typowym dla południowej Kalifornii. Osiedle było nowe, wiele działek pozostawało jeszcze pustych, a przy niektórych stały czerwone tablice z napisem SPRZEDANE. Dookoła stały porozrzucane parterowe domy, wszystkie nowe. Bliżej szczytu wzniesienia, gdzie grunt był bardziej płaski, ciasno obok siebie stało kilka domów.

- To będzie jeden z nich - powiedział Drake. Mason spojrzał na numery domów i stwierdził:

- To będzie ostatni w tym rzędzie... O, jest.

Front wychodził na południowy wschód. Po zachodniej stronie wznosiło się wzgórze pokryte gęstą roślinnością. Poniżej, ku wschodowi, rozciągało się lśniące miasto. Białe budynki odbijały blask słońca, jak klejnoty ukryte pod czerwonymi plamami dachów.

Mason przyjrzał się dokładnie, zanim podszedł, żeby nacisnąć dzwonek. Dom stał dwieście jardów od granicy osiedla. Za nim, na płaskim fragmencie górzystego terenu, droga kończyła się wielkim rondem, na którym mogły zawracać samochody. W ciepłe promieni słonecznych aromatyczne powietrze pachniało żywicą. Niebo rozciągało się nad głową jak niebieska, bezchmurna kopuła. Daleko na północnym wschodzie błyszcząły górskie szczyty. Biała pokrywa śniegu zawisała na pastelowo niebieskich sylwetkach odległych stoków.

- Zasłony zaciągnięte. Wygląda, jakby nikt tu nie mieszkał - rzekł Mason.

- Jeżeli jest w środku - odpowiedział Drake - przyjechał tu, żeby się ukryć.

Mason wszedł na werandę po cementowej ścieżce i nacisnął kciukiem przycisk dzwonka. Usłyszeli jego dźwięk, lecz w środku nikt się nie poruszył. Dookoła panowała martwa cisza niezamieszkanego domu.

- Może spróbujemy z tyłu - zaproponował Drake. Mason potrząsnął głową, nacisnął przycisk jeszcze raz i rzekł:

- Chyba... Zaraz, Paul, co to jest?

Drake spojrzał ma miejsce, na które patrzył adwokat, i tuż koło progu ujrzał rdzawą, czerwonobrazową plamę o nieregularnym kształcie.

Mason przesunął się i powiedział:

- Patrz, jeszcze jedna.

- I jeszcze z tyłu - zauważył Drake.

- Wszystkie nie dalej niż osiemnaście cali od progu - dodał Mason. - Wygląda to tak, jakby ktoś ranny wszedł do domu albo z niego wyszedł. Musiał mocno krwawić.

- I co? - spytał Drake.

Mason otworzył drzwi z siatką przeciw owadom, obejrzał frontowe drzwi i stwierdził:

- Nie są zamknięte.

- Uważaj, co robisz - ostrzegł go Drake. Mason pochylił się, żeby obejrzeć plamy krwi.

- Są tu już od pewnego czasu - orzekł. - Ciekawe, czy po południu dociera tu światło słoneczne... Wyglądają, jakby wyschły na słońcu.

Podniósł wzrok, żeby zobaczyć, w jakim kierunku układają się cienie. Weranda składała się z cementowej podłogi nakrytej dwuspadowym dachem o długości najwyższej trzech stóp. Zbudowany został bardziej dla dekoracji niż ochrony drzwi.

- No i co, Perry? - spytał detektyw.

Zamiast odpowiedzieć, adwokat zastukał do drzwi, równocześnie naciskając je kolaniem. Drzwi otworzyły się powoli.

- Proszę - rzekł Mason - jesteś świadkiem. Zastukaliśmy do drzwi, a one otworzyły się same.

- No, dobrze - powiedział Drake - ale nie podoba mi się to. Co teraz? Mason wszedł do środka.

- Czy ktoś tu jest? - zawołał.

Był to typowy dom z dużymi oknami, gazowymi piecykami do ogrzewania, dekoracyjną ścianką działową, za którą znajdowała się jadalnia, i wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni. Po jednej stronie salonu było dwoje drzwi do sypialni.

Dom wyglądał na zamieszkały. Na wiklinowym stoliku na środku pokoju leżały czasopisma. Przy stoliku stał wygodny fotel, a za nim lampa. Jedno z czasopism leżało otwarte, okładką do góry.

Mason spojrzał na podłogę pokrytą dywanami w indiańskie wzory.

Zauważył czerwoną plamę na dywanie. Kilka cali dalej była następna. Na podłodze znalazł kolejną plamę o nieregularnym kształcie. Jeszcze jedna była na dywanie koło drzwi prowadzących do sypialni po lewej.

Mason poszedł wzdłuż śladów prosto do drzwi.

Drake cofnął się.

- Wchodzisz? - spytał.

Zamiast odpowiedzieć, Mason przekręcił klamkę i otworzył drzwi.

Ze środka wypłynęło gorące, cuchnące powietrze i zaatakowało jego nozdrza. Było to pozbawione tlenu powietrze dokładnie zamkniętego pokoju, w którym włączono ogrzewanie, powietrze niosące zapach śmierci.

Jedno spojrzenie na ubraną postać leżącą na łóżku potwierdziło wymowę nagrzanego, pozbawionego życia powietrza.

Mason zwrócił się Paula Drake'a.

- Wezwij policję, Paul. - Tam jest telefon. Detektyw rzucił się w kierunku aparatu. Adwokat wszedł do pokoju i rozejrzał się.

Była to sypialnia kobiety. Na toaletce stały słoiczki z kremem i buteleczki z emulsją. Na podłodze widniały ślady krwi. Na łóżku nie było narzuty. Kołdra przesiąkła krwią, która utworzyła zaschniętą, okrągłą plamę pod nieruchomym ciałem.

Ciało ubrane było w szary, dwurzędowy garnitur. Marynarka była rozpięta. Wyschnięta, czerwona krew utworzyła złowieszcze wzory na spodniach. Na stopach nie było butów, tylko szare, jedwabne, haftowane skarpetki, pasujące do szarych spodni. Mężczyzna leżał na plecach. Szkliste oczy do połowy zakrywały powieki. Wnętrze otwartych ust miało szaropurpurowy kolor. Wokół warg widać było szkarłatną plamę, która mogła stanowić ślad szminki, niedostrzegalny za życia, lecz teraz ostro kontrastujący z bladą skórą martwego człowieka.

Piecyk gazowy syczał na pełnych obrotach. Okna były szczelnie zamknięte za zasuniętymi zasłonami.

Gdzieś w pokoju bzyczała zaaferowana mucha.

Mason klęknął na jedno kolano i zajrzał pod łóżko, lecz nic tam nie znalazł. Otworzył szafę. Była pełna kobiecych ubrań. Zajrzał do łazienki, doskonale czystej, z wyjątkiem rdzawych plam czerwieni na brzegu umywalki. Ręcznik leżący na podłodze był sztywny od zaschłej krwi. Mason otworzył drzwi sąsiedniej sypialni. Najwyraźniej używana była jako dodatkowy pokój dla gości. Nie było śladów wskazujących, że ostatnio ktoś jej używał.

Adwokat wrócił do salonu i zastał Paula Drake'a koło telefonu.

- Tidings? - spytał Drake.

- Nie wiem - odpowiedział Mason. - Być może.

- Przeszukałeś ubranie?

- Nie.

Drake westchnął z ulgą.

- Cieszę się, że wykazujesz choć trochę rozsądku. Na miłość boską, Perry, zamknij te drzwi... Otwórzmy okna.

- Nie, chodźmy na zewnątrz - odrzekł Mason. - Zostawimy wszystko tak, jak było, kiedy weszliśmy.

- Zostawiliśmy odciski palców. Chłopcy z wydziału zabójstw nie będą...

Przerwał i nasłuchiwał.

- Samochód - powiedział.

Samochód przejechał, zawrócił na rondzie, podjechał pod dom i zatrzymał się.

Drake odsunął na kilka cali zasłonę frontowego okna i powiedział:

- Coupé... Elegancka kobieta za kierownicą... Wysiada... Świetne nogi... Walizeczka, brązowy płaszcz, kołnierz z lisa... Idzie tu. Perry, co zrobimy, kiedy zadzwoni?

- Zamknij drzwi nogą, Paul - powiedział Mason. - To chyba zamek z zapadką. Zapamiętaj numer rejestracyjny.

- Nie widzę stąd. Zaparkowała dokładnie przed domem. Zobaczę, kiedy odjedzie.

- Nie ruszaj się i siedź cicho - powiedział Mason.

Usłyszeli stukanie obcasów na cemencie i odgłos otwierania drzwi z siatką. Czekali na dzwonek, lecz dobiegł ich odgłos klucza wkładanego do zamka. Zamek odskoczył i kobieta weszła do środka.

Na początku, zanim jej oczy przyzwyczyły się do półmroku wnętrza, nie dostrzegła dwóch mężczyzn. Ruszyła do sypialni i nagle zatrzymała się. Kiedy zobaczyła Masona, szeroko otworzyła oczy. Bezwładne dłonie upuściły walizeczkę i płaszcz. Kobieta obróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. Klucze opadły z brzękiem na podłogę.

Drake ruszył spod okna i stanął między nią a drzwiami. Kobieta krzyknęła.

- Niech pani przestanie - rzekł Mason.

Na dźwięk jego głosu obróciła się gwałtownie w jego stronę. Patrzyła się na niego przez chwilę, poczym powiedziała po prostu: - O.

- Jestem adwokatem - powiedział Mason. - Ten człowiek jest detektywem. Innymi słowami, nie jesteśmy złodziejami. Kim pani jest?

- Jak... jak tu weszliście?

- Po prostu - odpowiedział Mason. - Zamek był otwarty, a drzwi lekko uchylone.

- Zamknęłam je kiedy... kiedy...

Zająknęła się, przełknęła ślinę, zaśmiała się nerwowo i powiedziała:

- Przestraszyliście mnie. O co chodzi?

Była atrakcyjną brunetką około trzydziestki, w eleganckim ubraniu podkreślającym figurę i indywidualny styl. Jej twarz zbladła i na białej skórze widać było upudrowane miejsca.

- Czy pani tu mieszka? - spytał Mason.

- Tak.

- W takim razie jest pani...

- Nazywam się Tidings.

- Czy mąż też tu mieszka?

- Dlaczego pan mnie o to pyta? Czego pan chce? Włamaliście się do mojego domu.

- Nie włamaliśmy się - powiedział Drake. - Po prostu...

- Po prostu weszliśmy - wyjaśnił Mason, przerywając Drake'owi. - Będzie lepiej dla pani, jeżeli odpowie pani na pytania. Czy mąż tu mieszka?

- Nie. Jesteśmy w separacji.

- Czy ostatnio państwo się pogodzili?

- Nie.

- Nie prowadzili państwo rozmów zmierzających do zawarcia porozumienia?

- Nie - odpowiedziała, dodając zaczepnym tonem: - Zresztą, to nie pańska sprawa.

Rumieniec powrócił na jej twarz, a w oczach pojawiły się błyski gniewu.

- Proszę usiąść i uspokoić się. Niedługo będzie tu policja.

- Dlaczego miałyby przyjeżdżać tu policja?

- Bo znaleźliśmy coś w sypialni - rzekł Mason i wskazał na plamy na podłodze.

- Co to? - spytała. - Farba? Co to jest? Mój Boże!

Zrobiła krok do przodu, wpatrzona w plamy, i podniosła do ust dłoń. Przygryzła ciasno naciągniętą skórę czarnej rękawiczki.

- Proszę się uspokoić - powiedział Mason. - Kto... Kto... Co...?

- Jeszcze nie wiemy - wyjaśnił adwokat. - Powinna się pani przygotować na najgorsze.

Myszę, że to ktoś, kogo pani zna.

- Nie... Nie... O, Boże, to nie może być...

- Pani mąż - rzekł Mason.

- Mój mąż! - krzyknęła. W jej głosie słyhać było niedowierzenie i coś, co zabrzmiało jak ulga. Nagle w głosie pojawiła się panika. - To znaczy, że on... że on mógł to zrobić, mógł...

- Wydaje mi się, że to pani mąż nie żyje - powiedział Mason. Wydała z siebie stłumiony okrzyk i ruszyła w kierunku drzwi sypialni. Mason złapał ją za ramię.

- Proszę tego nie robić - rzekł.

- Jako to? Muszę się dowiedzieć...

- Później. Teraz może pani zniszczyć odciski palców na klamce.

- Ależ mam prawo wiedzieć! Nie rozumie pan, jak się...

- Proszę spojrzeć na to z punktu widzenia policji - rzekł prawnik. - Proszę trochę pomyśleć.

Patrzyła na niego w milczeniu przez kilka sekund, po czym usiadła na sofie.

- Jak to się stało? - spytała.

- Chyba ktoś go zastrzelił.

- Kiedy?

- Nie wiem. Był u siebie w biurze wczoraj rano. Rozmawiałem z nim przez telefon.

Pewnie przyjechał tu zaraz potem... Czy wie pani coś na ten temat?

- Nie - odpowiedziała. - Wyjechałam w poniedziałek po południu.

- Czy może mi pani powiedzieć, o której? - spytał Mason.



- Dlaczego?

- Policja będzie panią o to pytać - rzekł Mason z uśmiechem.

- W końcu to pani dom. Pomyślałem, że pomoże to pani, jeżeli pozbiera pani myśli przed ich przyjazdem.

- Bardzo jest pan troskliwy - odrzekła. - Czy to było samobójstwo?

- Nie wiem - odparł prawnik. - Nie sprawdzałem.

- A ten detektyw?

- To prywatny detektyw. Pracuje dla mnie.

- Po co tu przyjechaliście?

- Przypuszczaliśmy, że pan Tidings przyjechał tu po wyjściu z biura we wtorek.

Widziała się pani z nim ostatnio?

- Nie. Nie utrzymywaliśmy stosunków.

- Proszę mi powiedzieć, dokąd pojechała pani w poniedziałek

- rzekł Mason.

- Jechałam prawie całą noc - odparła. - Byłam zdenerwowana.

- Dokąd pani pojechała?

- Do przyjaciółki. Zostałam u niej na dwa dni.

- Nie zabrała pani dużego bagażu - zauważył Mason.

- Nie. Zdecydowałam się pod wpływem impulsu. No, cóż... mam pewne problemy.

- Gdzie mieszka pani przyjaciółka?

- W Reno.

- I tam pojechała pani w poniedziałek?

- Tak. Dotarłam tam wcześniej rano we wtorek. Jazda dobrze mi zrobiła. Poczułam się lepiej.

- I była tam pani cały czas?

- Do wczoraj wieczorem. Wyjechałam około dziesiątej.

- Gdzie zatrzymała się pani na noc? Zaśmiała się nerwowo i potrząsnęła głową.

- Nie jeżdżę tak. Kiedy dokądś jadę, po prostu ruszam. Gdy poczuję się śpiąca, zatrzymuję się na poboczu i zasypiam na kilka minut, a potem mknę dalej. Wolę jeździć w nocy. Nie znoszę blasku słońca odbijającego się od nawierzchni.

- Spała pani w nocy?

- Tak. Zdrzemnęłam się parę razy po drodze.

- Policja prawdopodobnie zechce to dokładnie sprawdzić - rzekł Mason. - Jeżeli poda im pani wszystkie szczegóły, będzie pani w lepszej sytuacji. Mówię to jako pani przyjaciel... Przyjechali.

Dobiegł ich dźwięk syreny. Policyjny radiowóz wjechał pędem na płaski odcinek drogi i zahamował ostro przy krawężniku. Z samochodu wysiadł policjant i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku domu.

Drake otworzył drzwi.

Policjant spojrzał na Drake'a i włożył stopę w drzwi.

- Który z was dzwonił na policję? - spytał.

- Ja - odpowiedział Drake. - Jestem prywatnym detektywem.

- Nazywa się pan Drake?

- Tak.

- Ma pan przy sobie licencję?

Policjant obejrzał licencję, którą wręczył mu Drake.

- A kobieta i ten facet? - spytał policjant.

- To pani Tidings. Przyjechała po tym, jak zadzwoniłem na policję.

Policjant przyglądał się jej podejrzliwie.

- Właśnie w tej chwili wróciłam z Reno - wyjaśniła. - Samochodem.

- Kiedy pani stamtąd wyjechała?

- Wczoraj wieczorem.

- Ta pani tu mieszka - wyjaśnił Mason. - To jej dom. Była w Reno u przyjaciółki.

- Rozumiem. A pan kim jest? Aha, poznaję pana. Perry Mason, adwokat. Co pan tu robi?

- Przyjechaliliśmy, żeby spotkać się z panem Tidingssem.

- Zastaliście go?

- Myślę, że to jego ciało leży w sypialni.

- Powiedział pan, że ta pani przyjechała, kiedy już tu byliście.

- Zgadza się.

- No to jak weszliście?

- Zamek był otwarty, a drzwi lekko uchylone - wyjaśnił Mason.

- No, dobrze. Wydział Zabójstw będzie tu za chwilę. Dostaliśmy polecenie przez radio, żeby przypilnować wszystkiego do ich przyjazdu. Niczego nie dotykaliście?

- Nie, niczego ważnego.

- Klamek i tak dalej?

- Może.

Policjant zmarszczył brwi.

- Dobrze - powiedział. - Proszę wyjść. Ładny dzień. Poczekaście na zewnątrz. Nie chcę tu żadnych odcisków palców... Mam nadzieję, że nie dotykał pan ciała.

- Nie.

- Przeszukał pan ubranie?

- Nie.

- Gdzie to jest?

- W sypialni.

- Dobrze - rzekł policjant. - Proszę wyjść... Co to jest na podłodze? Krew?

- Te ślady zawiadły nas do ciała - rzekł Mason. - Niech pan zauważy, że prowadzą od progu do drzwi sypialni.

- Dobrze - powiedział policjant. - Niech pan wyjdzie. Spojrzę do sypialni.

Otworzył drzwi, zajrzał do środka, cofnął się i zamknął je.

- Są podstawy do przypuszczenia, że to ciało Alberta Tidingsa, męża tej pani - powiedział Mason. - Może powinna zidentyfikować ciało?

- Zrobi to, kiedy przyjadą tu z Wydziału Zabójstw - odparł policjant. - Ja mam przypilnować śladów. Niech pan wyjdzie, już. Zawołam pana, jeżeli będzie mi pan potrzebny.

Mason ruszył pierwszy i wyszedł na zewnątrz, na świeże, ciepłe powietrze. Policjant poszedł za nimi do drzwi i zawołał do kolegi, siedzącego za kierownicą radiowozu:

- Nie spuszczać z nich oka, Jack. Mamy tu trupa. W sam raz coś dla Wydziału Zabójstw.

Wszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Mason poczęstował panią Tidings papierosem. Przyjęła go z wdzięcznością. Drake odmówił, kręcąc głową. Mason włożył papierosa do ust i zapalił zapalkę. Przyłożył płomień do papierosa pani Tidings, gdy z dołu dobiegł ich dźwięk silnika samochodu pędzącego na drugim biegu.

- Wydział Zabójstw - stwierdził prawnik.

Samochód wyłonił się zza zakrętu, wjechał na płaski odcinek drogi i zatrzymał się koło nich. Ze środka wyskoczyli ludzie. Policjant z patrolu wysiadł z samochodu i złożył meldunek ściszym głosem. Drugi policjant pojawił się w drzwiach domu.

- To tutaj, chłopaki - powiedział.

Sierżant Holcomb podszedł zdecydowanym krokiem do Masona.

- Dzień dobry, panie Mason.

- Witam, sierżancie.

- Skąd się pan tu wziął?

- Miałem pewną sprawę do Alberta Tidingsa - odrzekł adwokat. - Otrzymałem informację, że może tu go zastać.

- I zastał go pan?

- Myślę, że to jego ciało - powiedział Mason. - Przypuszczam, że jest tu przynajmniej od wczoraj po południu. Ogrzewanie jest włączone, a okna i drzwi były dokładnie zamknięte. Będziecie musieli to uwzględnić, określając czas zgonu.

- Kiedy pan tu przyjechał?

- Jakies pół godziny temu.

- Czy przypuszczał pan, że znajdzie pan ciało?

- Nie.

- Widział go pan kiedyś?

- Nie.

- Rozmawiał pan z nim przez telefon?

- Tak, wczoraj zadzwoniłem do niego do biura.

- O której?

- Ja wiem? Krótko przed jedenastą.

- Co mówił?

- Byłem z nim wstępnie umówiony - odpowiedział Mason. - Chciałem przełożyć spotkanie na później.

- Pokłóciliście się?

- W zasadzie nie.

- Po co mieliście się spotkać? Mason uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Panie Mason - rzekł sierżant Holcomb - niech pan mówi. Mamy morderstwo, musimy znać motyw. Jeżeli będziemy wiedzieć, o czym mieliście rozmawiać, może znajdziemy motyw zabójstwa.

- Albo i nie - rzekł adwokat. Sierżant zacisnął usta.

- No, dobrze - powiedział. - Proszę tu zostać, dopóki nie pozwolę panu odjechać... To pański samochód?

- Tak.

- Czyj jest ten drugi?

- Pani Tidings... Pani Tidings, proszę poznać sierżanta Holcoma.

Policjant nie zdjął kapelusza.

- Co panią łączy z denatem?

- Jestem jego żoną.

- Mieszkacie razem?

- Nie, jesteśmy w separacji.

- Rozwiedzeni?

- Nie, jeszcze nie... To znaczy, nie. Nie mieliśmy rozwodu.

- Dlaczego? Zarumieniła się.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Prędzej czy później będzie pani musiała - stwierdził sierżant. - Nie chcę wtrącać się w pani prywatne sprawy, ale są rzeczy, które muszę wiedzieć. Proszę tu zostać. Idę do środka.

Pozostali weszli już do domu i sierżant podążył za nimi. Mason upuścił papierosa na cement i przydeptał go podeszwą buta.

- Tak z ciekawości, pani Tidings - rzekł. - Czy pani mąż był tu już przedtem?

- Raz.

- Z przyjacielską wizytą?

- Służbowo.

- Czy alimenty były jakimś problemem?

- Nie, w zasadzie nie. Alimenty to drobiazg. Nie zależało mi na nich.

- Chciała pani być wolna?

- Po co pan o to pyta?

- Bo odpowiedzi mogą pomóc mojemu klientowi, a policja i tak będzie chciała to wiedzieć.

- Kim jest pański klient?

- Nie mogę tego jeszcze powiedzieć.

- Czy to Byrl Gailord?

- Gailord? - zdziwił się adwokat. - Skąd pani to przyszło do głowy?

Obserwowała go przez przymknięte powieki.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - odparła.

- A pani nie odpowiada na moje - powiedział Mason. Podszedł do krawężnika i zamyślił się. Policjant z patrolu przyglądał mu się podejrzliwie.

Mason gwałtownie obrócił się do pani Tidings i rzekł:

- Robi pani wrażenie miłej osoby.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że nie usiłuje pani nikogo oszukać.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Sierżant Holcomb pojawił się w drzwiach domu i gestem przywołał panią Tidings.

- Proszę wejść - rzekł.

Mason wyjął z kieszeni papierośnicę i wziął papierosa.

- Niech pani uważa - powiedział cichym głosem, wpatrzony w pokryte śniegiem góry na odległym horyzoncie. - Jeżeli ma mi pani coś do powiedzenia, proszę zrobić to teraz.

Pani Tidings potrząsnęła głową w geście zdecydowanej odmowy i ruszyła pewnym krokiem w kierunku domu.

### ***Rozdział 5***

Kiedy Mason szedł korytarzem, Della Street czekała już w drzwiach kancelarii. Gestem przywołała go do środka, tak aby wszedł, nie przechodząc przez sekretariat.

- Ktoś do mnie, Delio? - spytał.

- Pani Tump i Byrl Gailord.

- Były umówione na drugą.

- Wiem, ale są czymś zdenerwowane. Twierdzą, że muszą się z tobą natychmiast zobaczyć.

- Miałem zaprosić cię na lunch - stwierdził Mason.

- Próbowałam się ich pozbyć - powiedziała - ale nie udało się. Gryzą paznokcie i szepczą do siebie.

- Jak wygląda Byrl?

- Nie jest piękna, ale ma dobrą figurę i osobowość. Twarz niezbyt ładna, ale dziewczyna musi świetnie wyglądać w kostiumie kąpielowym. Ciemne włosy i czarne oczy. Nosi ubranie w ostrych kolorach, kiedy mówi, dużo rusza rękami. Bardzo energiczna.

- Przyjmę je i będę miał to z głowy... Wpadliśmy tam na coś, Delio.

- Na co?

- Na Alberta Tidingsa - odparł, - z sympatyczną dziurą po kuli rewolwerowej, chyba kaliber trzydzieści osiem. Nie było to samobójstwo, bo nie ma śladów prochu na ubraniu i skórze, a policja nie znalazła broni. W prawej kieszeni spodni miał rewolwer kalibru trzydzieści dwa, ale nikt z niego nie strzelał. To nie z tej broni go zabito. Co więcej, nie znaleźli jego butów. Na twarzy miał ślady szminki.

- Kiedy znaleziono ciało?

- Gdy tam przyjechaliśmy.

- To znaczy, wy go znaleźliście?

- Zgadza się.

- Myślisz, że Paul Drake coś podejrzewał?

- Nie, nie Paul. Policja i tak uważa, że natykamy się na zbyt wiele ciał. Paul strasznie się tym przejmuje.

- No cóż, co za dużo to niezdrowo, szefie.

- To nie moja wina - rzekł, uśmiechając się szeroko. - Poznaliśmy też panią Tidings. Była u przyjaciół w Reno i zaskoczyła nas.

- Jaka jest? - spytała Della.

- Ma klasę - odpowiedział Mason. - Zniosła to bardzo dzielnie. Miała odwagę powiedzieć policji, że go nie kocha i że robił, co w jego mocy, żeby jej uprzykrzyć życie, że chciała rozwodu, ale on nie chciał się zgodzić. Nie wchodziła w szczegóły, ale najwyraźniej coś na nią miał.

- Czyli, logiczne rzecz biorąc, jest główną podejrzaną - powiedziała Della.

- Tak chyba uważa policja. Będą sprawdzać jej alibi. Holcomb przy mnie zadzwonił do Reno. Wygląda na to, że ona mówi prawdę... W każdym razie, powróciła moja obsesja.

- Jak to?

Mason uśmiechnął się szeroko.

- Spróbowałem po omacku - powiedział - podejrzewając, że to ona ma ten kawałek banknotu.

- I co?

- Nic. Zresztą, to nie może być ona. Wyjechała w poniedziałek po południu. Jej znajomi twierdzą, że przyjechała o świcie. Policja w Reno sprawdza to, ale już ta rozmowa telefoniczna rozwiała chyba wszelkie wątpliwości. Nawet Holcomb w to uwierzył... No, dobrze. Wprowadź panią Tump i dziewczynę. Zobaczymy, jak zareagują na te wieści.

- Szefie, skoro Tidings nie żyje, nie musisz już chyba brać tej sprawy.

- Pewnie nie - rzekł adwokat. - Mogę obserwować rozwój wydarzeń. Niewiele można teraz zrobić. Sąd wyznaczy innego powiernika.

- Panią Tump? - spytała Della.

- Nie sądzę - rzekł Mason. - Pewnie będzie to jakiś fundusz powierniczy. Samo sprawdzenie księgowości będzie wymagać sporo pracy.

- Wprowadzić je?

- Aha - przytaknął Mason i podszedł do umywalki. Kiedy wycierał ręce ręcznikiem, Della wprowadziła panią Tump i atrakcyjną, smukłą dziewczynę. Rozejrzała się szybko po kancelarii i z uznaniem spojrzała na Perry'ego Masona.

- Byrl, to jest pan Mason - odezwała się pani Tump, po czym zwróciła się do adwokata. - To Byrl Gailord.

Mason ujrzał czerwone usta odsłaniające w uśmiechu białe zęby, zobaczył lśniąco, czarne oczy i poczuł w dłoni rękę Byrl Gailord.

- Nie chcę panu przeszkadzać, panie Mason - powiedziała, uśmiechając się - ale kiedy powiedziałam pani Tump, co od pana usłyszałam przez telefon, wie pan, to o badaniu pewnych śladów... Cóż, nie mogliśmy czekać.

- Nic nie szkodzi - rzekł Mason. - Badanie zakończone. Proszę usiąść.

- Co to było? - spytała pani Tump. - Co pan znalazł? Mason poczekał, aż usiądą.

- Albert Tidings nie żyje - powiedział. - Znaleźliśmy ciało na łóżku w domu jego żony i wezwaliśmy policję. Postrzelono go w lewy bok, ale policja nie znalazła broni. W kieszeni miał rewolwer, ale to nie z niego oddano strzał, zresztą to nie ten kaliber. Na twarzy miał delikatny ślad szminki.

Byrl Gailord zdławiła krzyk. Pani Tump patrzyła na Masona przestraszonym wzrokiem.

- To na pewno on? - spytała.

- Tak - odpowiedział Mason. - Żona go zidentyfikowała.

- Ciało było w jej domu?

- Tak.

- A gdzie ona była?

- W Reno - odpowiedział Mason. - Przyjechała akurat wtedy, kiedy znaleźliśmy ciało.

Byrl Gailord stwierdziła z prostotą:

- Cieszę się, że to nie samobójstwo. Czułabym, że... że wpędziłyśmy go w to.

- Nonsens - odezwała się pani Tump.

- Tak bym się czuła - upierała się Byrl. - Bardzo go lubiłam, choć nie do końca mu ufałam. Uważam, że podejmował ryzyko finansowe, licząc na to, że sprawy się jakoś ułożą.

- To oszust - rzekła pani Tump. - Udowadniają to księgi.

- Osobiście był dla mnie bardzo miły - stwierdziła Byrl, przygryzając wargę i powstrzymując łzy.

- Ależ oczywiście - powiedziała pani Tump. - Sprzeniewierzył twoje pieniądze. Był miły, żeby uspić twoją czujność. Byłaś jego Świętym Mikołajem.

- Być może księgi nie są w porządku, ale miał dobre zamiary. Jeżeli źle zainwestował, ryzykował, żeby odzyskać moje pieniądze. Nie sądzę, żeby celowo je zdefraudował, choć nie podobał mi się jego stosunek do ciebie.



Pani Tump nie odezwała się.

- Kiedy... Kiedy to się stało? - spytała po chwili Byrl Gailord.

- Po dwunastej w południe we wtorek - odpowiedział Mason.

- Koroner odesłał ciało na sekcję, żeby ustalić dokładny czas zgonu.

- Jakie to ma konsekwencje dla Byrl? - spytała pani Tump.

- Sąd wyznaczy innego powiernika - odpowiedział adwokat. - Dokładnie skontrolują księgowość.

Pani Tump spojrzała mu prosto w oczy.

- Dobrze, panie Mason. Porozmawiajmy o interesach... Czy to oznacza, że pańskie usługi nie są nam już potrzebne?

- Tak - odpowiedział prawnik.

- Nie rozumiem, dlaczego? - odezwała się Byrl.

- Ponieważ nic już nie można zrobić - odpowiedziała pani Tump.

- W takim razie nie ma powodu, żeby płacić panu Masonowi honorarium.

- Zgadza się - rzekł Mason.

- Naprawdę nic pan nie może? - spytała Byrl. - Nie może pan w jakiś sposób przypilnować moich interesów?

- Mogę obserwować rozwój wydarzeń - rzekł Mason. - Jeżeli pojawi się coś, co będzie wymagało moich działań, podejmę się tego. Sąd prawdopodobnie wyznaczy jakiegoś powiernika. Księgi wymagają dokładnej kontroli.

- Czy sąd może ustanowić mnie? - spytał pani Tump.

- Być może - rzekł adwokat - choć pewnie zechcą wyznaczyć firmę audytorską, która ma możliwość dokładnego zbadania księgowości.

- Mogłabym podjąć się tego bez wynagrodzenia, byleby uporządkować sprawy Byrl.

- Musimy poczekać kilka dni, aż będziemy wiedzieć więcej - stwierdził Mason. - Być może sąd pozwoli pannie Gailord wskazać powiernika.

- Oczywiście poproszę o panią Tump - powiedziała Byrl Gailord.

Nagle rozległ się ostry dźwięk telefonu na biurku. Mason rzucił „przepraszam”, podniósł słuchawkę i usłyszał głos recepcjonistki:

- Przyszedł sierżant Holcomb. Mówi, że musi się z panem natychmiast zobaczyć. Jest z nim jakiś mężczyzna.

Mason pomyślał przez chwilę.

- Gertie, powiedziałaś mu, że jestem zajęty?

- Tak.

- Nie zdradziłaś mu, kto u mnie jest?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Powiedz mu, że już idę.

Odłożył słuchawkę i przeprosił swoje klientki, wyjaśniając:

- Przyszedł sierżant Holcomb z Wydziału Zabójstw. Chce się ze mną natychmiast zobaczyć. Zaraz wracam, przepraszam.

Adwokat wyszedł do sekretariatu, dokładnie zamykając za sobą drzwi do kancelarii.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać - powiedział sierżant Holcomb.

- Może w bibliotece? - zaproponował Mason, otwierając drzwi do długiego pokoju z półkami pełnymi książek.

Policjant kiwnął głową do młodego człowieka, z którym przyszedł.

- W porządku, Mattern. Wchodź.

Mason szybko przeniósł na niego wzrok. Był przed trzydziestką. Jego głowa wydawała się zbyt duża w porównaniu z resztą ciała. Wypukłe, wysokie czoło i lekko wyłupiaste oczy nadawały mu wygląd przemądrzałej sowy, który dodatkowo potęgowały wielkie okulary w ciemnych oprawkach.

Mason wszedł pierwszy do biblioteki i zamknął za nimi drzwi.

- O co chodzi, sierżancie? - spytał.

Sierżant gwałtownym ruchem głowy wskazał na mężczyznę o wąskich ramionach.

- Carl Mattern - przedstawił - sekretarz Tidingsa.

Mason skinął mu głową. Mattern nie odezwał się. Wydawał się bardzo zdenerwowany.

- Reprezentuje pan Byrl Gailord? - spytał sierżant. Adwokat zawahał się na chwilę, po czym odparł:

- Tak, w pewnych sprawach.

- A tamta?

- Tump. A. E. Tump.

- Znają pan?

- Tak.

- Pańska klientka?

- Właściwie nie. Do czego pan zmierza?

- Mattern mówi, że zadzwonił pan wczoraj do Tidingsa i rozmawiał z nim o spotkaniu - powiedział sierżant.

- Tak. Mówiłem panu, że rozmawiałem z nim przez telefon.

- Czy na tym spotkaniu mieliście omówić sprawę Byrl Gailord?

- Tak, w pewnym sensie.

- Gdzie ona jest? - spytał Holcomb.

- Nie sądzę, żebym musiał odpowiadać na to pytanie, przynajmniej nie na tym etapie rozwoju sytuacji. - odparł Mason.

- Będzie pan utrudniał, co? - spytał policjant.

- Jeżeli zejdzie pan na ziemię i powie mi, do czego pan zmierza, być może będę mógł panu pomóc.

- Szukam motywu, to wszystko. Pani Tump i Byrl Gailord nieźle się naprzykrzały Tidingsowi. Chciały się z nim widzieć w poniedziałek po południu, lecz ich nie przyjął. Czekwały na niego na zewnątrz. Tidings powiedział, że zobaczy się z panną Gailord, ale prędzej szlag go trafi, niż będzie rozmawiał z panią Tump. Nazwał ją wiedźmą.

- Więc go zabiła? - zasugerował Mason z uśmiechem.

- Bzdury, Mason - odparł Holcomb. - Wie pan, o co mi chodzi. Potrzebuję informacji. Chcę wiedzieć, co na niego miały i czy oskarżały go o defraudację pieniędzy. W końcu kiedy ktoś ginie, zaczynamy od sprawdzania jego wrogów. Wie pan to równie dobrze jak ja... Jeżeli o mnie chodzi, uważam, że mogła go zabić kobieta... Ta szminka na to wskazuje.

- Nie sądzę, żeby pani Tump używała szminki - uśmiechnął się Mason.

Sierżant zmarszczył brwi i rozwarł usta, żeby odpowiedzieć, lecz Gertie otworzyła drzwi i oznajmiła:

- Przepraszam. Ktoś dzwoni i mówi, że musi natychmiast rozmawiać z sierżantem Holcombem.

Sierżant rozejrzał się po pokoju i spytał, wskazując na telefon stojący na małym stoliku koło okna:

- Czy mogę odebrać tutaj?

- Połączę pana - powiedziała Gertie i wycofała się do sekretariatu, zamykając drzwi. Holcomb podniósł słuchawkę, powiedział „Halo”, nasłuchiwał przez kilka sekund i odezwał się znowu:

- Dobrze... Halo, kto mówi?... Dobrze, słucham.

Carl Mattern odezwał się do Masona ściszym głosem:

- Strasznie mnie to wyprowadziło z równowagi. Jestem tak zdenerwowany, że nie mogę myśleć normalnie.

Adwokat spojrzał na zielonkawo-niebieskie oczy wpatrzone w niego spoza rogowych oprawek.

- Domyślam się, że musiał to być dla pana szok - powiedział. - Na pewno...

Przerwał, bo sierżant rzucił słuchawkę na widelki, wymamrotał przekleństwo i ruszył szybko długimi krokami w kierunku drzwi prowadzących do kancelarii.

- Proszę tam nie wchodzić - rzucił Mason.

Holcomb puścił to mimo uszu. Gwałtownie otworzył drzwi i wpadł do środka.

Dwie kobiety siedziały blisko siebie i rozmawiały szeptem. Zdziwione podniosły wzrok.

Policjant obrócił się i stanął twarzą w twarz z Masonem.

- Stawia się pan, co? Gdyby mnie nie ostrzegli, że one są w kancelarii, może bym nawet panu uwierzył... W ten sposób nie zajdzie pan daleko, Mason.

- Nie mam obowiązku informować pana o spotkaniach z klientami - rzekł Mason. - Odbywamy konsultacje.

- Co za pech! - rzekł sarkastycznie sierżant. - Musi pan odłożyć te konsultacje, dopóki nie zadam kilku pytań... Czy to nie panie narobiły kłopotów Albertowi Tidingsowi?

Abigail Tump podjęła rozmowę.

- Zgadza się. A on narobił kłopotów szpitalowi Hastingsa. To oszust.

- Wie pani, że on nie żyje? - spytał sierżant. - Tak, pan Mason mi powiedział.

- No, dobra - powiedział Holcomb. - Poszła pani do biura Tidingsa w poniedziałek po południu, żeby z nim porozmawiać. Ka zał swojemu sekretarzowi powiedzieć pani, że może zamienić słowo z Byrl Gailord, ale że prędzej szlag go trafi, niż będzie rozmawiał z panią. Zgadza się?

- Tak - potwierdziła pani Tump.

- Ale i tak udało się pani z nim porozmawiać?

- Tak.

- Gdzie?

- Czekaliśmy na parkingu. Byrl wie, gdzie stawia samochód. Zaparkowaliśmy obok niego - odpowiedziała.

- O której z nim rozmawiałyście?

- Zaraz potem, jak wyszedł z biura, około wpół do piątej albo za piętnaście piąta.

- Groziła mu pani?

Pani Tump zrobiła głęboki wdech, oburzona do głębi.

- Czyja mu groziłam? No wie pan! Groziłam! Coś takiego! To on mi groził, że spowoduje, iż mnie aresztują za obrazę jego dobrego imienia. Powiedział, że buntuję Byrl przeciw niemu. Dodał też, że zgodnie z warunkami funduszu to on decyduje, ile jej da i kiedy, i jeżeli nie przestanę się wtrącać, nie da jej nawet złamanego centa. To jego własne słowa, młody człowieku. Ani złamanego centa. Dalej pan twierdzi, że to ja mu groziłam?

- Co pani mu powiedziała? - spytał sierżant.

- Powiedziałam mu, że będzie musiał ujawnić całą księgowość funduszu powierniczego i powiedzieć Byrl, jak się mają jej sprawy. Powiedziałam, że mnie nie nabierze i że mam zamiar porozmawiać z adwokatem.

- I co potem?

- Powiedziałam, że moim adwokatem jest pan Perry Mason i że przyjdzie do niego o jedenastej następnego dnia. To zrobiło na nim wrażenie. Wymamrotał coś, czego nie dosłyszaliśmy, włączył silnik i odjechał.

Sierżant Holcomb spojrzał pytająco na Byrl Gailord.

- Była pani przy tym? - spytał. Kiwnęła głową.

- Jak to się ma do tego, co pani zapamiętała?

Byrl Gailord opuściła wzrok, namyślając się przez chwilę, i odezwała się prawie niedosłyszalnie:

- Zapamiętałam to inaczej. Sierżant zwęszył okazję.

- Więc jak to było? - spytał.

- Wujek Albert, to znaczy pan Tidings, nie był aż tak nerwowy, jakby to wyglądało z opisu pani Tump.

- Ależ oczywiście, że był! - wtrąciła się pani Tump z oburzeniem. - Był bardzo grubiański i...

- Nie sędzę, abyś rozumiała wujka Alberta tak dobrze jak ja

- przerwała jej Byrl. - Zawsze jest wyjątkowo rozdrażniony, kiedy się śpieszy, a właśnie wtedy się śpieszył.

- To prawda - przyznała pani Tump. - Wspomniał coś o spotkaniu.

- O spotkaniu? - spytał sierżant z nagłym zainteresowaniem.

- Z kim?

- Nie powiedział - odpowiedziała pani Tump.

- Z kobietą - poprawiła ją Byrl Gailord.

- Tak, oczywiście. Wspomniał coś o tym, że nie może kazać kobiecie czekać - potwierdziła pani Tump - ale nie powiedział, że jedzie na spotkanie.

- Niedokładnie tymi słowami - uzupełniła Byrl - ale zrozumiałam, że ma spotkać się z młodą kobietą.

- W celach towarzyskich? - spytał sierżant Holcomb. Byrl nerwowo wykręciła rękawiczki.

- Osobiście uważam, że było to spotkanie w interesach - powiedziała. - Martwił się i dlatego był zatroskany i zdenerwowany.

- Jesteś zbyt wyrozumiała - powiedziała pani Tump. - Był niegrzeczny, bezczelny i... nieprzyjemny. Zachował się grubiańsko.

Byrl zdecydowanie potrząsnęła głową i spojrzała na sierżanta.

- To nieprawda, sierżancie - stwierdziła. - Pani Tump nie zna go tak dobrze jak ja, to wszystko. Kiedy przeprowadzicie dochodzenie, zobaczy pan, że miał umówione bardzo ważne spotkanie i śpieszył się, bo nie chciał się spóźnić. To było bardzo ważne spotkanie, dla niego osobiście czy też dla jego interesów.

- To potwierdza to, co panu powiedziałem - powiedział Carl Mattern.

Sierżant Holcomb spojrzał na niego z marsową miną.

- Powiedział pan, że Tidings wiedział, iż te panie czekają na parking.

- Tak mi się wydaje - powiedział Mattern. - Widział, że wjechały na parking, ale mówiłem panu, że wydaje mi się, iż miał ważne spotkanie, spotkanie z kobietą, tego jestem pewien... Wydaje mi się też, że było to spotkanie w interesach.

- Wie pan, jakie to były interesy? Mattern zastanowił się nad każdym słowem.

- Wiem tylko tyle, że było to spotkanie z kobietą, która mu zaszkodziła lub mogła zaszkodzić.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem.

- O której Tidings przyszedł do biura we wtorek?

- Około wpół do dziesiątej. Między wpół do dziesiątej a dziesiątą.

- Mówił coś o spotkaniu? - Nie.

- Nic nie powiedział o tym, gdzie był i z kim się spotkał?

- Ani słowa.

- A w jakim był nastroju?

- Wydawało mi się, że jest spokojniejszy... Mniej zdenerwowany, choć tak mi się tylko mogło wydawać.

Sierżant Holcomb zwrócił się do pani Tump.

- We wtorek rano poszła pani do biura Tidingsa, prawda? Pani Tump poruszyła się niespokojnie w fotelu.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie - ponaglił ja sierżant.

- Tak, byłam tam.

- Po co?

- Pomyślałam, że... Nie wiem. Po prostu chciałam dać mu jeszcze jedną szansę.

- Pomyślała pani, że skoro Perry Mason ma do niego zadzwonić - powiedział Holcomb - to się wystraszy i będzie gotów pójść na ustępstwa. Postanowiła więc pani pójść tam i zawrzeć z nim układ i w ten sposób wykantować Masona, nie płacąc mu jego honorarium. Zgadza się?

Pani Tump spojrzała na niego oburzona.

- Niczego takiego nie zrobiłam - zaprotestowała, lecz unikała wzroku adwokata i sierżanta.

Holcomb uśmiechnął się lodowato do Masona.

- Po co poszła pani do niego? - spytał.

- Chciałam... to znaczy, chciałam wyjaśnić mu, że... cóż, powiedzieć mu, że pan Mason będzie reprezentował Byrl.

- I tylko tyle chciała mu pani powiedzieć?

- Tak.

Sierżant Holcomb uśmiechnął się triumfująco.

- No, dobrze, przyjmijmy, że tak było. O której pani przyszła? Pani Tump kiwnęła głową w kierunku Matterna.

- Jego sekretarz wie. Tuż przed dwunastą.

- A Tidingsa nie było w biurze?

- Sekretarz powiedział, że go nie ma.

- Ale pani w to nie uwierzyła?

- Nie, właściwie nie.

- I wróciła pani na parking?

- Tak, rozejrzałam się tam.

- A potem poszła pani do klubu pana Tidingsa?

Zapadła znacząca cisza. Po chwili pani Tump powiedziała:

- Tak.

- I gdzieś po drodze dowiedziała się pani, gdzie jest Tidings - powiedział Holcomb triumfująco. - Pojechała pani za nim do domu jego żony, gdzie potem znaleziono ciało, i odbyła tam z nim ostatnią rozmowę. Zgadza się, pani Tump?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Niczego takiego nie zrobiłam - rzekła. - Nie ma pan prawa mówić takich rzeczy. Może pan mieć z tego powodu kłopoty.

- Gdzie pani była o pierwszej po południu we wtorek? - Ja?... Muszę pomyśleć... Chwileczkę. Byłam u fryzjera. Byłam umówiona na wpół do pierwszej.

Sierżant zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- A pani, panno Gailord?

- Nie wiem... Wtorek... Aha, już wiem. Jadłam lunch z Colemanem Reegerem... Chyba go pan zna. Gra w polo. Pochodzi z bardzo dobrej rodziny.

Sierżant Holcomb podszedł do telefonu na biurku Masona, podniósł słuchawkę i rzekł:

- Proszę mnie połączyć z komendą policji. Chcę rozmawiać z chirurgiem, który zrobił sekcję Albertowi Tidingsowi. Poczekam.

Stał ze słuchawką przy uchu. Mattern odezwał się do Masona:

- Teraz mogę powiedzieć panu coś, czego nie mogłem wyjawić wcześniej. Wiem coś o sprawach panny Gailord. Na sam koniec pan Tidings dokonał transakcji bardzo dla niej korzystnej.

- Co zrobił? - spytał Mason.

- Sprzedał dziesięć tysięcy akcji Seaboard Consolidated Freighters i zainwestował pieniądze w Western Prospecting. Zanim wyszedł z biura, kazał mi zanieść czek do biura Loftus & Cale, żeby zrealizować transakcję.

- Na ile wystawił czek? - spytał Mason.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Co to jest Western Prospecting? Czy to spółka giełdowa? - spytał pani Tump.

- Nie, proszę pani.

- Nigdy o nich nie słyszałem - przyznał Mason.

- Między nami, ostatnio... Przepraszam, panie Mason, nie mogę ujawniać szczegółów, ale pan Tidings dokładnie zbadał sprawę - rzekł Mattern. - Po podatku ta transakcja przyniesie pannie Gailord... powiedzmy, okrągłą sumkę.

- Skąd ta ostrożność? - spytał Mason.

- Ponieważ są to bardzo poufne informacje, a nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż ujawnienie informacji o transakcji dotyczących akcji. Nie chciałem o tym mówić.



Wspomniałem o tym tylko po to, żeby pokazać, że pan Tidings działał w interesie panny Gailord. Poświęcił całe tygodnie, żeby zbadać sytuację. Zatrudnił eksperta od spraw górnictwa, żeby przygotował dla niego poufne raporty na temat aktywów Western Prospecting, i włożył dużo pracy, by zdobyć szczegółowe i dokładne informacje na temat jednego z nich - gruntów kopalnianych.

- Nie ma powodu, żeby ukrywać informacje o akcjach przed panną Gailord - stwierdził Mason.

- Panie Mason, pan jest prawnikiem, nie ja. Nie mam zamiaru polemizować z panem i z przepisami prawa. Domyślam się, że ktoś będzie musiał administrować majątkiem pana Tidingsa. Administrator będzie miał prawnika. Przekażę informacje administratorowi, a pan będzie mógł porozumieć się z jego prawnikiem... Mam nadzieję, że rozumie pan moją sytuację.

- O której zabrał pan ten czek do biura maklerskiego?

- Tuż przed jedenastą.

- We wtorek rano? - spytał Mason.

- Tak, proszę pana. Wyszedłem z czekiem tuż po pańskim telefonie.

- Czy to był prywatny czek wystawiony przez pana Tidingsa? - Nie. To był czek gotówkowy... Opiewał na dużą sumę, a z pewnych powodów panu Tidingsowi zależało, żeby przeprowadzić transakcję jak najszybciej, nie czekając na realizację prywatnego czeku. Wystawił ten czek w poniedziałek.

- Nie zaniósł go osobiście? - spytał Mason.

- Nie, posłał mnie. Po to jestem, żeby uwolnić go od wykonywania drobiazgow tego rodzaju.

- A o której Tidings wyszedł z biura?

- Razem ze mną. Zjechaliśmy razem windą.

- Nie powiedział panu, gdzie można go złapać, żeby go poinformować, czy transakcja została dokonana?

- Nie, proszę pana. On zadzwonił do mnie.

- Kiedy to było? - spytał sierżant, zakrywając dłonią słuchawkę.

- Wydaje mi się, że tuż przed dwunastą w południe.

- We wtorek? - Tak.

- Czy powiedział, skąd dzwoni? - spytał Mason.

- Nie, proszę pana.

- W takim razie ostatni...

- Niech pan poczeka - Holcomb przerwał Masonowi i rzucił do słuchawki. - Tak. Halo? Tu sierżant Holcomb, panie doktorze. Potrzebuję informacji o Albercie Tidingsie. Muszę wiedzieć, kiedy dokładnie nastąpił zgon... Tak, oczywiście, rozumiem, że jeszcze nie skończył pan sekcji, ale na pewno posunął się pan już na tyle daleko, żeby podzielić się ze mną swoimi przypuszczeniami... A co temperatura w pokoju ma z tym wspólnego?... Rozumiem... Co?... Co takiego?... Chwileczkę, to nie zgadza się z innymi dowodami... Nie, to nie mogło stać się tak wcześnie... Najpóźniej o dziesiątej?... Musi pan dodać trzy godziny... Dobrze, nich pan się tym zajmie... Oczywiście, że chcę mieć fakty, ale nie chcę, żeby pan zrobił głupa z siebie i z wydziału... Niech tym się zajmie główny chirurg.

Sierżant Holcomb rzucił słuchawkę na widełki.

Mason uśmiechnął się do Byrl Gailord, po czym obrócił się do Holcoma i spytał uprzejmie:

- Co powiedział, sierżancie?

- Nie wie - odrzekł Holcomb. - Jeszcze nie skończył sekcji... Zawracają głowę. Prosiłem, żeby zaczęli od razu, kiedy koroner przyśle ciało.

Mason uśmiechnął się do pani Tump.

- No, cóż, Pani Tump - zwrócił się do niej. - Domyślam się, że nie będzie musiała pani dostarczyć alibi, iż to nie pani wyciągnęła Tidingsa z klubu, zastrzeliła go i zawiozła do domu jego żony. Lekarz właśnie powiedział sierżantowi, że Tidings zginął o dziesiątej rano we wtorek.

Sierżant obdarzył Masona ponurym spojrzeniem.

- Ponosi pana fantazja - powiedział.

Mason podniósł słuchawkę i kiedy usłyszał głos Gertie, spytał:

- Gertie, słuchałaś ostatniej rozmowy?

- Aha - odpowiedziała.

- Dziękuję, to wszystko - powiedział adwokat.

Odłożył słuchawkę na widełki i uśmiechnął się, widząc zakłopotanie sierżanta.

- Ci lekarze to banda cymbałów - powiedział Holcomb. - Jak mam, do cholery, prowadzić dochodzenie, kiedy mam ręce związane przez tych półgłówków?

- Wiem, że jeszcze żył tuż przed dwunastą w południe. Rozmawiałem z nim przez telefon - powiedział Mattern.

- Rozmawiał pan z kimś, kto przedstawił się jako Tidings - rzekł prawnik.

- Rozmawiałem z Tidingsem.

- Rozpoznał pan jego głos?

- Cóż... tak mi się wtedy wydawało.

- Wie pan, głos można naśladować.

- Kiedy dokładnie Tidings wyszedł z biura? - spytał Holcomb.

- Szczerze mówiąc nie wiem - powiedział Mattern. - Zaraz po rozmowie z panem Masonem, po kilku minutach.

- Czy może pan ustalić dokładną godzinę tej rozmowy - sierżant spytał Masona.

Mason odezwał się oględnie:

- Mógłbym ją odtworzyć na podstawie pewnych danych, lecz teraz nie potrafię jej panu podać.

Sierżant odezwał się ze złością:

- Niech pan nie będzie taki cholernie sprytny, Mason. Pańskie klientki są poza podejrzeniem. Ich alibi trzyma się kupy. Niech mi pan poda tę godzinę.

Mason spojrzał znacząco na Byrl Gailord.

- Najpierw będę musiał coś zbadać.

- Co?

- Akcje Western Prospecting Company.

- Panie Mason, mogę o nich wszystko panu powiedzieć - stwierdził Carl Mattern.

- Do tej pory nie chciał pan - rzekł adwokat.

- To dobra inwestycja.

- Wolę sam to zbadać i wyciągnąć własne wnioski.

- Zobaczysz pan, że to dobra inwestycja. Sierżant kiwnął głową Matternowi.

- Dobra, to wszystko. Idziemy - powiedział i zwrócił się do Masona. - Następnym razem, kiedy będę prowadził dochodzenie w sprawie morderstwa i będę chciał porozmawiać z pańskimi klientami, a oni będą w pańskiej kancelarii, niech pan nie próbuje się stawiać.

- Ależ skąd - odparł Mason. - Chcę tylko, żeby moi klienci sami decydowali o swoich zobowiązaniach.

Sierżant Holcomb wpatrywał się prawnika.

- Niezbyt chętnie współpracuje pan z władzami. Któregoś dnia narobi pan sobie kłopotów... Idziemy, Mattern - rzekł.

Kiedy wyszli, Mason zwrócił się do obu kobiet.

- Powiedziałem, że nie będę mógł specjalnie pomóc... Teraz myślę, że jednak tak.

- Co to znaczy, panie Mason? - spytała pani Tump.

- Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej transakcji z akcjami Western Prospecting Company. Być może uda nam się ją unieważnić, jeżeli panie będą tego chciały.

- Ale w jaki sposób? - spytała pani Tump.

- Jeszcze nie wiem, ale sierżant Holcomb jest w kropce. Lekarz powie, że Tidings został zabity dziesięć albo piętnaście minut potem, jak opuścił biuro we wtorek.

- I co? - spytała pani Tump.

- Ktoś, kto nie żyje, nie może kupić akcji.

Pani Tump i Byrl Gailord wymieniły spojrzenia, po czym pani Tump powiedziała:

- A jeżeli się okaże, że te akcje to dobra inwestycja?

- Wtedy będziemy siedzieć cicho... No, dobrze. Tyle na dzisiaj. Muszę się wziąć do roboty - powiedział Mason.

Kobiety wstały. Byrl Gailord podając mu rękę, stwierdziła:

- Ma pan moje bezgraniczne zaufanie, panie Mason. Dziękuję bardzo.

Pani Tump odezwała się zakłopotana:

- Panie Mason, proszę nie myśleć, że chciałam pana oszukać... Chciałam zobaczyć się z panem Tidingsem i pokazać mu, że nie blefowałam, mówiąc, że pójde do pana.

- Proszę się tym nie przejmować. Nawet gdyby rzeczywiście w ostatniej chwili udało się pani z nim porozumieć, nie miałbym nic przeciwko temu.

- Dziękuję, panie Mason. Jest pan bardzo uprzejmy. Poczulałam się jak... jak...

- Jak drań - przerwała Byrl ze śmiechem. - Naprawdę, panie Mason, pani Tump broniła moich interesów i chce ocalić każdego centa z moich pieniędzy. No, dalej, Abigail, wyznaj swe winy.

Pani Tump roześmiała się.

- Nie muszę, Byrl. Złapano mnie na gorącym uczynku... Do widzenia, panie Mason.

Mason i Della odprowadzili je do drzwi.

- Kanciara - powiedziała Della Street. Mason kiwnął głową.

- Wszyscy tak robią - rzekł - jeżeli są wystarczająco sprytni... Delio, zadzwoń do mojego maklera i poproś, żeby dowiedział się wszystkiego o Western Prospecting, ile warte są akcje i kto wydał na nie pięćdziesiąt tysięcy we wtorek rano.

- Będiesz rozmawiał z Loftus & Cale? - spytała.

- Jeszcze nie - odpowiedział adwokat. - Chcę się przedtem dobrze przygotować.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Powiedzmy, że to przecucie. Coś mi śmierdzi w tej transakcji. Tidings czuł presję. Musiał wiedzieć, że Adelle Hastings chce przykręcić mu śrubę...

- Spotkał się z nią w poniedziałek? - spytała.

- Na to wygląda - rzekł Mason. - Sierżant Holcomb nie wymieniał nazwisk, więc ja też nie... Zadzwoń do Paula Drake'a. Powiedz mu, żeby odnalazł Roberta Pelthama. Zadzwoń też do Contractor's Journal" i zamieść ogłoszenie. Napisz w nim:

*P. Muszę z panem porozmawiać osobiście, jeżeli to możliwe, lub przez telefon. Przez telefon bez nazwisk. Potrzebuję natychmiast dodatkowych, dokładnych informacji. M.*

Ołówek Delii popłynął nad kartkami notesu.

- Dobrze, szefie, coś jeszcze?

- Nie - odpowiedział. - Zajmij się tymi akcjami i powiedz Drake'owi, żeby w sprawie morderstwa Tidingsa miał oczy i uszy otwarte.

- Szefie, dlaczego martwisz się tym morderstwem, skoro twoje klientki są poza podejrzeniem?

- Ponieważ wpadłem w pułapkę. Boję się, że jakaś kobieta przyjdzie do kancelarii w porze, która będzie jej odpowiadać, wręczy mi pozostałą część banknotu i powie: „Proszę wziąć moją sprawę”. Mogę się założyć, że ręka trzymająca banknot będzie tą samą ręką, co trzymała broń, z której zabito Tidingsa.

- Piętnaście minut po tym, jak wyszedł z biura? - spytała Della sceptycznie.

- Ktoś go zabił - powiedział Mason.

- Nie wierzysz więc, że to Tidings dzwonił do sekretarza w południe we wtorek, żeby się dowiedzieć, czy przeprowadzono transakcję?

- Nie wierzy w to lekarz, który przeprowadził sekcję - rzekł Mason z naciskiem.

## **Rozdział 6**

Kiedy w czwartek rano Mason wszedł do sekretariatu, czekał już na niego Paul Drake. Mason kiwnął głową Gertie, wziął Paula za ramię i zaprowadził do kancelarii, gdzie Della Street przeglądała poranną pocztę.

- Sie masz, Della. Coś nowego? - spytał Mason.

- Nic szczególnego - odrzekła. - Cześć, Paul.

- Cześć, Della. Jak sprawy?

- Świetnie.

Drake, zgięty jak scyzoryk, przyjął swoją ulubioną pozycję, siadając w poprzek dużego fotela pokrytego czarną skórą.

- Masz coś? - spytał Mason.

- Właściwie nic - odpowiedział Drake. - Peltham zniknął. Policja go szuka, ale nie mogą go znaleźć. Ja też nie.

- Wysłunęli jakieś zarzuty wobec niego?

- Wiedzą, że to on podpisywał czeki z Tidingssem... Czeki, przez które szpital został bez grosza.

- Dowiedziałeś się czegoś o jego przyjaciółce?

- Zupełnie nic. Wynajmował apartament i, o ile wiem, nie odwiedzała go żadna kobieta. Jest zimnym, wyrachowanym osobnikiem, który objawia tyle emocji, ile szef banku odrzucający prośbę o udzielenie kredytu. Cokolwiek robi, czyni to umiejętnie, dokładnie i precyzyjnie. Gdyby miał, na przykład, romans z mężatką, wszystko byłoby dokładnie zaplanowane i niczego nie pozostawiłby przypadkowi.

- Dobra, Paul. Mam dla ciebie ważne zadanie. Umieściłem ogłoszenie w Contractor's Journal". To tajemnica. Nie chcę, żeby wiedział o tym ktokolwiek z twoich ludzi. Chodzi o to, że dzisiaj ktoś przyniesie odpowiedź na moje ogłoszenie. Poślij kogoś do biura ogłoszeń i załatw, żeby mu dyskretnie wskazano tę osobę, a potem niech ją śledzi.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Tak. Pani Tump weszła w konflikt z sierocińcem, Hidden Home Welfare Society. Narobiła im sporo smrodu... Kontaktuje się z byłym księgowym sierocińca. Coś mi się wydaje, że ten księgowy jest w mieście. Spowoduję, że będzie szukała z nim kontaktu... powiedzmy, po wpół do jedenastej. Obserwuj jej hotel, sprawdź ludzi, którzy będą się o nią pytać w recepcji, i rozmowy telefoniczne wychodzące z jej pokoju... Możesz to załatwić?

- Z telefonami nie będzie łatwo - stwierdził Drake - ale da się to zrobić.

- Dobrze - powiedział Mason i zwrócił się do Delii. - Dokładnie o dziesiątej trzydzieści zadzwonisz do pani Tump i powiesz jej, że pan Mason twierdzi, iż pojawiły się jakieś wątpliwości co do akceptacji na odwrocie jej czeków wypisanych dla Hidden Home Welfare Society. Powiedz jej, że być może podpisy są sfałszowane, że sierociniec nigdy nie otrzymał tych pieniędzy, i że osoba akceptująca czeki nigdy nie miała z nim nic wspólnego. Spytaj ją, czy coś o tym: wie... Niech się zmartwi, ale nie wchodzi w szczegóły. Rozumiesz, jesteś tylko sekretarką, która dzwoni podczas mojej nieobecności i robi to, co jej kazał szef... Nie zaszkodzi, jeżeli będziesz udawała trochę nierozgarniętą.

- Po prostu bądź sobą - dodał Drake.

Della pokazała mu język i zapisał polecenie Masona.

- Dziesiąta trzydzieści - powtórzyła.

- Zgadza się. Paul, do tego czasu niech ktoś już będzie w hotelu - rzekł Mason do Drake'a.

- Dobrze.

- Chcę się też czegoś dowiedzieć o Byrl Gailord. To, co opowiada pani Tump, nie trzyma się kupy.

Della spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Szefie, jak to? Było to bardzo dramatyczne.

- Jasne - zgodził się Mason - nawet zbyt dramatyczne. Palce wpijające się w stalowe burty statku, fala zmywająca rozbitków i tak dalej... Ale przeoczyła pewne szczegóły dotyczące procedur obowiązujących na morzu. Przede wszystkim rosyjski arystokrata i jego żona nie mogli być w pierwszej łodzi razem, nie wtedy, kiedy pani Tump stała przy relingu, patrząc na ciemną wodę. Na morzu obowiązuje zasada, że najpierw ratuje się kobiety i dzieci.

To niezła historia, ale powstała tylko w jej wyobraźni. Widzi siebie, jak stoi przy relingu, obserwując wszystko chłodnym, obiektywnym okiem. Gdyby rzeczywiście była na statku, powiedziałyby, jak trudno było utrzymać się na pochyłym pokładzie, jak ciężko było założyć kamizelkę ratunkową, jak gwizdki oficerów kierowały pasażerów od jednej łodzi ratunkowej do drugiej... Ta katastrofa to lipa. Zauważ, że nie powiedziała, jak nazywał się statek. Gdy tylko dochodziła do faktów, machała ręką i mówiła: „Mniejsza o szczegóły, panie Mason”.

- Rzeczywiście, coś tu śmierdzi - powiedziała Della. - Ale dlaczego?

- Przypuszczam, że częściowo kłamie, a częściowo mówi prawdę. Gdyby nie te listy, pomyślałbym, że opowiedziała Byrl jakąś bajeczkę, żeby móc się dostać do jej pieniędzy.

- No, dobrze. Biorę się do roboty - stwierdził Drake i zaczął wydobywać się z fotela.

- Chwileczkę, Paul - powiedział Mason. - Mam jeszcze coś dla ciebie. Carl Mattern, sekretarz Alberta Tidingsa. Dowiedz się wszystkiego, co się da. Kim jest jego narzeczona, czy planuje małżeństwo, czy gra na wyścigach, czy pije i co robi w wolnym czasie?

- Dobra. Coś jeszcze?

- Na razie to wszystko.

Gdy Paul wychodził, zadzwonił telefon.

- Twój makler z informacją o Western Prospecting - powiedziała Della.

Mason wziął słuchawkę.

- Tu Mason. Mów.

Makler podał mu suche fakty

- Western Prospecting, kapitał akcyjny, trzy miliony dolarów. Wypuszczono dwa miliony pięćset tysięcy akcji. Każda akcja ma wartość nominalną jednego dolara. Większość wydano w zamian za grunty kopalniane, resztę sprzedano po dolarze za sztukę. Akcje szły w górę i kosztowały dolara i dwadzieścia pięć centów, półtora dolara i dwa dolary. Potem bańka

pękła i cena spadła. Teraz wycofano je z giełdy. Korporacja sprzedaje akcje za nie mniej niż dolara, ale wiadomo, że prywatni akcjonariusze sprzedaliby je za dowolną cenę, byle powyżej dwóch centów. Nikt ich nie chce.

We wtorek, tuż przed południem, zrealizowano sprzedaż dużej transzy akcji. Zakupił je Albert Tidings, powiernik funduszu, nie podają, jakiego. Nie wiem, który makler zrealizował transakcję i ile kosztowały akcje. Nie spodziewam się, żeby to było więcej niż trzy lub cztery tysiące dolarów. Firma ma kilka potencjalnie dobrych terenów do eksploatacji, ale jest wielka różnica między terenem a kopalnią. Chcesz jeszcze coś wiedzieć?

- Tak - odpowiedział Mason. - Od kogo pochodzą akcje, które kupił Tidings?

- Chcą to utrzymać w tajemnicy - odpowiedział makler - ale przypuszczam, że to prezes firmy sprzedał swoje.

- Kto to jest?

- Człowiek o nazwisku Bolus - Emery B. Bolus.

- Czy Western Prospecting Company ma tu biura?

- Aha... Myślę, że trzymają je tylko po to, żeby sprzedawać akcje. Niezłe miejsce. Kontrakt na ich wynajęcie jeszcze nie wygasł. Żadnej działalności. Jedna stenotypistka, wiceprezes, dyrektor do spraw operacyjnych, prezes i księgowy... Wiesz, o co chodzi... Jak się zrobi gorąco, nie mów nikomu, skąd masz te informacje.

- Dzięki - powiedział Mason. - Będzie gorąco, ale nic nie powiem.

Mason zwrócił się do Delii:

- Połącz mnie z Loftusem albo z Cale'em... Biuro maklerskie Loftus & Cale, wszystko jedno, który z nich.

Kiwnęła głową i wykręciła numer. Czekać na połączenie, Mason wcisnął rękę głęboko w kieszenie spodni i zamyślony kroczył po kancelarii.

- Pan Loftus, starszy wspólnik - rzekła Della. Mason wziął słuchawkę i powiedział:

- Dzień dobry, panie Loftus. Tu Perry Mason, adwokat. W związku ze sprawą jednego z moich klientów interesuje mnie transakcja dokonana w pańskim biurze we wtorek rano.

- Słucham - odrzekł Loftus ostrożnym tonem.

- Sprzedaż akcji Western Prospecting Company Albertowi Tidingsowi.

- Ach, tak.

- Co może mi pan o tym powiedzieć? - spytał Mason.

- Nic - padła błyskawiczna odpowiedź.

- Moją klientką jest Byrl Gailord, beneficjentka funduszu zarządzanego przez Tidingsa - wyjaśnił Mason.



- Czyżby? - spytał Loftus. Mason pociemniał na twarzy.

- Czy może pan przyjść do mojej kancelarii? - spytał.

- Nie.

- Czy ma pan prawnika, który zajmuje się pańskimi interesami.

- Tak.

- Czy może mi pan powiedzieć, kto to jest?

- Nie widzę powodu, żeby to zrobić.

- No, dobrze - rzekł Mason, podnosząc głos - skoro nie przyjdzie pan do mnie, ja przyjdę do pana. Jeżeli pan chce, może pan zawołać swojego prawnika. Tak będzie lepiej dla pana. Niech pan też ściągnie Emery'ego B. Bolusa, prezesa Western Prospecting Company... Chciałem potraktować was łagodnie, ale teraz przerobię was na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Narobię wam kłopotów i powiem wam, jak to zrobię... Zjawię się u pana za piętnaście minut i nie będę czekał.

Rzucił słuchawkę na widełki i nagle wybuchnął śmiechem.

- Do diabła - powiedział do Delii - jedno takie zimne, wyrachowane liczydło irytuje mnie bardziej niż tuzin krętaczy, którzy próbują mnie zastraszyć.

Podszedł do szafy i założył kapelusz.

- Idziesz do jaskini lwa? - spytała.

- Idę postraszyć tego starego zgreba - odpowiedział Mason - i wiem, że będę stąpał po cienkiej linie. Mam nadzieję, że czeka tam jego prawnik i że będzie próbował ze mną polemizować... Życz mi szczęścia, bo przyda mi się.

Dokładnie piętnaście minut później Perry Mason wszedł do imponującego biura Loftus & Cale. Atrakcyjna, młoda kobieta podniosła wzrok znad biurka, na którym stała mosiężna tabliczka z napisem „Informacja” przymocowana do drewnianego prostopadłościanu.

- Do pana Loftusa - rzekł adwokat.

- Jak pan się nazywa?

- Mason.

- Ach, tak - powiedziała. - Pan Loftus oczekuje pana.

- Świetnie - rzekł Mason.

- Proszę poczekać kilka minut.

- Nie.

Wyglądała na zakłopotaną.

- Chwileczkę - powiedziała, obróciła się na krześle i podniosła słuchawkę.

- Panie Loftus, przyszedł pan Mason. Mówi, że nie będzie czekał.

Kobieta z uwagą wysłuchiwała słów wypowiedzianych po drugiej stronie, po czym powiedziała po prostu:

- Nie chce czekać, panie Loftus.

Znowu zapadła cisza, a potem kobieta obróciła się z uśmiechem do Perry'ego Masona.

- Proszę wejść - wskazała na bramkę prowadzącą do holu.

- Drugie drzwi po lewej.

Mason popchnął bramkę, poszedł korytarzem i otworzył drzwi z napisem „Loftus”.

Człowiek siedzący za masywnym mahoniowym biurkiem miał sześćdziesiąt kilka lat, rumianą twarz z obwisłymi policzkami, oczy bez wyrazu i rzadkie, siwe włosy.

Mason uśmiechnął się zimno.

- Powiedziałem panu przez telefon, że nie będę czekał - rzekł.

Loftus odpowiedział chrypliwym, autorytatywnym głosem człowieka przyzwyczajonego do wydawania poleceń.

- Proszę usiąść. Mój prawnik zaraz tu będzie.

- Gdyby mi pan powiedział - powiedział Mason - umówiłbym się na godzinę, która bardziej by mu odpowiadała.

Loftus zwinął prawą dłoń w pięść, wysunął ją w kierunku adwokata i delikatnie opuścił na blat biurka. Gest ten robił większe wrażenie niż gdyby z całej siły huknął pięścią o biurko.

- Nie lubię adwokatów - powiedział.

- Ja też nie - przyznał Mason, sadowiąc się w najwygodniejszym fotelu w biurze.

- Pan jest adwokatem. Broni pan przestępców.

- Kto jest dla pana przestępcą?

- Ktoś, kto popełnił przestępstwo.

- A kto decyduje, czy popełniono przestępstwo?

- Przypuszczam, że ława przysięgłych.

- Właśnie - rzekł z uśmiechem Mason. - Dotychczas miałem ten wielki przywilej, że ława zawsze zgadzała się ze mną, iż osoby, które reprezentuję, nie są przestępcami.

- To nie jest ostateczny argument.

- Sędziowie nie zgodziliby się z panem - powiedział Mason, uśmiechając się nadal.

- Cóż zainteresowało osobę pańskiej konduity w naszej działalności?

- Nie podoba mi się słowo „konduita” - zauważył Mason. - Być może nie spodoba mi się również wasza działalność. Mówiłem panu, po co przychodzę. Gdyby podał mi pan informację, o którą prosiłem przez telefon, oszczędziłby pan sobie nieprzyjemnej rozmowy.

- To dla pana ta rozmowa będzie nieprzyjemna - powiedział Loftus - nie dla mnie. Nie lubię prosić o pomoc moich prawników za każdym razem, kiedy jakiś adwokacina zaczyna węszyć... Lecz skoro już to zrobiłem, doprowadzę sprawę do końca.

- Bardzo chwalebnie - rzucił Mason, wyciągając papierosa z papierośnicy i zapalając go.

- Więc, niech mi pan powie, o co chodzi?

- Dopiero, kiedy będzie tu pański prawnik - rzekł adwokat.

- Powiedział pan, że nie będzie pan czekał.

- Nie lubię siedzieć w poczekalni, jeżeli to nie jest konieczne

- zauważył Mason. - Wolę też omawiać prawne aspekty biznesu z kimś, komu mam zamiar pokazać, gdzie jest jego miejsce, w obecności jego prawnika... Może porozmawiamy o baseballu albo o polityce?

Loftus uniósł się z fotela. Jego twarz nabrała lekko purpurowej barwy.

- Ostrzegam cię, młody człowieku - powiedział. - Będziesz zaskoczony, jak jeszcze nigdy w życiu. Pańskie spektakularne zwycięstwa na sali sądowej były możliwe tylko dlatego, że za przeciwników miał pan źle opłacanych urzędników i osoby mianowane z przyczyn politycznych. Teraz będzie musiał pan zmierzyć się z najlepszymi i najlepiej opłacanymi umysłami w dziedzinie prawa.

- Świetnie - powiedział Mason. - Lubię...

Otworzyły się drzwi i do biura wpadł wysoki mężczyzna o szerokich ramionach, z wysokimi kośćmi policzkowymi. W ręce trzymał teczkę.

- Prosiłem, żeby nie przyjmował go pan, zanim nie przyjdę - rzekł do Loftusa.

Mason uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nie chciałem czekać - powiedział. - Rozumiem, że jest pan z działu prawnego.

Mężczyzna spojrział na niego nieżyczliwie.

- Nazywam się Ganten - powiedział. - Starszy partner w kancelarii Ganten, Kline & Shaw. Pan nazywa się Mason. Widziałem pana na sali sądowej. Czego pan chce?

- Poprosiłem pana Loftusa przez telefon - odparł Mason - żeby udzielił mi informacji o transakcji, w której sprzedano pięćdziesiąt tysięcy akcji Western Prospecting Company Albertowi Tidingsowi jako powiernikowi funduszu. Odmówił.

- I słusznie - powiedział Ganten zimno. Usiadł i ostrożnie umieścił teczkę na podłodze obok fotela. Mason uśmiechnął się.

- Osobiście uważam, że to zła decyzja.

- Nie interesuje mnie, co pan myśli o moich decyzjach - rzekł Loftus ze złością.

- Panowie pozwolą, że wyjaśnię moją sytuację i zwrócę ich uwagę na pewne fakty. Reprezentuję Byrl Gailord, beneficjentkę funduszu powierniczego... To znaczy, zasięgnięto mojej porady w jej imieniu.

- Proszę bardzo, niech pan ją reprezentuje - powiedział Loftus. - Nie mamy nic wspólnego z tym, co się dzieje między nią i powiernikiem jej funduszu.

- Dla panów informacji - rzekł Mason - Albert Tidings nie żyje. Loftus i Ganten wymienili spojrzenia.

- Panie Loftus - powiedział Ganten - jeżeli nie ma pan nic przeciwko, poprowadzę tę rozmowę.

- Nie dam się zastraszyć - powiedział Loftus. - Czytałem o jego śmierci w gazecie. To nic nie znaczy, przynajmniej w tym sensie, że...

- Panie Loftus, bardzo proszę - przerwał mu Ganten. - Niech mi pan pozwoli prowadzić tę rozmowę. Ten adwokat chce podstępnie zdobyć pańskie zeznania.

Mason roześmiał się.

- To ja zaproponowałem panu Loftusowi, żeby przy tej rozmowie był obecny prawnik.

- Więc jestem - rzekł Ganten zimno. - Proszę kontynuować.

Mason wydawał się rozbawiony. Zaciągał się głęboko papierosem i obserwował dym, który wydmuchiwał przez półprzymknięte usta.

- Niestety - stwierdził - nie ma zgody co do czasu, kiedy Tidings umarł.

- A cóż to ma wspólnego ze sprzedażą akcji? - spytał Loftus. - Nie wie...

- Panie Loftus, bardzo proszę - pośpiesznie wtrącił się Ganten. Mason powiedział:

- Bardzo wiele. Jak rozumiem, transakcję sfinalizował sekretarz pana Tidingsa. Tidings wyszedł z waszego biura, zanim sprawa została zakończona. Tidings działał w roli powiernika funduszu.

- Co to wszystko ma wspólnego z nami? - spytał Ganten.

- Tylko tyle, że lekarz, który przeprowadził sekcję, twierdzi, że po dziesiątej rano we wtorek Tidings na pewno był martwy.

- Bzdura - powiedział Loftus. - Jego sekretarz widział się z nim po dziesiątej. Rozmawiał z nim przez telefon po dokonaniu transakcji.

- Sekretarz może się mylić - powiedział Mason.

- Brednie - wybuchnął Loftus.

- Panie Mason, najwyraźniej nie przyszło panu do głowy, że lekarz może się mylić - powiedział Ganten.

- Ależ tak - przyznał Mason. - Jestem gotów to przyznać, podczas gdy wy nie chcecie przyjąć do wiadomości, że to sekretarz Tidingsa się pomylił.

Ganten obrócił się w fotelu w stronę Masona.

- Czy stoi pan na stanowisku, że gdyby okazało się, iż pan Tidings był martwy w chwili, gdy jego sekretarz finalizował transakcję, obciążyłoby to w jakikolwiek sposób mojego klienta? - spytał chłodnym tonem.

- Tak, na pięćdziesiąt tysięcy dolarów - oznajmił pogodnie Mason.

Ganten przyjął pozę osoby rozmawiającej z dzieckiem.

- Panie Mason, obawiam się, że pańskie doświadczenie w dziedzinie prawa ogranicza się do technicznych sztuczek rodem z sali sądowej, możliwych dzięki niedoskonałym procedurom postępowania karnego.

- Zostawmy na boku moje doświadczenie - zaproponował Mason - i porozmawiajmy o faktach.

- Rozumiem - oświadczył Ganten i zwrócił się do Loftusa. - Panie Loftus, stanowisko pana Masona jest absolutnie nieuzasadnione. Nawet zakładając dla dobra dyskusji, że Tidings rzeczywiście był martwy w chwili dokonywania transakcji, nie pociąga to za sobą żadnych zobowiązań z pańskiej strony. Nie może nawet zakwestionować upoważnienia wydanego przez powiernika.

Zgodnie z prawem śmierć powiernika stwarza wakat, który obsadza kolejny powiernik wyznaczony przez kompetentny sąd. Do czasu nominacji zarządca działający w imieniu martwego powiernika przejmuje opiekę nad majątkiem. Nie ma żadnych podstaw do kwestionowania faktu, że pan Mattern działał na podstawie precyzyjnych instrukcji, które otrzymał od pana Tidingsa. Twierdzenie pana Masona jest nieuprawnione.

Loftus odezwał się z uśmiechem graniczącym z szyderstwem:

- Widzi pan, panie Mason? Pan Ganten jest ekspertem w sprawach tego rodzaju. Jego specjalnością są kontrakty.

- Oraz zobowiązania z nich wynikające - dodał Ganten.

- Świetnie - odparł Mason - a co z prawem regulującym udzielanie upoważnień?

- Specjalizuję się również i w tym - odpowiedział Ganten.

- Wobec tego - zauważył Mason - zapewne rozważył pan, w jakim stopniu prawo dotyczy tej sprawy?

- Prawo to nie ma tu żadnego zastosowania - rzucił Ganten protekcyjnie. - Moi klienci działają jako maklerzy, są tylko pośrednikami...

- Nie o to chodzi - powiedział Mason. - Mówię o Matternie.

- Matternie! - powiedział zaskoczony Ganten. - A cóż on ma z tym wspólnego?

- Sfinalizowaliście transakcję z Matternem - rzekł adwokat z uśmiechem. - Traktowaliście go jako przedstawiciela Tidingsa, którym zresztą był. Jednakże w chwili, w której umarł Tidings, stosunek ten automatycznie uległ rozwiązaniu przez prawo. Upoważnienie przedstawiciela wygasa dokładnie w chwili śmierci mocodawcy.

- Brednie - powiedział Loftus znowu, lecz szybkie spojrzenie w kierunku Gantena spowodowało, że na jego twarzy pojawiła się obawa.

- O co chodzi, Ganten? - rzekł.

- To bezskuteczne, panie Mason - powiedział Ganten. - Porozumienie zostało zawarte między stronami. Mattern był tylko pośrednikiem, przy którego pomocy sfinalizowano porozumienie, a Tidings wydał Matternowi szczegółowe i dokładne instrukcje, zanim ten pojawił się w naszym biurze... Skoro zna pan prawo regulujące zasady udzielania upoważnienia, musi być pan świadomy różnych ograniczeń w stosowaniu ogólnych przepisów kodeksowych, na które się pan teraz powołuje.

- No, cóż - rzekł Mason - moglibyśmy sięgnąć do komentarzy Amerykańskiego Instytutu Prawa, na przykład stron 309-310 tomu poświęconego udzielaniu upoważnień, i przestudiować przypadki tam podane jako sądowe zastosowanie doktryny stwierdzającej, że śmierć mocodawcy unieważnia upoważnienie przedstawiciela. Proszę zwrócić uwagę na to:

„P. nabywa opcje na akcje i upoważnia A. do ich sprzedaży. Na dwie godziny przed wygaśnięciem opcji, gdy A. jest w trakcie realizacji sprzedaży akcji T., P. umiera. Upoważnienie A. wygasa.

P. poleca H., maklerowi, nabycie 10 000 akcji w imieniu A., ale na konto P. P. umiera i nikt o tym nie wie. Kilka chwil potem A. nabywa akcje. A. nie miał upoważnienia do ich nabycia”.

Ganten zamrugał oczami, co było jedynym objawem zdenerwowania. Nie spojrział też w kierunku swego klienta.

Drzwi otworzyły się jeszcze raz i do pokoju wkroczył niski, krępy, jowialny osobnik po pięćdziesiątce.

- Dzień dobry, panie Loftus - powiedział i powtórzył. - Dzień dobry.

Podszedł do biurka Loftusa, chwycił jego dłoń i zamasyżuje ją potrzęsając, po czym obrócił się i objął swym pogodnym uśmiechem pozostałe dwie osoby obecne w biurze.

- Pan Ganten z działu prawnego - przedstawił ich Loftus - pan Perry Mason, który próbuje podać w wątpliwość sprzedaż tych akcji Western Prospecting za pięćdziesiąt tysięcy... Panowie, to pan Emery B. Bolus, prezes Western Prospecting Company.

Bolus, wciąż pogodny, potrząsnął dłonią Gantena i chwycił serdecznie dłoń Masona.

- Miło panów poznać - powiedział. - O co chodzi z tymi wątpliwościami? Sprzedaż została sfinalizowana. Z punktu widzenia pańskiej firmy transakcja jest zakończona.

- Czy wpisano sprzedaż akcji do ksiąg? - spytał Mason. Bolus zawahał się, po czym powiedział:

- Tak.

- Niech pan nie odpowiada na jego pytania - odezwał się Ganten po chwili. - Ja będę mówił. Pan i mój klient mają ten sam interes, panie Bolus.

- Dosyć kompromitujące oświadczenie jak na prawnika specjalizującego się w prawie regulującym kontrakty i udzielanie upoważnień, panie Ganten - rzekł Mason. - Nie chcę sugerować panu, jak ma pan prowadzić praktykę, ale gdyby pańskie dochodzenie potwierdziło, że fakty mają się właśnie tak, jak twierdzę, wtedy jak najbardziej w interesie pańskiego klienta byłoby pomóc mi w zatrzymaniu tych pięćdziesięciu tysięcy, dopóki nie określi się ważności transakcji. W przeciwnym razie decyzja sądowa, którą uzyskamy, może przynieść stratę pańskiemu klientowi. Jeżeli uzyskamy tę decyzję, w pańskim interesie leży, żeby wypłata nastąpiła z pieniędzy pana Bolusa, a nie z pieniędzy, które pański klient będzie musiał wyciągnąć z własnej kieszeni.

Mason wstał.

Bolus odezwał się pogodnie:

- Zaraz, zaraz, chłopaki. O co tu chodzi?

- Mason twierdzi, że Tidings nie żył w chwili, gdy zamykaliśmy sprzedaż akcji - odezwał się Loftus. - Piszą o tym w dzisiejszej gazecie.

Na chwilę z pokoju zapanowała cisza, po czym Bolus zwrócił się do Gantena:

- Panie Ganten, jako prawnik firmy Loftus & Cale, jest pan w stanie zadbać o nasze interesy w tej materii. Osobiście nie mam zamiaru zawracać sobie głowy szczegółami prawnymi.

Loftus odezwał się chrypliwym głosem:

- Chwileczkę, Ganten. Nie chcę wiązać sobie rąk. Słyszał pan, co powiedział Mason.

Ganten odezwał się ostrożnie:

- No cóż, może w tych okolicznościach lepiej będzie, jak pan Bolus poradzi się swego prawnika.

- Zaraz, zaraz, Loftus. Nie pozwolisz chyba, żeby dziwaczne pomysły Masona popsuły nasze serdeczne stosunki?

- Gdzie jest te pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - spytał Loftus. Bolus pociągnął się za ucho.

- Eee... ustalmy, na czym stoimy - rzekł - zanim złożę jakieś oświadczenia. Uważacie, że jest taka możliwość, iż będziecie chcieli przytrzymać te pięćdziesiąt tysięcy?

- Oczywiście, że będą chcieli - powiedział Mason. Ganten spojrzął ze złością na adwokata.

- Sytuacja jest absurdalna - stwierdził. - Tidings żył, kiedy sfinalizowano porozumienie. Są na to niepodważalne dowody.

Mason ziewnął. Bolus powtórzył:

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy jest taka możliwość, że będziecie chcieli przytrzymać te pieniądze?

- Nie byłby to najgorszy pomysł. Po prostu zawiesimy sprawę, dopóki nie wyjaśnimy wszelkich jej aspektów - rzekł Ganten.

- Co to znaczy „zawiesimy sprawę”?

- Och, po prostu upewnimy się, że nikt nie naruszy *status quo*. Bolus przestał się uśmiechać.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli, mówiąc „*status quo*”.

- Dopilnujemy, żeby zabezpieczyć interesy nas wszystkich - powiedział Loftus.

- Zabezpieczę swoje interesy, puszczając te pięćdziesiąt tysięcy w obieg - powiedział Bolus.

- Nie sędzę, aby było to rozsądne posunięcie - rzekł Loftus.

- A niby dlaczego nie? - spytał Bolus, a w jego oczach pojawił się błysk gniewu. - Twój osobisty prawnik właśnie powiedział, że twierdzenie jest absurdalne.

- Coś w tym jednak jest.

- I co w związku z tym proponujesz?

- Zbadamy sprawę.

- Dobra, badajcie - powiedział Bolus. - Badajcie, ile do cholery chcecie, ale nie wpierajcie mi tego całego *status quo*. W końcu to moje pieniądze.

- To pieniądze korporacji - poprawił go Ganten.

- Ludzie, wy macie akcje - powiedział Bolus - ja mam pieniądze. Nic mnie to nie obchodzi, co z nimi zrobicie. I nie mówcie mi, co mam robić z pieniędzmi.



- Chwileczkę - powiedział Ganten - przyzna pan, że nie chce być wplątany w spór sądowy. Uważam, że cała ta sprawa jest absurdalna. Kilkudniowe dochodzenie powinno wszystko wyjaśnić. Użyjemy wszystkich naszych możliwości, żeby trwało ono jak najkrócej i było tak dokładne, jak to jest możliwe.

- A tymczasem? - spytał Bolus.

- Tymczasem - odpowiedział Ganten - leży w interesie nas wszystkich, żeby nie komplikować sytuacji.

- Co pan ma na myśli?

- Powinien pan z nami współpracować.

- W jaki sposób?

- W prowadzeniu dochodzenia.

- Coś jeszcze?

- Oczywiście, gdyby miało się okazać, że transakcja jest nieważna, wszyscy będziemy chcieli chronić nasze interesy.

- Jeżeli o mnie chodzi, przeprowadziłem transakcję - powiedział Bolus. - Nie mam zamiaru się z niej wycofywać... Te akcje to dobra inwestycja, bardzo dobra. Są rzeczy, które nie są ogólnie znane. Nie mogę nic o nich powiedzieć, ale za dwa miesiące te akcje będą warte... będą warte bardzo dużo.

Loftus kiwnął głową

- Wobec tego, dlaczego pozbył się pan wszystkich swoich akcji, panie Bolus? - rzucił Mason od niechcienia.

Bolus gwałtownie obrócił się ku niemu ze złością.

- Nie pozbyłem się wszystkiego.

- He akcji ma pan teraz na swoje nazwisko w firmie, której jest pan prezesem?

- Nic panu do tego.

- Czy jakaś znacząca część tych pięćdziesięciu tysięcy zasili fundusze firmy?

- To też nie jest pański interes. Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania.

- Zgadza się - rzekł Mason przyjaźnie - nie musi pan - i ponownie zajął się obserwacją dymu wijącego się z papierosa. - Jeżeli dobrze rozumiem sytuację, byłby pan głupcem, gdyby pan na nie odpowiedział.

Ganten i Loftus wymienili spojrzenia.

- Więc jak jest? - spytał Bolus. - Jesteście po mojej stronie w tej sprawie czy nie?

- Nie jesteśmy przeciwko tobie - pośpiesznie rzucił Loftus.

- Mój klient chce powiedzieć - poprawił go Ganten - że w dużej mierze nasz interes jest wspólny. Innymi słowy, w naszym wspólnym interesie leży, żeby wykazać, że Tidings żył, kiedy sfinalizowano transakcję.

- Chce pan powiedzieć, że jeżeli był martwy, kiedy wymieniałem akcje na gotówkę, możecie się do mnie dobrać?

- Naturalnie - powiedział Ganten - jeżeli transakcja zostanie z jakiegokolwiek powodu anulowana, będziemy chcieli dopilnować, żeby otrzymał pan akcje z powrotem i żeby pieniądze zostały zwrócone właścicielowi.

- Dlaczego?

- Ponieważ wystąpiliśmy w roli maklerów, działających w dobrej wierze...Uważam, że powinien pan powiedzieć panu Masonowi, co stało się z tymi pieniędzmi, i zapewnić go, że sprzedał pan akcje należące do firmy.

- Nikogo nie muszę o niczym zapewniać - powiedział Bolus. - Chcieliście akcji wartych pięćdziesiąt tysięcy i dostaliście je. A ja dostałem pieniądze.

- Pan osobiście? - spytał Mason - czy też jako prezes firmy?

- Nie podobają mi się te pańskie cholerne insynuacje - stwierdził Bolus.

- Jest sposób, żeby ich uniknąć - wyjaśnił Mason. - Niech pan po prostu odpowie na pytanie.

- Uważam, że jak najbardziej powinien pan odpowiedzieć na pytanie pana Masona - potwierdził Ganten.

- A ja nie - odciął się Bolus.

Loftus pogładził się po podbródku. Przeniósł wzrok ze swojego prawnika na prezesa Western Prospecting Company, a potem na Masona, po czym szybko odwrócił oczy.

- No, cóż - rzekł Mason - pójdę sobie. Chciałem tylko panów zaznajomić z moim stanowiskiem.

- Uważam, że postawa pańskiej klientki nie jest w porządku - powiedział Loftus.

- Panowie, proszę sobie nie przeszkadzać - rzucił Mason. Loftus wstał z fotela, ruszył, żeby obejść biurko, lecz zatrzymał się.

- Do czego pan właściwie zmierza, panie Mason? - spytał.

- Bronię interesów mojej klientki - odparł Mason - oraz udzielam lekcji pańskiemu działowi prawnemu.

Uklonił się wszystkim obecnym i wyszedł. Mason wrócił do biura w wyjątkowo dobrym humorze.

- Udało się? - spytała Della Street.

- Chyba tak - odrzekł adwokat. - Nastraszyłem ich. Ich dział prawny goni teraz w piętke. Do czasu, kiedy wyjaśni sprawę, będziemy wiedzieć, kiedy umarł Tidings. Tak, jak się sprawy mają sierżant Holcomb nie zdobędzie dodatkowych śladów, które mógłby przede mną ukryć.

- To znaczy, że przeprowadzą dochodzenie za ciebie?

- Zgadza się. Mogą wyrzucić presję na Holcoma i zmusić go do mówienia. Ja nie.

- Paul Drake czeka na twój telefon. Połączyć cię? - spytała.

- Aha.

Della połączyła się z Paulem. Kiedy Mason podniósł słuchawkę usłyszał głos Drake'a, który mówił pospiesznie:

- Słuchaj, Perry. Dziewczyna przyszła do „Contactor's Journal” z odpowiedzią na twoje ogłoszenie. Stamtąd poszła do kosmetyczki i robi się na bóstwo: trwała, manicure, masaż. Postawiłem człowieka na zewnątrz... Jeżeli chcesz zobaczyć tego kociaka na własne oczy, mamy wystarczająco dużo czasu, żeby przejechać się tam i przyjrzeć się jej dokładnie, kiedy wyjdzie.

- Masz samochód?

- Jasne.

- Dobra - rzekł Mason. - Spotkamy się na parkingu. Ty prowadzisz, ja będę patrzył.

Odłożył słuchawkę i powiedział Delii:

- Mamy odpowiedź na ogłoszenie... Prawdopodobnie ta sama dziewczyna, która przyniosła poprzednią. Idę ją obejrzeć.

- Myślisz, że ma ten drugi kawałek banknotu? - spytała Della.

Mason uśmiechnął się szeroko.

- Doszedłem już do tego, że myślę, iż wszyscy go mają. Idę. Jeżeli okaże się, że to Byrl Gailord, już za godzinę będziemy wiedzieć o wiele więcej.

Mason ruszył szybko korytarzem, zjechał windą, zobaczył Paula Drake'a siedzącego w samochodzie przed wejściem do budynku i wsiadł.

- Myślisz, że to ktoś, kogo znasz, Perry? - spytał Drake.

- Aha - odpowiedział Mason - mam nadzieję i obawiam się, że tak.

- Kto to jest?

- Moja klientka - odpowiedział Mason. Drake spojrział na niego zdziwiony.

- Nie znasz swoich klientów? Mason uśmiechnął się szeroko.

- Prowadzę dużą praktykę.

- Perry, ta sprawa robi się coraz dziwniejsza. Dlaczego chcesz śledzić swoją klientkę?

- Żeby dać wam zarobić. Ostatnio mieliście kilka trudnych spraw, więc chciałem wam dać coś łatwego.

Mason milczał zamyślony, podczas gdy Drake prowadził. Zapaliło się czerwone światło i Drake powiedział, zatrzymując samochód:

- Jeszcze kilka przecznic. Możemy mieć problem z parkowaniem.

- Możemy zatrzymać się przy hydrancie - powiedział Mason. - Chcę się jej dobrze przyjrzeć, ale nie może mnie zobaczyć... Masz okulary przeciwsłoneczne, Paul?

- Tak, w schowku... Poza ciemnymi okularami, niczego innego nie używamy, zazwyczaj to wystarcza.

Zmieniło się światło i Drake wrzucił bieg.

- Jak wygląda? - spytał Mason.

- Wiem tylko tyle, ile mi powiedzieli przez telefon - odpowiedział Drake. - Mój człowiek zadzwonił z trafiki po drugiej stronie ulicy. Dziewczyna ma świetną figurę, około dwudziestu ośmiu lat, to brunetka z dużymi ciemnymi oczami.

Mason zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Nie pasuje? - spytał Drake.

- To zależy od oczu - odpowiedział Mason. - Dziewczyna o której myślę, ma ciemne oczy, ale nie robią szczególnego wrażenia.

- Chłopak jest młody i łatwo na nim zrobić wrażenie - stwierdził Drake. - Opisał ją, jakby była absolutną piękną.

Skręcił w lewo i zauważył:

- Jest obserwator, ten samochód przed nami. Spryciarz, muszę mu to przyznać. Zajął miejsce dla dwóch samochodów. Zmieścimy się za nim.

- Świetnie - odparł Mason.

Drake zatrząbił cicho i detektyw obejrzał się, kiwnął głową, włączył silnik i podjechał do przodu tak, że dotknął zderzaka samochodu przed nim. Drake wcisnął samochód w miejsce za nim.

- Chcesz z nim porozmawiać? - spytał. Mason kiwnął głową.

Wysiedli i podeszli do samochodu agencji.

- Myślę, że zaraz wyjdzie - powiedział detektyw.

- Szedłeś za nią z biura „Contactor’s Journal”? - spytał Mason.

- Tak, to tylko trzy przecznice stąd. Najwyraźniej była umówiona z kosmetyczką. Dziewczyna ją chyba zna, ale nie próbowałem zdobyć jej adresu ani żadnej informacji.

- Możesz to zrobić, jak wyjdzie - powiedział Mason. - Nie, chwileczkę. Nie chcę, żeby wiedziała, że ktoś ją śledzi. Poczekamy. Gabinet kosmetyczny będzie naszym asem w rękawie.

- Dobra. Mam tu zostać?

- Tak. Pojedziesz za nią samochodem. Ja wysiądę i spróbuję śledzić ją na piechotę. Jeżeli mi się wymknie, przejmiesz ją i zobaczysz, dokąd poszła.

- Niby tak. Ale może wejść do domu towarowego albo gdzieś. Człowiek przepadł, kiedy śledzi z samochodu kogoś, kto robi taki numer.

- Dobra, spróbujemy. Jak jest ubrana? - spytał adwokat.

- W ciemną, wełnianą sukienkę, kurtkę z lisa i jeden z tych ładnych kapelusików.

- Jest na co popatrzeć? - spytał Mason.

- Jeszcze jak. Cudo. Nie wahałbym się ani chwili.

Drake mrugnął do Masona.

- Dobra. Będziemy czekać w samochodzie - powiedział adwokat. - Jedź za nią i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Mason i Drake wrócili do samochodu Drake'a.

- Perry, masz jakieś podejrzenia co do godziny śmierci Tidingsa?

- Chyba tak.

- I co?

- Nie wiem - zawahał się Mason. - To nie ma sensu... Nie jest tak, jak to sobie wyobrażają chłopcy z Wydziału Zabójstw.

- A co oni myślą?

- Holcomb miał dwie koncepcje. Raz myślał, że Tidingsa zastrzelono w domu, a raz że zastrzelono go w samochodzie i zaciągnięto ciało do środka.

- A ty co myślisz?

- Myślę, że postrzelono go w aucie, ale poszedł do domu o własnych siłach. Prawdopodobnie ktoś mu w tym pomógł. Umarł, gdy tylko położył się na łóżku... Dziwna sprawa z tymi butami, Paul.

- Co takiego?

- Nie miał ich na nogach.

- No, wiesz, nikt nie wchodzi do łóżka w butach.

- Umierający człowiek nie będzie ściągał butów. Jeżeli ktoś mu pomógł, mało prawdopodobne, żeby pomyślał o ściągnięciu butów. Chyba że była to kobieta.

- Może coś w tym jest - zgodził się Drake.

- Chłopcy z Wydziału ich nie znaleźli - powiedział Mason. - Sam też szukałem, ale nie było ich w szafie ani pod łóżkiem.

- Po co ktoś miałby zabrać mu buty?

- Nie wiem na pewno, ale mam pewne podejrzenia.

- Jakie?

- Popatrz na to w ten sposób, Paul - powiedział Mason. - Lekarz twierdzi, że umarł najpóźniej o dziesiątej rano we wtorek. Domyślam się, że wolałby określić czas śmierci na wcześniejszą godzinę, ale w świetle pozostałych dowodów naciąga czas do granic prawdopodobieństwa.

- Włączony gaz i to, że okna były zamknięte, na pewno nie ułatwia sprawy - zaznaczył Drake.

- Wiem, ale to też jest ważne samo w sobie.

- Nie rozumiem.

- Posłuchaj, Paul - powiedział Mason. - Tidings mógł wejść do domu o własnych siłach. Może to było w dzień... Ale parę rzeczy zmusza mnie, żebym spojrzał na to inaczej. Jedną z nich jest gaz.

Nie sądzę, żeby ktoś włączył gaz, by stworzyć warunki do szybszego rozkładu ciała i utrudnić określenie czasu śmierci.

- No to po co? - spytał Drake.

- Po to, żeby ogrzać pokój, bo w środku było zimno. To znaczy że to było w nocy.

- W nocy we wtorek? - spytał Drake.

- Nie, Paul. W nocy w poniedziałek - odparł adwokat. Drake spojrzał na niego zaskoczony.

- W nocy w poniedziałek! Ależ to niemożliwe!

- Pomyśl, Paul - powiedział Mason. - To było albo w poniedziałek albo we wtorek w nocy. Tidings nie był martwy, kiedy przywieziono go do domu. To pokazują plamy krwi na podłodze. Krew na łóżku udowadnia, że potem, jak go położono do łóżka, nastąpił mocny krwotok.

- Zgadza się - przyznał Drake.

- Zgodnie z zeznaniem lekarza, musiało się to stać w nocy w poniedziałek a nie we wtorek. Pamiętasz? Powiedział, że Tidings umarł najpóźniej o dziesiątej rano we wtorek.

- Wielki Boże, Perry. Przecież rozmawiałeś z nim przez telefon. Jego sekretarz mówi, że był...

- Skąd mam wiedzieć, z kim rozmawiałem przez telefon? - powiedział Mason. - Rozmawiałem z kimś, kto przedstawił się jako Tidings. Najpierw rozmawiałem z sekretarzem.

- Ale jak wyjaśnisz fakt, że sekretarz mówi, iż Tidings był w biurze i to, że sekretarz powiedział... Cholera, Perry, chcesz powie - I dzieć, że on kłamie?

- Właśnie - powiedział Perry. - Nie widzę innego wyjaśnienia. Kłamie.

- Dlaczego?

- Wiem tyle co ty, ale popatrzmy na to z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Zacznijmy od tego, że możemy spokojnie założyć, iż Tidings nie był martwy, kiedy zabrano go do domu. Był śmiertelnie ranny. Zapewne umarł tuż potem, gdy ułożono go na łóżku.

Ktokolwiek pomógł mu wejść do domu i położył go na łóżku, włączył gaz, żeby ogrzać pokój, pewnie poszedł do łazienki po ręczniki, żeby powstrzymać krwawienie, a może pobiegł do telefonu, żeby wezwać lekarza. Tymczasem Tidings umarł.

Wtedy wpadł w panikę, ocenił sytuację i postanowił prysnąć. Podjąwszy tę decyzję, ktokolwiek to był, miał powody, żeby przypuszczać, że ciało zostanie znalezione dopiero po dłuższym czasie, i że będzie bardzo trudno określić dokładną godzinę zgonu, jeżeli w ogóle będzie to możliwe. I tak zniknęły buty Tidingsa.

- Co?

- Nie rozumiesz? - spytał Mason. - Buty to bezcenna wskazówka.

- Wskazówka czego?

- Czasu zgonu.

- Nie - stwierdził Drake - nie rozumiem.

- Myślę, że buty zdjęto po śmierci Tidingsa - powiedział adwokat - i że osoba, która je zdjęła, to kobieta.

- Ale co buty mają tu do rzeczy?

- Na butach było błoto - wyjaśnił Mason. - Niedużo, tylko tyle, że było widać, iż padało. Była to mocna ulewa, która nie spowodowała gęstego, lepkiego błota, lecz cienką warstewkę, łatwo przylegającą do podeszew.

Na łóżku nie było narzuty. To oznacza, że wyciągnięto ją spod ciała po śmierci, bo były na niej wyraźne ślady - pewnie ślady obłoconych butów i mokre smugi przemoczonego palta.

- Uważasz, że miał wtedy na sobie palto?

- Zgadza się. Myślę, że albo sam pojechał, albo zawieziono go do domu. Ktoś pomógł mu wejść, przeprowadził przez salon i wprowadził do sypialni. Tidings wyciągnął się na

łóżku i umarł kilka chwil potem. Na narzucie była krew, mokre smugi od palta, a na butach błoto.

Ktoś zdjął jego buty i palto i wyciągnął narzutę spod ciała... Dostyc pokaźne zawiniątko. Pozbył się palta, kładąc je na podłodze samochodu, który podstawiono gdzieś, gdzie policja na pewno znajdzie go następnego dnia, ale nie wcześniej.

Paul, tu dochodzimy do najważniejszego śladu. Plamy krwi urywają się w odległości cala czy dwóch od progu domu. Pamiętaj, że w nocy w poniedziałek lało jak z cebra. Ścieżka do domu i weranda są zrobione z cementu. Wiesz, czemu ślady krwi nie sięgają dalej? Powiem ci. Bo ulewny deszcz zmył je, z wyjątkiem tych dwóch czy trzech kropli osłoniętych od deszczu przez daszek nad drzwiami. To jeszcze raz ustala czas morderstwa na poniedziałkową noc.

- Dobra, Perry - powiedział Drake. - Wygrałeś. Ten ostatni ślad układa wszystko do kupy. Tak jak jest, właściwie wystarczy... Nól dobra, zabito go w nocy w poniedziałek. No i co z tego wynika?

- Nie wiem - powiedział Mason.

- A może popracować nad tym sekretarzem Tidingsa? Może coś z niego wyciągniemy?

- To miałoby sens - potwierdził Mason - gdybym wiedział, na czym stoję.

- Jak to?

- Szczerze mówiąc, Paul - powiedział Mason - nie wiem, kim jest mój klient.

- Przestań - rzekł Drake. - Mów z sensem.

- Dostałem od kogoś zaliczkę, żeby chronić kobietę - powiedział adwokat. - Myślę, że mam bronić jej przed zarzutem zamordowania Alberta Tidingsa.

- Powiedziano ci to? - spytał Drake.

- Nie. Pewien mężczyzna przyszedł do kancelarii po północy w poniedziałek. Lało wtedy jak z cebra. Była z nim kobieta. Nie chciała, żebym usłyszał jej głos i zobaczył jej twarz. Mężczyzna poczynił przygotowania do tego, żebym mógł ją zidentyfikować. Po identyfikacji miałem otrzymać bardzo wysokie honorarium.

Nie widzę powodu dla tak desperackiego kroku, jak wyciąganie mnie z łóżka po nocy, żeby zlecić mi tę sprawę, chyba że wydarzyło się coś wyjątkowego i bardzo poważnego. Domyślałem się, że morderstwo mogłoby być czymś takim.

Oczywiście, kiedy dowiedziałem się o śmierci Tidingsa, pomyślałem, że właśnie o to chodzi. Jednakże sprawę zlecono mi w poniedziałek w nocy, a morderstwo najwyraźniej zostało popełnione we wtorek. Wtedy przeanalizowałem ślady i wszystko zaczęło wskazywać



na to, że Tidings zmarł w poniedziałek w nocy... Jestem pewien, że stało się to przed północą w poniedziałek.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie wymusić zeznań od sekretarza - powiedział Drake. - Jeżeli jesteś pewny, że twoim klientem jest kobieta.

- Ponieważ nie jestem pewny, czy sekretarz go zamordował - odpowiedział Mason.

- Mój Boże, Perry! Skoro kłamie, mówiąc, że Tidings był w biurze, i skoro udawał jego głos, kiedy rozmawiał z tobą przez telefon...

- To jeszcze nic nie znaczy - przerwał Mason - z wyjątkiem tego, że miał jakiś konkretny powód, żeby ukryć fakt, iż Tidingsa nie ma w biurze. Załóżmy, że bardzo mu zależało, żeby wyglądało na to, iż Tidings jest w biurze we wtorek rano. Sekretarz zrobił, co mógł. Potem znaleźliśmy ciało i pewne ślady wskazywały na to, że zmarł w poniedziałek w nocy, drobne rzeczy, które nie miałyby znaczenia dla kogoś z zewnątrz, ale sekretarz zdał sobie sprawę, w co się wplątał.

Rozumiesz, w jakiej sytuacji się znalazł. Nie miał odwagi odwołać swoich zeznań, bo znalazłby się w okropnych tarapatkach. Musiał to ciągnąć i udawać nadal.

Paul, załóżmy, że sekretarz nie jest winny morderstwa, lecz tylko posłużył się podstępem, żeby stworzyć wrażenie, iż Tidings jest w biurze. Załóżmy, że wpadam do biura, osaczam sekretarza mnóstwem faktów i zmuszam do mówienia. On wyznaje, że kłamał o Tidingsie, ale podaje jakiś logiczny powód. Wtedy policja oskarża moją klientkę o morderstwo. Moja nadgorliwość pozbawia ją jedynego argumentu, którym mogłaby się bronić przed ławą przysięgłych.

- Nie rozumiem?

- Alibi na wtorkowe rano, popołudnie i wieczór.

- Skąd wiesz, że ma takie alibi?

- Ponieważ zniknęły buty i narzuta - powiedział Mason.

- Mów sensownie, Perry.

- Właśnie mówię. Nie rozumiesz? Jedynym powodem, żeby zabrać buty i narzutę, była chęć ukrycia faktu, że padało, kiedy Tidings wszedł do domu. To znaczy, że ta osoba wiedziała, iż dom jest ostatnim miejscem na ziemi, gdzie komukolwiek wpadłoby do głowy go szukać. To znaczy, że był to ktoś, kto wiedział, iż pani Tidings wyjechała i wróci dopiero za kilka dni. Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest to, że osoba ta wyszła z mojej kancelarii w poniedziałek w nocy i zaczęła pracować nad alibi... To chyba ona, Paul.

Drake spojrział szybko na młodą kobietę, stojącą w drzwiach gabinetu kosmetycznego i nakładającą rękawiczki.

- Na to wygląda - powiedział. - Mój człowiek nie mylił się. Głosowałbym na nią w wyborach Miss Ameryki.

Drake przeniósł wzrok na twarz Masona, który obserwował ją w milczeniu.

- Co jest, Perry? - spytał.

- Byłem gotów założyć się o dziesięć do jednego, że to będzie ktoś, kogo już kiedyś widziałem. Nie spodziewałem się zobaczyć kogoś, kogo nie znam.

- To na pewno ona - powiedział Drake. - Detektyw w samochodzie przed nami dał mi znak.

Mason opuścił głowę tak, że rondo kapelusza zakryło mu większą część twarzy.

- Obserwuj ją, Paul - powiedział. - Może mnie rozpoznać. Mów, co robi.

- Skończyła zakładać rękawiczki - relacjonował Drake. - Wyszła... Rzuciła krótkie i zaciekawione spojrzenie detektywowi w samochodzie... Nas chyba nie zauważyła... Dobra, Perry, idzie. Chcesz pójść za nią?

- Tak - potwierdził Mason. - Posłuchaj, Paul. Zajmij się tym sekretarzem. Dowiedz się wszystkiego, co się da. Skoncentruj się na tym, czy jest jakiś związek między Matternem i facetem o nazwisku Bolus, prezesem Western Prospecting Company. Idę.

Mason wszedł na chodnik i ruszył za młodą kobietą.

Szła energicznym krokiem, choć nie na tyle szybko, żeby zepsuć wrażenie, jakie robiła praca jej doskonale skoordynowanych mięśni. Poruszała biodrami w pełnym wdzięku rytmie, stawiała kroki pośpiesznie, choć bez wysiłku, podążając w jasno określonym celu.

Mason poszedł za nią do apteki, gdzie weszła do budki telefonicznej. Tam wykręciła numer i rozmawiała przez chwilę. Odłożyła słuchawkę, przeszła obok lady, gdy Mason kupował szczoteczkę do zębów, i wyszła na zewnątrz. Ponownie rzuciła szybkie spojrzenie na samochód z detektywem, które nie trwało dłużej niż zwykłe mrugnięcie oka.

Na zewnątrz zwolniła. Jej krok stał się spokojniejszy. Dwa razy zatrzymała się, żeby spojrzeć na wystawę. Za drugim razem z trudem oderwała się od czarnej, aksamitnej sukni wieczorowej na manekinie stojącym w oknie wystawowym. Przeszła kilka kroków i nagle zawróciła, żeby znowu obejrzeć suknię, co po jednej czy dwóch trudnych sekundach dało Masonowi okazję, żeby przejść obok niej. Zauważył, że jej oczy wpatrzone były w wystawę.

Mason stanął w wejściu do domu towarowego i czekał, aż przejdzie dalej.

Jednakże kobieta przeszła szybko przez drzwi i ruszyła z tłumem powoli płynącym wśród półek. Skierowała się ku window, potem gwałtownie skręciła, przeszła obok klatki schodowej, z powrotem do działu z ubraniami, skąd wyszła na ulicę drugimi drzwiami.

Idący za nią Mason był zupełnie nieprzygotowany na to, że się zatrzyma. Mógł zdradzić swoją obecność, zatrzymując się, lub przejść od niechcenia dalej. Postanowił iść.

Miły głos rzekł:

- Dzień dobry, panie Mason. Czy chce pan mi coś powiedzieć? Mason uniósł kapelusz i spojrzał w lśniące, czarne oczy, w których błyszczały iskierki kpiny.

- Czy my się znamy? - powiedział. Zaśmiała mu się prosto w twarz.

- To są słowa, których używa kobieta, kiedy nie jest pewna, czy powinna dać się poderwać - powiedziała. - Spodziewałam się, że wielkiego Perry'ego Masona stać na coś więcej! Czy pan mnie śledzi?

- Tylko podziwiam pani piękno.

- Niech pan się nie wygłupia... Chodźmy. Jeżeli chce pan wiedzieć, dokąd idę, nie ma powodu, żeby szedł pan z tyłu.

Włożyła mu rękę pod ramię, uśmiechnęła się do niego i rzekła:

- O, tak lepiej. Miałam zamiar skrócić w lewo. Przypuszczam, że pan również.

Kiwnął głową.

- Czy zauważył pan te dwa samochody, z których też mnie obserwują?

- Dwa? - spytał Mason.

- Jeden na pewno. Drugiego nie jestem pewna.

- Jest pani sławna - rzekł Mason.

- Na to wygląda.

- Naprawdę, nie jestem pewien, czy się znamy. Roześmiała się.

- Widziałam pańskie zdjęcia dziesiątki razy i pokazywano mi pana w klubach nocnych. Pewnie nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale w mieście otacza pana coś w rodzaju kultu. To coś więcej niż zwykła sława.

- Jestem zaszczycony - wymamrotał Mason. Przyjrzała się jego twarzy i stwierdziła:

- Cóż, nie chciałabym, aby poddał mnie pan krzyżowemu ogniowi pytań.

- A ja - rzekł Mason - z pewnością nie chciałbym przesłuchiwać pani. Ktoś, kto potrafi unikać odpowiedzi tak jak pani, jest trudnym świadkiem.

- Dlaczego? Jakich pytań unikam?

- Nie powiedziała mi pani, jak się pani nazywa - jeszcze nie. Zaśmiała się i rzekła:

- Zgadza się. Nie powiedziałam. I pewnie nie powiem... Dostyc sprytni są ci detektywi, nie uważa pan?

- Nie rozumiem - powiedział Mason.

- Jeden z nich został przy wejściu, a drugi obszedł kwartał ulic. Właśnie nadchodzi. Spróbujemy go zgubić, czy pozwolimy mu iść za nami?

- Och, niech idzie za nami - powiedział Mason. - Płacą im za dzień pracy i oczywiście nie wiedzą, dlaczego szedłem za panią. Na piszą w raporcie, że „tuż po opuszczeniu gabinetu kosmetycznego przez obiekt, Perry Mason ruszył za nim. Po upewnieniu się, że nikt go nie obserwuje, Mason nawiązał kontakt z obiektem, i oddalili się razem, zatopieni w rozmowie”.

Zmarszczyła brwi i spytała:

- To komplikuje sprawę. Nie chciałabym... rozumie pan. Kiedy tak pan o tym mówi, wygląda to dziwnie.

- Tak na pewno opisałby to detektyw w raporcie.

- Szedł pan za mną całą drogę z gabinetu?

- Tak.

- Dostrzegłam pana dopiero koło apteki - powiedziała. - Czego pan chce ode mnie?

- Chciałbym wiedzieć, kim pani jest.

- A jeżeli nie powiem?

- Wtedy prawdopodobnie zabierze mi to aż pół godziny, żeby się dowiedzieć.

- Niech pan nie żartuje, panie Mason. Znam kilkanaście sposobów, żeby panu umknąć.

- Zniżyłaby się pani do sztuczki z toaletą? To nie fair.

- Ależ skąd! - odrzekła. - To takie oczywiste... Poza tym, nie jestem pana pewna. Nawet nie jestem pewna, czy powstrzymałyby pana drzwi do damskiej toalety. Wygląda pan na kogoś, kto potrafi przebić każdą stawkę. Pan byłby do tego zdolny.

- W takim razie, niech pani będzie grzeczną dziewczynką i powie mi.

- Dokładnie tego nie chcę panu powiedzieć. Nie jestem jeszcze na to gotowa.

- A kiedy będzie pani gotowa?

- Kiedy się dowiem, dlaczego szedł pan za mną i dlaczego się pan mną interesuje. Chcę również wiedzieć, czy wie pan coś o tych detektywach, którzy śledzili mnie z samochodów. Innymi słowy, panie Mason, wygląda na to, że nagle stałam się sławna, co mi pochlebia. Jeden detektyw to niedobrze. Kiedy śledzi mnie dwóch, to już jest niepokojące. Ale kiedy odwracam się i widzę, że najślawniejszy adwokat w mieście interesuje się tym, co robię, to wystarczy, żeby podskoczyło mi ciśnienie.

- Powie mi pani, kim pani jest? - spytał.

Obróciła się i stanęła twarzą w twarz przed Masonem.

- Nie - powiedziała - i nie pozwolę panu mnie śledzić. Ostrzegam pana, panie Mason. Bardzo proszę zostawić mnie w spokoju... Podajmy sobie dłonie i rozstańmy się w przyjaźni. Zostanę tutaj i popatrzę, jak pan odchodzi. Kiedy będzie pan przy następnej przecznicy, wrócę do zakupów.

Mason potrząsnął głową.

- Skoro poczyniłem tyle wysiłku, żeby panią znaleźć - stwierdził - nie pozwolę pani wymknąć się tak łatwo.

- W takim razie, to pańscy detektywi! Mason nie odezwał się.

Przechyliła głowę na bok, jakby rzucając mu wyzwanie.

- Dobrze - rzekła. - Sam pan tego chciał.

- Czy musimy wstępować na wojenną ścieżkę? - spytał Mason.

- Tak, chyba że pan ustąpi.

- Proszę odpowiedzieć na cztery czy pięć pytań - powiedział Mason - a poproszę o zawieszenie broni.

- Nie.

- Dobrze - powiedział. - W takim razie wojna.

Szli po chodniku, rozmawiając, jak para zatopiona w pogodnej konwersacji. Tylko uważny obserwator zauważyłby zaciętą determinację na twarzy prawnika i nerwowe zakłopotanie w zachowaniu kobiety.

Zmieniło się światło. Policjant ruszył wraz z tłumem przechodniów i stanął na brzegu skrzyżowania, obserwując uważnie samochody, gotów zareagować na każdą próbę wykonania zabronionego skrętu w lewo.

Nagle kobieta u boku Masona odepchnęła go mocno i krzyknęła:

- On mnie zaczepia! On...

Zanim policjant obrócił się, żeby na nich spojrzeć, Mason błyskawicznym ruchem wyrwał spod ramienia jej torebkę.

Zaskoczenie i oburzenie odebrało jej mowę. Obróciła się gwałtownie i spojrzała na niego zaskoczona.

- Szanowna pani, chciałem tylko oddać torebkę. Policjant przepychał się w ich kierunku.

- Co się dzieje? O co chodzi?

- Zaczepia mnie - powiedziała młoda kobieta. - Chwytał... Mason uśmiechnął się.

- Młoda kobieta zostawiła torebkę na ladzie w aptece - wyjaśnił policjantowi. - Jestem przekonany, że należy do tej pani, ale nie oddam jej, dopóki nie będę pewny, że to ona. Mam rację? Proszę, może pan ją wziąć.

Mason spokojnie otworzył torebkę i rzekł:

- Sam pan widzi. Jest...

Rzuciła się w kierunku Masona i desperacko chwyciła torebkę.

- Niech pan się nie waży...

Mason obrócił się bokiem, szerokim ramieniem blokując jej drogę. Z torebki wyjął skórzany portfelik, otworzył go i rzucił szybkie spojrzenie na prawo jazdy.

- Sam pan widzi. Nazwisko i adres właścicielki torebki są tutaj, na tym prawie jazdy. Wystarczy jeżeli pani poda mi swoje nazwisko, a oddam torebkę.

W jej oczach pojawiły się łzy gniewu i upokorzenia.

- Zaraz, kolego - rzekł policjant - coś mi się tu nie podoba.

- Nie ma w tym nic podejrzanego - rzekł Mason z godnością. - Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Perry Mason, adwokat...

- Faktycznie! - wykrzyknął policjant. - Przepraszam, panie Mason. Nie poznałem pana. Widziałem pana w sądzie kilka razy i wiele razy na zdjęciu w gazecie.

Mason uklonił się z uśmiechem i zwrócił się do młodej kobiety pojednawczym tonem:

- Proszę mnie zrozumieć. Uważam, że to pani torebka, ale absolutnie nie mogę jej oddać, jeżeli nie będę miał pewności, że należy do pani.

- No, dobrze - powiedziała. - Nazwisko na prawie jazdy to Adelle Hastings. Adres to 906 Cleveland Square. Jest tam nawet odcisk mojego kciuka, jeżeli potrzebne są panu dodatkowe dane.

- Dziękuję, panno Hastings - rzekł Mason. - Teraz wiem, że to pani torebka. To samo nazwisko i ten sam adres są na prawie jazdy.

Policjant przeniósł wzrok na ciekawskich gapiów, stojących dookoła.

- Proszę przechodzić - warknął. - To jest skrzyżowanie a nie kabaret. Dalej, proszę iść. Nie blokować przejścia.

Mason uniósł kapelusz i uklonił się policjantowi, po czym zwrócił się do Adelle Hastings:

- Czy idziemy w tę samą stronę, panno Hastings? Zamrugnęła oczami, żeby powstrzymać łzy.

- Tak - powiedziała i dodał po chwili. - Teraz tak. Ruszyła razem z nim.

- Żałuję, że nie miałem okazji bardziej dokładnie obejrzeć zawartości pani portfela - rzucił Mason.

- Dlaczego? - spytała.

- Być może znalazłbym tam kawałek banknotu.

- Kawałek banknotu? - powtórzyła, patrząc na niego z uniesionymi brwiami.

- Tak. Rozcięty nożyczkami.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie Mason - powiedziała gwałtownie.

- Możemy o tym porozmawiać później - odparł. - Dlaczego nie chciała pani, żebym się dowiedział, kim pani jest?

- Z kilku powodów.

- Czy może mi pani je wyjaśnić?

- Mogę, ale nie zrobię tego.

- Nie uważa pani, że lepiej będzie, gdy będzie pani ze mną szczerą?

- Nie.

- To pani należała na przeprowadzenie dochodzenia, które ujawniło braki w fundacji szpitala?

- Tak.

- Skąd pani wiedziała, że Tidings sprzeniewierzył fundusze?

- Po prostu zażądałam dochodzenia - powiedziała. - Nie wysuwałam żadnych oskarżeń.

- To nie jest odpowiedź.

- To jest jedyna odpowiedź, jaką pan dostanie.

- Spróbujmy z innej strony. Bardzo mi zależy na rozmowie z pewnym architektem. Oczywiście, mogę poczekać do jutra i przeczytać odpowiedź na moje ogłoszenie w „Contractor’s Journal”, ale myślę, że będzie prościej, jeżeli pani mi powie, co powiedział Peltham.

Znieruchomiała i Mason zobaczył, że zbladła. W ciemnych oczach pojawiła się panika i jej usta zaczęły drżeć. Udało się jej odezwać dopiero za drugim razem.

- Och - wyszeptała zdławionym głosem, który zabrzmiał jak szloch. Po chwili powiedziała. - Mój Boże.

- Proszę się nie denerwować, panno Hastings - próbował uspokoić ją Mason. - Proszę mi przekazać, co powiedział.

Chwyliła go za ramię i poczuł, jak czubki jej palców wpijają się w jego ciało.

- Nie, nie - krzyknęła. - Nie, nie! Nikt nie może się tego dowiedzieć! Nigdy...  
Powinnam była się domyślić, że zastawi pan na mnie pułapkę.

Mason poklepał ją po ramieniu. Widząc zdziwione spojrzenia przechodniów, ruszył w kierunku wejścia do baru.

- Proszę się uspokoić - powtórzył. - Może tu będziemy mogli porozmawiać. Chodźmy.

Pozwoliła zaprowadzić się do środka i usiadła, jakby zadowolona, że może ulżyć swoim drżącym nogom.

- Skąd pan to wie? - spytała, gdy Mason usiadł po drugiej stronie małego stolika.

Pojawił się kelner w białej marynarce i Mason skierował spojrzenie na Adelle Hastings, unosząc brwi.

- Podwójną brandy - poprosiła.

- Dla mnie też - dodał Mason i, gdy kelner odszedł, odezwał się łagodnym głosem:

- Powinna była pani wiedzieć, że to się wyda.

- Wcale nie - rzekł. - Gdybym... gdybym była po prostu ostrożna. Teraz wszystko rozumiem, rozumiem pułapkę, która pan na mnie zastawił.

Mason zignorował tę uwagę.

- Przestańmy owijać w bawełnę - powiedział. - Czy ma mi pani coś do powiedzenia?

- O czym?

- O pani pierwszej wizycie w mojej kancelarii? Przymknęła oczy.

- Czyli? - spytała.

- Jeżeli będę pani potrzebny, rozumie pani, wszystko jest przygotowane.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

- Ależ ja naprawdę nie wiem. Niech mi pan wierzy.

- Dobrze - rzekł Mason. - Dałem pani szansę. Proszę pamiętać, że chronię moich klientów, najlepiej jak potrafię. Ci, którzy nie są moimi klientami, muszą mieć się na baczności.

Zaśmiała się nerwowo.

- Jeżeli panu się wydaje, że odtąd będę się miała na baczności z pańskiego powodu, panie Mason, to głęboko się pan myli.

- Dobrze, zrobmy to w ten sposób - ponowił Mason ze spokojnym, cierpliwym uporem. - Wróćmy do Roberta Pelthama. Po pierwsze, jak odpowiedział na moje ogłoszenie.

Gdy się zawahała, dodał:



- Wystarczy, że zadzwonię do „Contactor’s Journal”. W końcu i tak mają to opublikować.

Przygryzła wargę. Na chwilę zakryła oczy, opuszczając powieki, lecz nagle spojrzała na niego i odsłoniła zęby w uśmiechu.

- Pan Peltham napisał - powiedziała - że nie może się z panem spotkać.

- Ależ ja błędę po omacku - stwierdził Mason.

- Nieźle to panu wychodzi, panie Mason - powiedziała i Mason zdał sobie sprawę, że z jakiegoś powodu powróciła jej pewność siebie. Zrobiła się filuternie wesoła, przyjmując zawadiacką i beztrosko kpiarską postawę.

Mason przyglądał się jej, próbując domyślić się powodu tej zmiany. Zastanawiał się, czy odzyskała pewność siebie dlatego, że coś powiedział, czy też nagle powzięła nowy plan, który musiał zaowocować zwycięstwem.

- Zbyt głęboko w to wszedłem, żeby się teraz wycofać. Muszę iść do przodu.

- Proszę - odrzekła. - Zdaje się, że pan Peltham uważa, iż świetnie panu idzie.

- Rozmawiała pani z nim?

- Powiedzmy, że jestem z nim w kontakcie.

- Przez telefon?

- Obawiam się, że znowu będę zmuszona wymigać się od odpowiedzi, panie Mason.

Mason spojrzał na nią gniewnie.

- Dobrze - powiedział wojowniczo. - Przestańmy bawić się ciuciubabkę. Jakie ma pani alibi na poniedziałkową noc?

Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Od wtorku w południe, panie Mason.

- Pytałem o noc w poniedziałek.

- Odpowiedziałam panu - odparła z uśmiechem. - Od wtorku w południe.

- Mam nadzieję, że jest solidne.

- Oczywiście.

- A tak z ciekawości - spytał - co pani robiła w poniedziałek w nocy?

- To, co robiłam w poniedziałek w nocy, nie ma nic do rzeczy, i pan to wie. W gazecie napisali, że pan we własnej osobie rozmawiał z Tidingssem we wtorek około jedenastej rano... Rozumiem też, że reprezentuje pan Byrl Gailord... Życzę panu powodzenia.

- Proszę nie zmieniać tematu.

- Ależ skąd.

- Co pani o niej wie?

- Nic.

- Zna ją pani?

- Tak, znamy się.

- Skąd?

- Spotkałyśmy się kilka razy na przyjęciach.

- Macie ten sam krąg znajomych?

- Właściwie nie. Bardzo jej zależy, żeby... Chwileczkę, nie tak chciałam to powiedzieć.

- Ależ tak - stwierdził Mason - właśnie to chciała pani powiedzieć. Być może wymknęło się to pani, ale to miała pani na myśli.

- No, dobrze. Niech będzie. Taką mam o niej opinię.

- Że próbuje dostać się na salony?

- Można tak to określić. Mój Boże! Co z tego, że jej ojciec był księciem? Kogo to obchodzi?

Mason powiedział, przyglądając się jej uważnie:

- Domyślam się, że ma pewne ambicje dotyczące zamążpójścia?

- Jak każda kobieta, prawda?

- Skąd mam to wiedzieć? Kogo chce usidlić?

- Bardzo przepraszam, panie Mason, ale nie będę o tym rozmawiać.

- Bo jest pani rywalką?

- Co pan sobie wyobraża? Co to za insynuacje?

- Być może wiem więcej, niż się pani wydaje - rzucił tajemniczo adwokat.

- Niech pan posłucha, panie Mason - odezwała się gniewnie. - Coleman Reeger i ja jesteśmy dobrymi znajomymi, to wszystko. Nie obchodzi mnie, z kim się ożeni. Nie chciałabym tylko, żeby dał się usidlić.

- Uważa pani, że mu to grozi?

- Wystarczy, panie Mason - odparła z naciskiem. - Nie będziemy o tym rozmawiać i damy spokój Colemanowi Reegerowi.

- Dobrze, pod warunkiem że powie mi pani, gdzie pani był w nocy w poniedziałek.

Zaśmiała się i rzekła:

- Znowu chce mnie pan zwabić w pułapkę, prawda? Kelner przyniósł brandy.

- Niech pani posłucha - powiedział Mason. - Z tym funduszem to nie było przecucie. Bierze pani w obronę Pelthama. Jest pani z nim w kontakcie. Ufa mu pani bezgranicznie. To znaczy, że... Sa ma pani wie, co to znaczy.

- A co to znaczy? - spytała.

- Może pani ukryć twarz za maską, ale nie ukryje pani uczuć. Opuściła wzrok i zaczęła bawić się kieliszkiem, obracając go kciukiem i palcem wskazującym.

- Nie mam zamiaru tego komentować - rzekła.

- Czy to znaczy, że mnie pani nie zrozumiała?

- N-n-nie, to nie to. Wolałabym, żeby był pan bardziej konkretny, zanim... zanim cokolwiek powiem.

Mason wypił brandy jednym haustem, wyciągnął z kieszeni banknot i położył go na stole.

- Proszę posłuchać - rzekł. - Zmęczyła mnie ta zabawa w ciuciubabkę. Albo zaczniemy rozmawiać szczerze, albo wychodzę i wtedy pani będzie musiała mnie szukać.

- Ależ po cóż miałabym pana szukać? Odwrotnie. To pan mnie śledził.

- Mniejsza o to - rzekł Mason. - Mam dosyć tej zabawy. Chce pani ze mną rozmawiać czy nie?

W jej oczach pojawiło się coś w rodzaju zaskoczenia.

- Panie Mason - powiedziała z naciskiem - jeżeli pan wstanie, wyjdzie i przestanie zadawać mi pytania, sprawi mi to naprawdę wielką ulgę.

Adwokat bez słowa odepchnął krzesło, wziął kapelusz i ruszył w kierunku drzwi. Po kilku krokach obrócił się, spojrzał na jej zdziwioną twarz i rzekł:

- Wie pani, gdzie mnie szukać - i wyszedł, zostawiając ją samą.

## ***Rozdział 7***

Della Street podniosła wzrok, kiedy Mason otworzył drzwi i wkroczył do kancelarii.

- Aha - powiedziała. - Aż tak źle?

- Gorzej - odpowiedział adwokat, zdejmując kapelusz i rzucając go na fotel. - Mam dosyć. Już nigdy więcej nie kupię kota w worku.

- Przecież Paul Drake dzwonił i powiedział, że nawiązałeś z nią kontakt i że wszystko w porządku.

- Drake nie zna się na kobietach - rzekł Mason. - Ja zresztą też nie... Kiedy dzwonił?

- Kilka minut temu. Powiedział, że chociaż nie musiał już jej śledzić, zrobił to dla zasady. Powiedział, że to Adelle Hastings, że zostawiłeś ją w barze, że wyszła kilka minut po tobie i poszła prosto do mieszkania. Daj mi ten drugi kawałek banknotu, szefie. Pójdę do banku i wpłacę pieniądze na konto.

Mason roześmiał się bez humoru.

- Co się stało? Nie dostałeś go?

- Nie.

- A ona? Miała go?

- Na pewno - potwierdził adwokat. - Nabiera mnie w rytmie dziesięciu tysięcy.

- Co to wszystko znaczy?

Mason rozłożył ręce w geście bezradności.

- Frajer - powiedział - zwykły naiwniak. Byłem tak gorliwy, że zacząłem się babrać w tym bagnie. Upaprałem się po pachy i nic z tego nie wynikło.

- To znaczy, że ona nie chce ci oddać tego drugiego kawałka?

- A po co? Peltham jest zadowolony, ona też. Sprawy mają się świetnie. Ona ma żelazne alibi na wtorek rano. Przynajmniej tak mówi, a wierzę, że jest na tyle sprytna, iż mówi prawdę. Skoro ma alibi, musi być dobre.

Niechący wywarłem presję na Holcombe i ustalił czas śmierci na tuż po dwunastej we wtorek. Mam kawałek banknotu i nic nie mogę z nim zrobić, dopóki nie dostanę reszty... Skoro jestem na tyle głupi, żeby pracować za darmo, po co mi płacić?

- Na to wygląda - powiedziała Della w zamyśleniu. Pokiwał ponuro głową.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Drake powiedział, że jego ludzie śledzili Abigail Tump i że doprowadziła ich do człowieka, który jest tym księgowym z sierocińca, o którego ci chodzi. Dostał też kopię ogłoszenia, które panna Hastings zostawiła w Contractor's Journal".

- Co tam jest napisane? - spytał Mason, opadając na wielki obrotowy fotel. Położył stopy na biurku i wyjął papierosa.

Della spojrzała do notatnika i przeczytała: „Nie mam nic do powiedzenia. Rozmowa o tym czasie byłaby nierozsądna. Świetnie pan sobie radzi. P.”.

- Trudno o lepsze sformułowanie... Świetnie sobie radzę, prawda? - zdenerwował się Mason. - Delio, zapisz to. Potem przepisz na maszynie i zanieś do Contractor's Journal". Niech wydrukują najszybciej, jak się da. „P. Nie lubię pracować bez planów. Proszę o szczegółowe wytyczne. W przeciwnym razie poważne defekty w konstrukcji”. Przeczytaj mi to.

Della odczytała tekst ogłoszenia. Mason skinął ponuro głową i powiedział:

- Dobrze.

Spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem.

- Szefie, nie lepiej siedzieć cicho i czekać na rozwój wydarzeń?

- To nie w moim stylu - odparł. - Pewnie byłoby to roztropne. W każdym razie tak byłoby rozsądnie, ale roztropność i rozsądek prowadzą donikąd. W tej chwili sprawa jest

otwarta. Jeżeli będę siedział cicho i czekał, sytuacja rozwinię się niekorzystnie dla klientki, której sprawą w końcu będę musiał się zająć.

- Jeżeli jednak będziesz działał na jej korzyść, nie dostaniesz honorarium - powiedziała.

- Od teraz będę robił rzeczy, od których włosy staną im dęba na głowie - powiedział Mason. - Zanieś to ogłoszenie do Contractor's Journal" i zostaw wiadomość w biurze Drake'a, żeby przyszedł do kancelarii, gdy tylko wróci... Adelle Hastings, a niech ją... Wyobraża sobie, że może bezkarnie przebić moje karty!

- Szefie, jeżeli będziesz pracował nad tą sprawą, nadal będzie grała w ten sposób.

Mason uśmiechnął się bez humoru.

- Wytrącę jej wszystkie atuty z ręki.

Della Street poprawiła kapelusz przed lustrem.

- Nie muszę ci mówić, żebyś uważał.

- Czy ktoś osiągnął coś w życiu dzięki ostrożności? - rzucił Mason. - Za każdym razem, kiedy się zastanawiasz, co zrobi twój przeciwnik, nieświadomie rozważasz, co sam byś zrobił. Wynik jest taki, że nie walczysz z nim, tylko z sobą. To zawsze kończy się sytuacją patową. Za każdym razem, kiedy myślisz o ataku, planujesz doskonałą obronę.

Najlepsi wojownicy nie zastanawiają się, co zrobi przeciwnik. I jeżeli działają szybko, nie dają mu czasu na myślenie.

- Coś czuję, że przyszedł czas na szybkie działanie - rzekła Della z uśmiechem, podchodząc do drzwi.

Z korytarza dobiegł ich głos Paula Drake'a:

- Twoje nogi świetnie wyglądają pod światło, Delio.

- Jak kiedyś będziesz miał chwilę czasu, powiedz o tym Perry'emu, dobrze, Paul?

Drake, w wyjątkowo dobrym humorze, precyzyjnie się obok Delii przez otwarte drzwi.

- Boże, Perry, co za sprytny numer z tą torebką. Myślałem, że umrę ze śmiechu. Kiedy zawołała do policjanta, że ją zaczepiasz, pomyślałem, że będę musiał poręczyć za ciebie w sądzie.

- O co tu chodzi? - spytała Della.

- Twój szef - odpowiedział Drake - zaczął wyrywać kobietom torebki.

- Wejdz i zamknij te cholerne drzwi. Nie chcę, żeby wszyscy w budynku słyszeli, o czym mówimy.

- Skoro Paul przestał podziwiać moją figurę, pójdę już - rzuciła Della.

Drake zamknął drzwi.

- O czym ty do diabła mówisz? - spytał Mason. Drake uśmiechnął się szeroko.
- Przyjrzałeś się kiedyś nogom własnej sekretarki?
- Przestań, do cholery! Mam dla ciebie robotę - powiedział Mason.
- Jaką?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, adwokat sięgnął po telefon, podłączył go do wewnętrznej linii i powiedział:

- Gertie, dodzwoń się do doktora Finleya C. Willmonta. Będzie u siebie. Pielęgniarka ci powie, że ma wizytę i nie może podejść do telefonu. Powiedz jej, że dzwoni Perry Mason i że to ważne. Chcę rozmawiać z doktorem Willmontem osobiście.

- Już - odparła Gertie. - Poczekaj pan?

- Nie, zadzwoń, kiedy będzie przy telefonie. Mason odłożył słuchawkę i powiedział do

Paula:

- Ukrywa coś przede mną.

- Della? - spytał Drake zaskoczony.

- Zejdz na ziemię - powiedział Mason. - Adelle Hastings.

- Myślałem, że je ci z ręki.

- Nie, postawiłem jej drinka. Wypiła z kieliszka.

- Zachowujesz się, jakby ktoś ci wrzucił rzep w spodnie.

- Ktoś to zrobił.

- Kto?

- Nie wiem.

- Nie możesz go wyjąć?

- Nie chcę, wolę wierzyć.

- Co mam zrobić?

- Masz nazwisko i adres tego księgowego z sierocińca?

- Tak.

- Kto to jest, gdzie mieszka i jak wygląda?

- Arthmont A. Freel, Montway Rooms, około sześćdziesiątki, zastraszony, garbiący się cherlak, wyblakłe oczy, wyblakłe włosy, wyblakłe ubranie i wyblakła osobowość, zaniedbany w dystyngowany sposób. Umieść go w grupie trzech osób i zniknie w tłumie. Nie wyróżnia się bardziej niż popiół z cygara na szarym dywanie w mglisty poranek.

- Jesteś w świetnym humorze, co Paul? - powiedział Mason.

- Aha.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tak się czuję. Rozbawiło mnie to, jak odwróciłeś sytuację na jej niekorzyść, kiedy zawołała policjanta. To ci się udało, Perry. Gliniarz kiwał głową, kiedy odeszliście, jakby szlachetnie wykonał swój obowiązek wobec podatnika i zasługiwał na order.

Zadzwoił telefon na biurku Masona. Adwokat podniósł słuchawkę i usłyszał głos Gertie:

- Doktor Willmont na linii - a po chwili dobiegł go rzeczowy głos doktora Willmonta:

- Tak, Perry? O co chodzi?

- Potrzebuję około pinta krwi.

- Jakiej? - spytał lekarz.

- Takiej, której dawca będzie trzymał język za zębami.

- Wiem, ale która grupa?

- Ludzka, to mi wystarczy - powiedział Mason. Doktor Willmont zawahał się.

- Dostyc nietypowe. Nie da się tego zrobić, nie określając grupy krwi dawcy i biorcy...

- Nie ma żadnego biorcy - wyjaśnił adwokat - nie będzie transfuzji. Potrzebuję tylko dawcy.

- Co mam z nią zrobić?

- Wlej do butelki - powiedział Mason - i zapomnij o tym.

- Jak to zrobimy?

- Jak chcesz. Odbiorę ją, kiedy będzie jeszcze świeża. Będę w kontakcie i dam znać, kiedy będzie mi potrzebna i skąd ją odbiorę. Postaraj się o dawcę.

Lekarz zawahał się.

- Może uda mi się wyjaśnić, że jest potrzebna do celów laboratoryjnych - powiedział. - Będziesz pamiętał, żeby mnie w nic nie wplątać?

- Aha.

- Po co ci krew?

- Do laboratoryjnych doświadczeń kryminologicznych - rzekł Mason gładko.

- Dobrze, postaram się to załatwić.

- Odezwę się później - powiedział adwokat. - Załatw dawcę. Odłożył słuchawkę i zwrócił się Paula Drake'a.

- Dobra, Paul, jedziemy.

- Dokąd? - spytał Drake.

- Montway Rooms - odparł Mason.

- Twoim czy moim?

- Twoim.

- Teraz?

- Teraz. Chodź.

Gadatliwość i dobry humor Drake'a zniknęły pod wpływem zaciętego i ponurego nastroju adwokata. Drake zaryzykował jedną czy dwie dowcipne uwagi i zamilkł. Cisza trwała do chwili, gdy zaparkował samochód przed domem z pokojami do wynajęcia.

- To ta buda - powiedział. - Będziesz ostry, Perry?

- Tak - odpowiedział prawnik - dopóki kogoś nie wykurzę z nory. Chodźmy.

W milczeniu otworzyli drzwi samochodu, zamknęli je z trzaskiem i weszli do budynku. Nikogo nie było w recepcji i Drake wskazał drogę:

- Na drugim piętrze z tyłu. Mam numer pokoju. Weszli po skrzypiących schodach i poszli, stukając obcasami po cienkim pasku wytartego, wyblakłego chodnika leżącego na podłodze korytarza. Drake w milczeniu wskazał drzwi. Mason zastukał.

Po drugiej stronie odezwał się piskliwy głos:

- Kto tam?

- Nazywam się Mason - odpowiedział prawnik. Głos odezwał się bliżej drzwi.

- O co chodzi?

- Mam wiadomość. Klucz szczęknął w zamku. Drzwi otworzyły się i mężczyzna którego twarz ledwo sięgała Masonowi do ramienia, spojrział sponad okularów w drucianych oprawkach.

- Jaką wiadomość? - spytał.

- Złą - odparł Mason i wszedł do środka.

Drake wszedł za nim. Mason spojrział na niego pytająco i detektyw prawie niedostrzegalnie kiwnął głową, po czym podszedł do krzesła przy oknie i usiadł. Krzesło było wciąż ciepłe. Freel przenosił wzrok z jednego z nich na drugiego, wciąż trzymając gazetę między kciukiem i palcem wskazującym.

- Nie znam panów - powiedział.

- Zaraz nas poznasz - powiedział Mason. - Siadaj.

Freel usiadł na łóżku. Mason zajął drugie krzesło. Rozklekotany mebel z siedzeniem wypieczonym z trzciny skrzypnął pod jego ciężarem.

Był to mały ponury pokój z żelaznym łóżkiem z cienkim materacem i lustrem dającym przekrzywione odbicia. Kapiąca woda zostawiła czerwonawy ślad, który jak wachlarz rozciągał się pod każdym kranem na umywalce. W środku były tylko dwa krzesła, wytarty, stary dywan, szafa, łóżko i wyblakłe litografie na ścianach.



Spod łóżka wystawała walizka i torba. Zużyte tweedowe palto leżało złożone w nogach łóżka pomalowanego białą farbą. Szaro-biała narzuta była połatana w dwóch miejscach, a w innym niemal całkowicie przetarta.

Freel nerwowym ruchem odłożył na bok gazetę. W ciszy panującej w pokoju szelest papieru zabrzmiał niezwykle głośno.

- O co chodzi? - spytał.

- Wiesz, o co chodzi - powiedział Mason, przypatrując mu się uważnie.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, co panów tu sprowadza i o czym pan mówi.

- Nazywasz się Freel?

- Tak.

- Wiele lat temu byłeś księgowym w Hidden Home Welfare Society?

Mężczyzna wyraźnie się zdenerwował.

- Tak - powiedział.

- Co tu robisz? - spytał Mason.

- Szukam pracy.

Mason prychnął pogardliwie.

- Spróbuj jeszcze raz - rzekł. - Tym razem postaraj się powiedzieć prawdę.

- Nie wiem, kim jesteście. Nie macie prawa posuwać się do takich insynuacji.

- Mógłbym posunąć się do oskarżeń - powiedział Mason. Pochylone ramiona wyprostowały się. W wyblakłych, szarych oczach pojawił się nieoczekiwany błysk przekory.

- Mnie o nic pan nie oskarży - powiedział mężczyzna.

- Nie? - spytał Mason sarkastycznie.

- Nie.

Mason nagle wycelował palec prosto w jego pierś.

- Mógłbym na przykład - stwierdził - oskarżyć cię o zabójstwo Alberta Tidingsa.

Mały człowieczek podskoczył na łóżku, jakby między palcem a jego klatką piersiową przeskoczył ładunek elektryczny. Otworzył usta, zaskoczony i skonsternowany.

- Mnie? - wykrzyknął wysokim, piskliwym głosem pełnym strachu i gniewu.

- Ciebie - powiedział Mason, zapalając papierosa.

Ciszę w pokoju przerwało tylko skrzypienie sprężyn łóżka, kiedy Freel poruszył się zakłopotany.

- Czy jesteście z policji? - spytał.

- On jest detektywem - powiedział Mason, wskazując Paula Drake'a kciukiem, i dodał po chwili, zniżając głos - prywatnym. Pracuje nad sprawą Tidingsa.

- A co on ma do mnie?
  - Chciałeś powiedzieć - a co on chce mi zrobić? Kiedy ostatni raz widziałeś Tidingsa?
  - Nie wiem, o czym pan mówi.
  - To znaczy, nie znasz Tidingsa?
  - Nie - odparł Freel buntowniczo. - Nie wiem, kto to jest.
  - Czytałeś o tym w gazecie - powiedział Mason.
  - Ach, to! Chodzi o tego człowieka, którego ciało znalazła policja!
  - Zazwyczaj w takim stanie znajduje się zamordowanych ludzi.
  - Po prostu przeczytałem o tym. Nie skojarzyłem nazwiska.
  - Ale nazwisko skojarzyło się z tobą - rzekł adwokat.
- Freel wyprostował się i przesunął do przodu, siadając na samym brzegu łóżka.
- Chwileczkę - powiedział. - Nie może pan tak po prostu przyjść i wrabiać mnie w coś.

Nie może pan...

- Mniejsza o to - przerwał mu Mason. - Przestań się migać. Kiedy ostatni raz widziałeś Tidingsa?

- Nigdy. Nie znałem go.
- Jesteś pewien?
- Tak.

Mason roześmiał się tylko.

Zapadła pełna napięcia, nieprzyjemna cisza. Przerwało ją nagle następne pytanie Masona.

- Kiedy ostatni raz widziałeś panią Tump?
  - Kogo?
  - Tump.
  - Chwileczkę - zaprotestował Freel cienkim, piskliwym głosem. - Nikogo nie zamordowałem. Miałem... Miałem tylko pewne interesy z panią Tump, to wszystko.
  - A z Tidingsem?
- Freel unikał jego wzroku.
- Nie znałem go.
  - Spróbuj jeszcze raz - powiedział Mason. - Tym razem powiedz prawdę.
  - Spotkałem go tylko raz, przypadkiem. Odszukał mnie.
  - Czyżby?
  - Tak, w pewnym sensie.
  - Kiedy to było?

- Nie wiem. Tydzień czy dziesięć dni temu.

- To nie ty go odszukałeś?

- Nie.

- Odszukałeś panią Tump?

- Eee... Jak pan się nazywa?

- Mason.

- Pan jest Perry Mason, ten adwokat?

- Tak.

- Przecież pan reprezentuje Byrl Gailord.

- Pani Tump ci to powiedziała?

- Tak.

- Co jeszcze ci powiedziała?

- Że odzyska pan pieniądze Byrl.

- Co wiesz o Byrl?

Freel rozsiadł się na łóżku i rzekł obłudnym tonem:

- Niech pan zrozumie, panie Mason. Nie miałem nic wspólnego z tamtym oszustwem. Hidden Home Welfare Society często łamało przepisy. Wie pan, jak to jest z adopcjami. Trochę to trwa, zanim znajdzie się dziecko, którego sytuacja jest uregulowana i rodzice są znani. Zawsze był na nie duży popyt. Czasem trzeba czekać rok albo nawet dłużej... Ludzie nie chcą czekać na dziecko, przynajmniej większość.

Sierocińce takie jak Hidden Home często podejmują się ryzykownej gry. Ludzie płacą, żeby znalazły im dziecko. Matka dziecka ma nadzieję, że znajdzie pracę i opłaci jego utrzymanie, ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto to się nie udaje.

Mały człowieczek przerwał i odchrząknął nerwowo. Patrzył ukradkiem spod okularów, które osunęły się na czubek nosa, na twarze swoich słuchaczy w nadziei, że odczyta jakieś reakcje.

- Dalej - rzekł Mason.

- To wszystko. Jeżeli sierociniec jest porządku, czeka, aż matka przestanie płacić, ale czasem ryzykują.

- Co to znaczy - ryzykują? - spytał adwokat.

- Po prostu przeznaczają dziecko do adopcji... Rozumie pan, niemowlę osiąga wyższą cenę niż starsze dziecko.

- Dlaczego?

- Kiedy ma już cztery czy pięć lat, jest na tyle duże, że pamięta sierociniec i wie, że zostało adoptowane. Większość ludzi nigdy tego dzieciom nie mówi. Chcą, żeby myślały, że są ich prawdziwymi rodzicami.

- No, dobrze - powiedział Mason - a co z Byrl Gailord?

- W jej przypadku zaryzykowali - i przeliczyli się.

- Skąd ona się wzięła?

- Jest Rosjanką - gładko wyjaśnił Freel. - Jej rodzice zginęli w katastrofie morskiej. Pani Tump ją tam zostawiła. Byrl była wtedy starsza niż dzieci, które zwykle przyjmowano do sierocińca, ale ze względu na jej pochodzenie byli pewni, że dostaną większe pieniądze.

Freel zwilżył usta językiem i kiwnął głową, podkreślając wagę swoich słów.

Mason przyglądał mu się uważnie przez kilka sekund, po czym odezwał się nagle:

- Pani Tump ma córkę, prawda?

Freel gwałtownie obrócił głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Córkę? - spytał.

- Tak.

- Jaką córkę?

- Córkę - odpowiedział Mason. - Wiesz chyba, kto to jest córka?

- No, tak. Tak, oczywiście... Nie pamiętam. Wiele spraw zapomniałem, drobne szczegóły. Przypuszczam, że zbadali przeszłość pani Tump, kiedy oddała im dziewczynkę.

- Po co mieliby to robić? - spytał Mason.

- Chcą wiedzieć o dziecku wszystko, co się da. Zwykle domagają się, żeby dziewczyny podały im nazwisko ojca, ale one nie chcą... Dziwne, że chronią mężczyzn, którzy je zdradzili. Kobiety są lojalne w stosunku do mężczyzn, bardziej niż mężczyźni w stosunku do kobiet, panie Mason.

Mason zaciągnął się papierosem po raz ostatni i zgniótł go w popielnicze.

- Dobrze - powiedział - wróćmy do pani Tump.

- Tidings próbował wyciągnąć ze mnie wszystko, co wiem - rzekł Freel. - Chyba szukał jakiegoś pretekstu, czegoś co udowodniłoby, że Byrl Gailord nie...

- Nie co? - spytał Mason.

- Nie należą się jej pieniądze.

Mason popatrzył w zamyśleniu na dywan. Freel przyglądał mu się niecierpliwie, jak strzelec, który sprawdza, czy jego kule dosięgły celu.

- Czy sierociniec sprawdził tę historię o storpedowanym statku? - spytał.

- Oczywiście, panie Mason. Przeprowadzili drobiazgowo dochodzenie. Zawsze sprawdzają informacje o rodzicach. To się przekłada na dolary i centy.

Mason wstał z krzesła i podszedł do okna częściowo zasłoniętego wypłowiałą firanką. Podniósł porwaną, zieloną roletę, stanął, opierając się łokciami o gzyms dzielący okno na pół, i patrzył w zamyśleniu na obskurną uliczkę i pozbawioną okien ścianę ceglanego budynku po przeciwnej stronie.

Freel zwrócił się do Drake'a:

- Pan mi wierzy, prawda?

- Jasne - Drake odparł beztrąsko.

- Znasz Colemana Reegera? - spytał Mason, wciąż patrząc przez okno.

- Nie - odpowiedział Freel. - Kto to?

- Nic o nim nie wiesz?

- Nie.

- Nic o nim nie słyszałeś?

- Nie, jestem pewien. Mam pamięć do nazwisk.

- Twojej pamięci trzeba pomagać - powiedział Mason. - Trochę to trwało, zanim przypomniałeś sobie Tidingsa.

- Kłamałem o Tidingsie - przyznał Freel. - Myślałem, że będzie lepiej, jeżeli nikt się nie dowie... Wie pan, jak to jest.

- Przeszedł do ciebie?

- Tak. Chciał mnie przekupić.

- Co powiedziała pani Tump, kiedy ją o tym powiadomiłeś? Nagle w głosie Freela pojawiła się panika.

- Nic jej nie powiedziałem - rzekł. - Niech pan jej nic nie mówi. Nie może się o tym dowiedzieć.

Mason nadal stał przy oknie. W zamyśleniu bębnił palcami o gzyms, na którym oparł łokieć. Nagle obrócił się i stanął twarzą w twarz z Freelem

- Kłamiesz - rzucił.

- Ależ nie, panie Mason. Przysięgam na Boga, że mówię prawdę.

- Teraz rozumiem - powiedział adwokat. - Ile z tego masz?

- Nic. Po prostu mówię, co wiem, żeby naprawić wyrządzone zło, w którym nieświadomie brałem udział... Oczywiście, wiedziałem, co się dzieje w sierocińcu, ale byłem tylko księgowym. Zajmowałem się księgami i to wszystko.

- Gdzie są księgi?

- Nie wiem. Wyrzucili mnie.
- Ale pamiętasz dużo szczegółów?
- Tak.

Mason popatrzył na niego uważnie spod przymkniętych powiek i powiedział:

- Twoje zeznania są nic niewarte, Freel. Minęło za dużo czasu. Żadna ława przysięgłych nie zaufa twojej pamięci.

- Robiłem notatki - powiedział Freel. - Mam dokładne zapiski na temat niektórych przypadków, które zrobiły na mnie wrażenie jako... jako sprawy, które muszą w przyszłości wyjść na jaw.

- Dlaczego?

- Dlatego, że gdybym kiedykolwiek miał zeznawać, chciałem mieć pewność, że będę mógł powiedzieć, co naprawdę się zdarzyło.

- Innymi słowami, chciałeś szantażować - rzekł Mason. Freel zgarbił się.

- O czym pan mówi? - zapytał, unikając wzroku Masona.

- Spójrz mi w oczy, Freel - powiedział Mason.

Przez chwilę Freel unikał jego wzroku, po czym z wysiłkiem spojrzał na adwokata.

- Co się kryje za sprawą Byrl Gailord? - spytał Mason.

- Mówiłem panu - odpowiedział Freel i opuścił oczy.

- Spójrz mi w oczy, Freel.

Mason poczekał, aż Freel powoli uniesie wzrok.

- Powiem ci, o co chodzi - rzucił adwokat. - Jeżeli ojciec Byrl Gailord był wielkim księciem, to mój też. Byrl Gailord jest nieślubnym dzieckiem córki pani Tump. Pani Tump wymyśliła wielkiego księcia, żeby przydać splendoru jej pochodzeniu. W testamencie Gailorda jest opisana jako adoptowane dziecko. Zgodnie z nim odziedziczyła dużo pieniędzy, ale też wyszło na jaw, że wzięto ją z jakiegoś sierocińca, że nigdy nie została formalnie adoptowana, i że jest czymś nieślubnym dzieckiem... Nie odwracaj wzroku, Freel i patrz na mnie, cały czas patrz... Pani Tump chce wprowadzić ją do dobrego towarzystwa. Interesuje się nią Coleman Reeger, a jego rodzina to bardzo dobre towarzystwo przez duże T. Nigdy by nie zezwolili na małżeństwo z dziewczyną o jej pochodzeniu, więc pani Tump podjęła się zadania stworzenia jej fikcyjnego pochodzenia. Wiedziała, że sama sobie z tym nie poradzi, więc odszukała ciebie i podstawiła cię jako świadka.

Freel poruszył się niespokojnie i sprężyny łóżka zaskrzypiały.

- Ile? - spytał Mason.

- Piętnaście tysięcy dolarów - odparł Freel słabym, piskliwym głosem.

- Ile z tego już dostałeś?

- Tysiąc. Reszta będzie, kiedy... kiedy...

- Kiedy wyjdzie za Reegera? - spytał Mason.

- Tak - przyznał Freel, wciąż unikając wzroku prawnika.

- Mów.

- To wszystko. Nie miałem pracy i byłem zdesperowany. Odnaleźli mnie detektywi pani Tump i ona mi to zaproponowała. Ten tysiąc to było dużo pieniędzy. Zgodziłbym się na wszystko.

- A więc ta historia o rosyjskiej krwi w jej żyłach to bzdura?

- Nie całkiem. Jej ojcem jest Rosjanin, syn kelnera, uciekiniera z Rosji.

Mason gwałtownie odwrócił się od małego człowieczka i zaczął przechadzać się długimi krokami po pokoju. Ręce włożył głęboko w kieszenie spodni. Od czasu do czasu przenosił wzrok na Freela, przyglądając się jego twarzy.

Drake, rozparty na niewygodnym, kiwającym się krześle, milczał i patrzył z zainteresowaniem na Masona.

Po kilku minutach chodzenia po pokoju Mason rzekł zamyślony:

- Nie rozumiem, jaki interes Tidings miał w tym, żeby cię przekupić. Dlaczego zależało mu, żebyś zmienił zeznania?... Czego właściwie chciał?

- Nie wiem, panie Mason - rzucił pośpiesznie Freel. - Nigdy nie doszliśmy do tego. Chciał mnie przekupić, ale od początku dałem mu do zrozumienia, że mnie to nie interesuje, że nie jestem taki.

- Ale byłeś taki - powiedział Mason. - Dałeś się przekupić pani Tump, żeby złożyć kłamliwe zeznania.

- To było co innego, panie Mason. - On chciał, żebym ją sprzedał.

- Dlaczego?

- Mówiłem panu, że nie wiem. Nie chciał powiedzieć.

- Czego właściwie chciał?

- Chciał, żebym zmienił zeznania.

- W jaki sposób? Chciał, żebyś powiedział prawdę?

- Nie, nie znał prawdy.

- No to czego chciał?

- Już mówiłem. Nie wiem.

- W jaki sposób cię znalazł?

- Nie wiem, tak samo jak wy. Byłem w pokoju, kiedy przyszedł.

- Ile razy?
- Tylko raz.
- Kiedy?
- Nie pamiętam. Z tydzień temu.
- I co powiedział?
- Powiedział, że będzie mi się opłacało, jeżeli zrobię to, co każe.
- Zrobię co?
- No, zmienię moją historię.
- Ale co on by z tego miał? - spytał Mason.
- Nie wiem. Mówię panu, nic o tym nie wiem.
- Ile pieniędzy dała ci pani Tump?
- Tysiąc dolarów.
- Kiedy?
- Dwa miesiące temu.
- A ty zająłeś się przerabianiem całej historii. Pewnie sfalszowałeś jakieś zapisy.
- No, oczywiście, chciałem, żeby była wiarygodna. Mason odezwał się nagle:
- Freel, to ty przyszedłeś do Tidingsa, a nie ón do ciebie. Skontaktowałeś się z nim i chciałeś sprzedać mu informacje o Byrl Gailord. Ponieważ był powiernikiem jej pieniędzy, pomyślałeś, że coś ci wpadnie. A potem dowiedziała się o pani Tump, albo ona dowiedziała się o tobie i dostała pieniądze. Ale ciągle byłeś w kontakcie z Tidingsem. Czegoś chciał... Teraz mów: czego chciał Tidings?

Freel opuścił dłonie na kolana. Skłonił głowę tak nisko, że z trudem było słyszeć, co mówi.

- Myli się pan. To wcale nie było tak.

Mason podszedł do niego, chwycił go za kołnierz marynarki i powiedział:

- Wstawaj.

Mówiąc to, szarpnięciem postawił go na nogi. Mason zrzucił poduszki z łóżka i pomacał materac.

- Pomóż mi - zwrócił się do Paula Drake'a. - Równie dobrze możemy zacząć tutaj.

Mason chwycił jeden koniec materaca a Drake z drugi.

- Na drugą stronę.

Kiedy obrócili materac, Freel podbiegł do Masona i chwycił go za ramię.

- Nie, nie, nie - krzyknął, szarpiąc go za rękaw. Mason odepchnął go.



Pośrodku materaca krzyżowały się szerokie na cal paski taśmy klejącej. Mason wyjął scyzoryk.

Freel znowu rzucił się na niego i Mason odezwał się do Drake'a, nie podnosząc wzroku:

- Zajmij się nim, Paul. Jeszcze się skaleczy. Drake objął go ramieniem.
- Chodź, Freel. Spokojnie. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

Freel szarpał się rozpaczliwie w objęciu Drake'a. Mason przeciął taśmę i zobaczył niewielkie wgłębienie wydrążone w bawełnianej wyściółce materaca. W środku dojrzał zwitek banknotów związanych dwiema gumkami. Wyjął go i zdjął gumki.

W zвитku było dziesięć tysiącdolarowych banknotów.

Mason odwrócił się do Freela.

- Dobra, Freel - powiedział. - Kto ci dał te pieniądze?
- Pani Tump - odpowiedział Freel.
- Tidings - poprawił go Mason. Freel opuścił wzrok i potrząsnął głową nerwowo.

Mason zwinął banknoty i założył gumkę.

- Dobra, Freel - powiedział. - Jeżeli będziesz zachowywał się w ten sposób, zabiorę pieniądze i oddam policji.

Freel polizał wargi.

- Czego pan chce? - spytał.
- Prawdy - odpowiedział adwokat.
- I wtedy odda mi pan pieniądze?
- Tak.
- Dostałem je od Tidingsa - powiedział Freel.
- Dalej.

- Oszukiwałem panią Tump - rzekł Freel. - Miał pan rację. Może nawet posunąłem się do szantażu. Musiałem z czegoś żyć od czasu, kiedy zwolnili mnie z sierocińca. Jeżeli nawet wzięłem pieniądze od kilku, osób, zrobiłem to tylko dlatego, że nie miałem wyjścia. Nigdy nie udało mi się wydobyć dużo, tylko trochę tu i tam. Musiałem być ostrożny, bo mogłem działać tylko w przypadkach, kiedy nie mieli odwagi zawiadomić policji. Gdyby sprawy wyszły na jaw, spowodowałyby to czyjeś nieszczęście. Czasem wzięłem pieniądze od ojca dziecka, czasem od ludzi, którzy je adoptowali i nie chcieli, żeby o tym wiedziało.

Freel ciągnął płaczliwym głosem:

- Nie żądałem dużych pieniędzy, panie Mason, tylko tyle, żeby przeżyć. Musiałem z czegoś żyć.

- Dalej - rzekł Mason - opowiedz mi o Tidingsie.

- Poszedłem do niego i powiedziałem mu, co wiem o Byrl Gailord.

- I co on zrobił?

- Wyśmiał mnie i wyrzucił za drzwi.

- I co potem?

- Wtedy, zupełnie niespodziewanie odnalazła mnie pani Tump. Zaproponowała mi tysiąc gotówką i piętnaście tysięcy później, jeżeli poświadczę jej historię o adopcji i rosyjskim pochodzeniu dziewczynki... To wszystko jest wyssane z palca. Dziewczynka była nieślubnym dzieckiem jej córki, która wyszła za mąż za bankiera z Des Moines. Dostałby szalu, gdyby się dowiedział... Ale pani Tump zasadza się na grubszą zwierzynę. Byrl obraca się w towarzystwie i pani Tump napiera na jej małżeństwo z tym Reegerem.

- I wtedy pojawił się Tidings?

- Tak.

- Czego chciał?

- Chciał, żebym mu obiecał, że opowiem całą prawdę, kiedy mnie o to poprosi. To wszystko.

- I co zrobiłeś?

- Próbowałem chronić panią Tump. Powiedziałem mu, że nie mogę tego zrobić. Wyśmiał mnie i powiedział, że ma na mnie tyle, iż mogą mnie skazać za krzywoprzysięstwo, a potem zaproponował mi dziesięć tysięcy dolarów... Nic nie mogłem na to poradzić. Musiałem wziąć pieniądze. I tak musiałbym zrobić, co mi każe, lecz nie dostałabym za to ani centa. Rozumie pan, miał mnie... Tak jak każdy, komu chciałoby się pójść do sądu. Wystarczyłoby zbadać kilka ostatnich lat mojego życia. Dobrze o tym wiem.

- Zabiłeś Tidingsa? - spytał Mason.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Tidings miał coś na ciebie i był twardym człowiekiem. Może za bardzo cię przycisnął?

- Nie - wyszeptał Freel bezbarwnym głosem - nie zabiłem go. Nigdy nikogo nie zabiłem.

Mason rzucił mu pieniądze.

- Dobra, Freel - powiedział - weź to. Idziemy, Paul. Freel patrzył, jak wychodzą na korytarz, po czym rzucił się do drzwi i przekręcił zamek.

- Postaw człowieka, niech go obserwuje - powiedział Mason do Drake'a.

- Pryśnie - powiedział Drake.

- Chcę, żeby prysnął - odparł adwokat - i chcę wiedzieć, dokąd. Drake wszedł do apteki na rogu i zadzwonił do biura. Kiedy wyszedł, kiwnął głową do Masona.

- Detektyw będzie tu za dziesięć minut.

- A teraz opowiedz mi o Pelthamie - poprosił prawnik, kiedy wsiedli do samochodu.

- Co?

- Wynajmował apartament?

- Tak.

- Rozumiem, że był bardzo ostrożny.

- Bardzo.

- Skryty.

- Jeszcze jak.

- Czy w hotelu jest garaż?

- Tak, w podziemiu. Zatrudniają człowieka, który zajmuje się samochodami.

- Czy Peltham wyjechał samochodem?

- Nie, samochód jest w garażu.

- Masz numer rejestracyjny?

- Tak. Jest w raporcie, który posłaliśmy do kancelarii.

- Numer apartamentu i tak dalej?

- Tak.

- Czy policja przeszukała apartament?

- Tak, bardzo dokładnie.

- Nie wiesz, czy nadal go obserwują?

- Nie wiem, ale przypuszczam, że tak.

- To trochę skomplikuje sytuację - powiedział Mason.

- Perry, byłbym ci cholernie wdzięczny - rzucił nagle Drake - gdybyś mi już nie mówił, co masz zamiar zrobić. Nie podoba mi się to.

Mason rozsiadł się w fotelu.

- Mnie też nie - powiedział.

## ***Rozdział 8***

Mason wysiadł beztrąsko z taksówki przed hotelem Giltmont Arms Apartment. Miał na sobie nisko osunięty, czarny filcowy kapelusz, palto i rękawiczki. Odźwierny w liberii wziął od kierowcy dwie spracowane walizki oklejone nalepkami hoteli z kilkunastu krajów.

Mason zapłacił za kurs, dodając hojny napiwek, i wszedł do hotelu za odźwiernym.

Mocno zbudowany mężczyzna w butach o kwadratowych noskach na grubej gumowej podeszwie podniósł wzrok znad gazety. Obrzucił Masona szybkim, uważnym spojrzeniem i powrócił do lektury.

Adwokat odezwał się do recepcjonisty:

- Być może zostaną tutaj przez dwa miesiące. Moja siostrzenica podstawia mi swój samochód i potrzebuję miejsce w garażu. Nie chcę pokoju zbyt wysoko i zbyt nisko. Zadowolę mnie coś mniej więcej na dziesiątym piętrze. Jestem przygotowany nawet na dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Recepcjonista kiwnął głową.

- Zdaje się, że mamy coś właśnie dla pana, panie... eee...?

- Perry - rzekł adwokat.

- Tak, panie Perry. Boy pokaże panu apartament - kiwnął głową boyowi. - Pokaż panu Perry'emu numer 1042.

Mason poszedł za boyem do windy.

Apartament numer 1042 miał trzy dobrze wyposażone pokoje z oknami wychodzącymi na dwie strony. Mason oznajmił, że jest usatysfakcjonowany, i kazał przynieść walizki. Kiedy się rozpakował, zadzwonił do recepcji.

- Mówiłem, że moja siostrzenica podstawia mi swój samochód. Proszę mnie zawiadomić, kiedy przyjedzie. Wtedy zjadę i ustalimy, gdzie go postawić.

- To nie będzie konieczne, panie Perry - powiedział recepcjonista. - Wydam odpowiednie polecenia do garażu i...

- Nie, dziękuję - przerwał mu stanowczo Mason. - Chcę mieć pewność, że samochód zostanie zaparkowany gdzieś, gdzie będzie do dyspozycji o różnych niezwykłych porach. Sam porozmawiam z pracownikiem garażu. Z doświadczenia wiem, że drobny napiwek jest czasem bardzo skuteczny.

- Oczywiście, panie Perry - odrzekł recepcjonista uprzejmie. - Zawiadomię pana, gdy tylko przyjedzie pańska siostrzenica.

Mason odłożył słuchawkę, otworzył jedną z walizek, wyjął pęk kluczy i porównał je z kluczem z recepcji. Wybrał trzy o podobnym kształcie i wypróbował je na drzwiach do własnego apartamentu.

Drugi klucz obrócił się w zamku gładko i bez oporu. Mason oddzielił go od innych i włożył do kieszeni. Cicho zamknął za sobą drzwi i poszedł wzdłuż korytarza do drzwi oznaczonych numerem 1029. Był to apartament Pelthama i Mason pewnym ruchem

zdradzającym całkowite opanowanie włożył klucz do zamka. Zamek szczęknął i Mason wszedł do środka.

Nie włączył światła, lecz wyjął z kieszeni miniaturową latarkę mniejszą niż jego mały palec. Oświetlając sobie drogę, podszedł do szafy.

Odnalazł ciemne palto i upewnił się, że nazwisko krawca i inicjały „R. P.” są widoczne na metce w środku wewnętrznej kieszeni.

Zwinął palto, włożył je pod ramię, zamknął drzwi szafy, nie zostawiając odcisków palców dzięki rękawiczkom na dłoniach, i wyszedł.

Dwie minuty później, bezpieczny w swoim apartamencie, zadzwonił do Delii, czekającej w aptece.

- W porządku - powiedział.

- Wszystko gra? - spytała.

- Jak w zegarku.

- Jadę.

Mason odłożył słuchawkę i czekał. Po kilku minutach zadzwonił telefon i odezwał się recepcjonista:

- Przyjechała pańska siostrzenica, panie Perry.

Kiedy Mason wysiadł z windy, policjant w holu wciąż czytał gazetę. Spojrzał na Masona pobieżnie.

- Garaż jest za rogiem po prawej, panie Perry - powiedział recepcjonista.

- Dziękuję - odparł Mason.

Della Street włożyła rękę pod ramię Masona. Wyglądała wesoło i elegancko w sportowym ubraniu i w zalotnie założonym kapelusiku.

- Cześć, wujku - powiedziała.

- Jak się masz, kochanie? Samochód stał przy krawężniku.

- Odczepiłaś ten kabel? - spytał Mason.

- Aha.

- Dobrze - rzekł Mason - poczekaj tu.

Poszedł szybko za róg, skręcił w prawo i zszedł podjazdem prowadzącym do podziemnego garażu.

Pracownik garażu siedział w samochodzie, słuchając radia. Kiedy zobaczył Masona, w pośpiechu je wyłączył i udawał, że właśnie parkuje samochód.

Mason poczekał, aż skończy, i znacząco wyjął z kieszeni portfel.

- Nazywam się Perry - rzekł. Człowiek kiwnął głową.

- Właśnie wynająłem apartament numer 1042 - powiedział adwokat. - Moja siostrzenica była tak uprzejma, że pożyczyła mi swój samochód na czas mojego pobytu. Z jakiegoś powodu samochód odmówił posłuszeństwa. Podjechała nim do wejścia bez problemów i wyłączyła silnik, a teraz nie można go włączyć. Czy mógłby pan uruchomić samochód i przyprowadzić do garażu?

- Jasne - odparł pracownik. - Zalała gaźnik. Kobiety zawsze to robią. Pójdę i sprowadzę go tu.

Mason musiał przesunąć dwa samochody, zanim wyprowadził samochód Pelthama na ulicę.

Pracownik garażu wciąż walczył z opornym samochodem, kiedy Mason przemknął gładko przez skrzyżowanie. Spojrzał do tyłu i zobaczył, że Della wystawiła rękę przez okno, pokazując mu, że może jechać.

Mason przejechał kilka przecznic, zatrzymał się przy aptece i zadzwonił do klubu doktora Willmonta.

- Dobrze, doktorze - powiedział - jestem gotów do doświadczenia.

- Kiedy chcesz ją mieć?

- Jak najszybciej.

- Za pół godziny w szpitalu Hastings Memorial - powiedział doktor Willmont.

- Dobrze. Wlej ją do pojemnika i zostaw w recepcji.

- Zostawię ją w termosie - odparł doktor Willmont. - Oddaj go, kiedy tylko skończysz doświadczenie.

- Dobrze - odpowiedział adwokat. - Jutro. Jesteś pewien, że będziesz gotowy za pół godziny?

- Tak. Wszystko jest przygotowane. Dawca jest gotowy, a mój asystent czeka na polecenie.

- Dobrze - odpowiedział Mason i odłożył słuchawkę. Adwokat podjechał samochodem Pelthama w odludne miejsce.

Zatrzymał się, wyłączył silnik i rozłożył palto Pelthama na kępie krzaków. Z kieszeni wyjął rewolwer kalibru trzydzieści osiem, przyłożył broń tak blisko palta, żeby zostawić ślady prochu na materiale, i strzelił w lewą część klatki piersiowej.

Mason włożył rewolwer do kieszeni, wrzucił palto do samochodu i pojechał do szpitala. Odebrał termos w krwią i pojechał dokładnie w to samo miejsce, gdzie policja odnalazła samochód Tidingsa.

Polał palto krwią w miejscu, gdzie była dziura po kuli, na zewnątrz i wewnątrz. Rozmazał krew na siedzeniu i na podłodze, i zostawił kilka kropli na kierownicy. Wylał smużkę krwi po wewnętrznej stronie palta, tak aby powstała kałuża na siedzeniu i na podłodze.

Kiedy zużył cały zapas krwi, krytycznie przyjrzał się rezultatom i zadowolony kiwnął głową.

Z termosem w ręku ruszył szybkim krokiem na północ. Po przejściu dwóch przecznic dojrzał w oddali zbliżające się światła. Della Street zatrzymała samochód przy krawężniku.

- W porządku, szefie? - spytała.

- Bez najmniejszego problemu - odpowiedział.

- Co z tego wyniknie?

- Wykurzy kogoś z nory - stwierdził Mason, zapalając papierosa i siadając wygodnie w fotelu.

Piętnaście minut później adwokat wysłał telegram zaadresowany do panny Adelle Hastings na 906 Cleveland Square następującej treści:

BARDZO WAŻNE, CZY P. SPRZECIWIA SIĘ UNIEWAŻNIENIU SPRZEDAŻY AKCJI WESTERN PROSPECTING POWIERNIKOWI FUNDUSZU GAILORD. PROSZĘ POWIADOMIĆ MNIE NATYCHMIAST DEPEŚZĄ DO MOJEJ KANCELARII. M.

### ***Rozdział 9***

Sekretarz Tidingsa, Carl Mattern, otworzył drzwi mieszkania w odpowiedzi na stukanie Masona i przyjrzał mu się uważnie charakterystycznym, sowim wzrokiem.

- Dobry wieczór, panie Mason.

- Chcę wyjaśnić pewien drobiazg, panie Mattern - rzekł Mason. - Pomyślałem, że może mi pan pomóc.

- Oczywiście. Proszę wejść.

- Dziękuję.

Mason wszedł do skromnie urządzonego mieszkania. Mattern wskazał mu wygodny fotel i adwokat opadł na siedzenie.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytał Mattern.

- Nie tyle dla mnie - odpowiedział Mason - ile dla siebie.

- Nie rozumiem.

- Nie chcę wymieniać nazwisk - rzekł Mason - ale słyszałem, że kiedy wyszedł pan z biura maklerskiego po sfinalizowaniu sprzedaży akcji i zdał relację Tidingsowi, wybuchła

między wami kłótnia. Tidings oskarżył pana o to, że ma pan w transakcji osobisty interes, a kiedy pokazał panu dowody, zastrzeżił go pan.

- To absurd - rzekł Mattern. Mason kiwnął głową zyczliwie.

- Pomyślałem, że powiem panu o tym - stwierdził - żeby mógł pan to wyjaśnić.

- Po pierwsze - powiedział Mattern - mogę zdać relację z każdej minuty od chwili, kiedy wyszedłem z biura maklerskiego.

- Świetnie - powiedział Mason. - Czy może mi pan opisać, co pan robił?

Mattern wyjął z kieszeni notatnik.

- Oczywiście - odparł. - Kiedy zrozumiałem, że będę musiał pamiętać, co się wydarzyło tego dnia, pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli to zapiszę.

- Dobry pomysł - powiedział adwokat.

- Wyszedłem z biura maklerskiego o jedenastej osiem - zaczął Mattern. - Specjalnie zapamiętałem czas, kiedy sfinalizowaliśmy transakcję. Wróciłem do biura i pan Tidings zadzwonił do mnie około południa. Powiedziałem mu, że transakcja została przeprowadzona pomyślnie. Powiedziałem mu też, że pani Tump próbowała się z nim zobaczyć. Potem zadzwoniłem do znajomej pracującej w biurze w pobliżu i zaprosiłem ją na lunch. Zjechaliśmy windą pięć po dwunastej i wróciliśmy za pięć pierwsza.

- Rozumiem, że będzie ona w stanie potwierdzić nie tylko lunch, lecz również czas - powiedział Mason.

- Oczywiście. W jej biurze obowiązuje dokładny rozkład dnia. Przerwa na lunch trwa od dwunastej do pierwszej i musi być z powrotem przy biurku punktualnie o pierwszej.

- Rozumiem - powiedział prawnik. - I co było potem?

- Potem - kontynuował Mattern - wróciłem do biura pana Tidingsa. Miałem parę spraw do omówienia z administratorem budynku i zadzwoniłem do jego sekretarki, prosząc o spotkanie możliwie jak najbliżej pierwszej trzydzieści.

- Umówił się pan?

- Tak, o pierwszej dwadzieścia pięć. Rozmawiałem z nim przez piętnaście minut. Powiedziałem sekretarce, że nie zajmę mu więcej czasu niż kwadrans, i pamiętam, jak spojrzałem na zegarek i, wychodząc, powiedziałem jej, że trwało to dokładnie piętnaście minut.

- Co potem? - spytał Mason.

- Potem - odparł Mattern - zjechałem na dół i poszedłem do jubilera obejrzeć zegarki. Pracuje tam mój znajomy i oglądałem zegarki przez prawie pół godziny.

- Będzie to pamiętał?



- Ależ tak.

- I potwierdzi czas?

- Oczywiście - roześmiał się Mattern - bo rozmawialiśmy o tym, jak dokładnie chodzą zegarki. Założyłem się z nim, że po pół godzinie różnica między moim zegarkiem a jego nie będzie większa niż jedna sekunda. Po pół godzinie sprawdziliśmy to.

- To daje nam drugą trzydzieści - powiedział Mason.

- Zgadza się

- Co pan robił po drugiej trzydzieści?

- Musiałem omówić parę spraw z księgowym, który zajmuje się podatkiem dochodowym pana Tidingsa. Umówiłem się z nim w biurze za piętnaście trzecia i siedzieliśmy razem do piątej.

- A po piątej? - spytał Mason.

- Umówiłem się z pewną damą o piątej dwadzieścia. Zjedliśmy obiad i poszliśmy do kina.

- Z tą samą damą, którą zaprosił pan na lunch?

- Nie, z inną.

- Dlaczego właśnie o piątej dwadzieścia?

- No, cóż - powiedział Mattern - po prostu... tak się umówiliśmy, to wszystko.

- Nie zbyt wcześnie, jak na obiad?

- Być może, ale chciałem obejrzeć pierwszy film seansu.

- Czy ta młoda dama pracuje?

- Nie.

- Wróćmy do wtorkowego poranka - zaproponował Mason.

- Byłem w biurze o dziewiątej - powiedział Mattern. - Pan Tidings przyszedł około dziewiątej piętnaście. Załatwiliśmy korespondencję do dziesiątej trzydzieści, potem omówiliśmy szczegóły transakcji z Western Prospecting, a potem pan zadzwonił. Wtedy Tidings zaczął wyrzekać na intrygi pani Tump i rozmawialiśmy o tym kilka minut. Potem Tidings wyszedł, a ja poszedłem sfinalizować transakcję z akcjami Western Prospecting.

- Widział pan kogoś oprócz Tidingsa we wtorek rano? - spytał Mason.

- Maklerów, a potem panią Tump tuż po jedenastej.

- A przedtem?

Mattern zamyślił się na chwilę, po czym powoli potrząsnął głową.

- Nie - powiedział - nikt chyba nie przyszedł do biura.

- Potrafi pan szczegółowo opisać, co pan robił po dwunastej - stwierdził Mason.

- Tak. Jeżeli jest jakaś luka, za każdym razem trwa mniej niż dwadzieścia minut. Jest to fizycznie niemożliwe, żeby dotrzeć do domu, w którym znaleziono ciało, i wrócić do centrum w ciągu dwudziestu minut.

- To dosyć znamienne, nie sądzisz, Carl? - rzekł Mason.

- Nie rozumiem - odrzekł zaskoczony Mattern.

- Nie masz alibi na jedenastą we wtorek rano, ale już potem jesteś kryty w każdym momencie. Ciekawe, że tak to ustawiłeś, iż za każdym razem twój świadek był świadomy tego, która godzina.

- Nie rozumiem, panie Mason. Adwokat pojrzał na niego przeciągle.

- Carl, chodzi mi o to, że chciałeś mieć alibi - powiedział Mason - że bardzo się starałeś, żeby móc się rozliczyć z każdej minuty... Na przykład twoja uwaga rzucona sekretarce administratora o tym, jak długo trwała rozmowa... Rozmowa o punktualności zegarków u jubilera... Spotkanie z księgowym i na koniec randka o piątej dwadzieścia.

- Ależ, nie... nie rozumiem, o czym pan mówi, panie Mason.

- Ależ oczywiście, że rozumiesz, Carl - odrzekł spokojnie adwokat. - Na pewno wiedziałeś, że Tidings nie żyje, kiedy przyszedłeś do biura maklerskiego.

Na długą chwilę w mieszkaniu zapadła pełna napięcia cisza. Słysząc było tykanie taniego budzika stojącego na szafce. W szeroko otwartych oczach Matterna, ukrytych za okularami w ciemnych oprawkach, malowało się zakłopotanie.

- Carl, nie sądzę, że to ty go zabiłeś - odezwał się Mason - ale wiem na pewno, że miałeś interes w tej transakcji. Wiedziałeś, że nie żyje, zanim poszedłeś do biura maklerskiego, i wiedziałeś, że musisz zrobić to tak, żeby wyglądało, iż Tidings żyje w chwili sfinalizowania transakcji.

Byłeś na tyle przenikliwy, żeby wiedzieć, że jeżeli uda ci się stworzyć wrażenie, iż Tidings żyje w południe we wtorek, to władze będą musiały ustalić czas zgonu na tuż po dwunastą. Wobec tego zapewniłeś sobie alibi na popołudnie.

- Panie Mason, zapewniam pana, iż niczego takiego nie uczyniłem. Ja...

- Nie pogrążaj się - ostrzegł go adwokat.

- Nie rozumiem.

- Po prostu - rzucił Mason, rozpięając się wygodnie w fotelu, zakładając nogę na nogę i zapalając papierosa. - Bywam wredny, Carl.

- Tak słyszałem.

- Używam wszelkich sposobów, żeby zniszczyć przeciwnika

- powiedział prawnik. - Biję poniżej pasa.

Mattern kiwnął głową.

- Reprezentuję kogoś, kto będzie oskarżony o zabójstwo Alberta Tidingsa - wyjaśnił adwokat.

- I wrobi pan mnie, żeby wyciągnąć tę osobę? Mason przyłożył zapalną do papierosa, zdmuchnął płomień i uśmiechnął się przyjacielsko do Matterna.

- Zgadza się - rzekł.

- To znaczy, wrobiłby pan niewinnego człowieka, żeby...

- Chwileczkę, Carl - przerwał mu Mason, powstrzymując go podniesioną dłonią. - Nie mieszajmy w to niewinnych ludzi.

- Ależ ja jestem niewinny.

- Nie ja o tym decyduję - zastrzegł adwokat. - To zadanie dla ławy przysięgłych.

- Przecież nie ma pan ani jednego powodu, żeby uważać, że to ja go zabiłem.

- Szczerze mówiąc, Carl - odparł Mason - nie sądzę, że ty to zrobiłeś.

- Dlaczego więc oskarża mnie pan o to?

- O nic cię nie oskarżam - odpowiedział prawnik. - Mówię ci tylko, że we wtorek w południe wiedziałeś, iż Tidings nie żyje, że ukryłeś ten fakt, a potem zacząłeś tworzyć sobie alibi. Jednakże zobaczysz, że ława przysięgłych nie jest aż tak wspaniałomyślna jak ja.

- Pan zwariował!

- Chcę wierzyć, że to nie ty jesteś mordercą - powiedział Mason

- i że tylko sprytnie manipulowałeś sytuacją tak, żeby sfinalizować transakcję. Kiedy odkryłeś, że Tidings nie żyje, zrozumiałeś, że musisz ukryć ten fakt do chwili jej przeprowadzenia. Niestety, Carl, przeoczyłeś to, że skoro zacząłeś manipulować faktami, ława dojdzie do wniosku, że jesteś mordercą.

Mattern zamrugał gwałtownie oczami.

- Niemożliwe.

- Ależ tak, jak najbardziej możliwe, Carl. Załóżmy, na przykład, że mogłeś podejrzewać, iż Tidings będzie w tamtym domu we wtorek rano. Załóżmy, że pojechałeś tam po instrukcje, zabierając teczkę z pocztą i dokumentami, i załóżmy, że znalazłeś martwego Tidingsa leżącego na łóżku. Wymknąłeś się niepostrzeżenie. Wiedziałeś, że wiadomość o jego śmierci uniemożliwi sprzedaż akcji, więc postanowiłeś spowodować, żeby wyglądało na to, iż zmarł tuż po dwunastej w południe. Miałeś szczęście, bo mój telefon dodał ci wiarygodności. Nigdy przedtem nie słyszałem Alberta Tidingsa. Naśladowując jego głos, spowodowałeś, że byłem przekonany, iż to właśnie z nim rozmawiam.

Jesteś bardzo sprytny, Mattern, ale uwierz mi, że znam sposób myślenia przysięgłych. Mówię ci szczerze i otwarcie, że ława prawdopodobnie uznałaby cię winnym morderstwa Tidingsa na podstawie samych tylko dowodów poszlakowych, gdyby te fakty wyszły na jaw. Przysięgli uznaliby, że zabiłeś go we wtorek rano... a to zbiegłoby się z ustaleniami poczynionymi w czasie sekcji.

Mason zaczął przyglądać się dymowi szybującemu w górę z papierosa, jakby zupełnie zapomniał o obecności Matterna.

- Tego nie można udowodnić - odezwał się Mattern po kilku sekundach.

Mason uśmiechnął się.

- Ależ tak, można - rzekł. - Ja mogę.

- Pan?

- Tak.

- Jak?

Mason uśmiechnął się i powiedział:

- Nie chcę ujawniać wszystkich swoich kart, Mattern, ale pamiętaj, że byłeś zbyt chciwy i za bardzo się pośpieszyłeś. Wiedząc, że będzie można zakwestionować sprzedaż akcji, za bardzo ci zależało, żeby dostać swoją działkę od Bolusa. Dziwny facet, ten Bolus. Dostyc egoistyczny, prawda? Gdyby został oskarżony o współudział w morderstwie, poruszyłby niebo i ziemię, żeby pokazać, że był twoim współnikiem tylko w tym przekręcie z akcjami i że to ty jesteś odpowiedzialny za śmierć Tidingsa.

Mattern poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Chciałem ci tylko pokazać, na czym stoję, Mattern - stwierdził Mason - to wszystko. Chcę grać w otwarte karty.

- Czego pan chce ode mnie? - spytał Mattern.

- Niczego - odpowiedział trochę zdziwiony Mason. - Zupełnie nic. Chcę tylko, żebyś wiedział, że gdy nadejdzie czas obrony mojego klienta, będę w stanie zbudować mocną sprawę przeciwko tobie.

Mattern zaśmiał się i rzekł:

- Nie rozumiem, o co panu chodzi, panie Mason. Mówiąc mi to teraz, zdaje się pan na moją łaskę. A jeżeli powtórzę tę rozmowę przed ławą przysięgłych?

- Nie kłopotz się. Sam to zrobię - odparł Mason. - Pamiętaj, Mattern, wpadłem, żeby powiedzieć ci, iż mam podstawy do podejrzeń, że wiedziałeś o śmierci Tidingsa we worek rano, zanim sfinalizowano sprzedaż akcji. Poza tym chciałem usłyszeć twój głos, żeby przekonać się, że to z tobą rozmawiałem przez telefon we wtorek rano. Teraz wiem.

- Ława nie potraktowałaby pańskich zeznań bardzo poważnie.  
- Być może - odpowiedział Mason. - Twoje słowo przeciwko mojemu.  
- A pan chce ocalić głowę swego klienta - powiedział Mattern.  
- Tak jak ty swoją - przypomniał mu Mason.  
- Moja jest bezpieczna.  
- Nie zapominaj też - kontynuował adwokat - że jednym z powodów tej wizyty była chęć zorientowania się, czy byłeś finansowo zainteresowany sprzedażą akcji Western Prospecting Company.

- A ja zapewniłem pana, że nie - odparł Mattern.

Mason wstał, przeciągnął się, ziewnął i spytał mimochodem:

- Znasz pułkownika Gillilanda?

- Nie - odparł Mattern.

- Dowodzi lokalnym wydziałem dochodzeń w sprawie oszustw podatkowych - wyjaśnił Mason. - Czarujący facet. Pewnie już niedługo się poznacie.

W oczach Matterna pojawił się lęk.

- Mój dobry znajomy - ciągnął adwokat. - Wiesz, rząd ma taki układ. Jeżeli ktoś im da znać o oszustwie podatkowym, rząd przeprowadza dochodzenie i jeśli dzięki tej informacji odzyskuje podatek, płaci nagrodę wysokości pewnej części odzyskanych pieniędzy. Wiesz, nie warto z nimi zadzierać. Mogą badać konta bankowe i księgi firm... No, cóż, będę leciał, Mattern.

- Zaraz, proszę poczekać - powiedział Mattern. - Chyba nie powie pan temu Gillilandowi o mnie?

- Dlaczego nie? - spytał Mason.

- Bo... bo w tych okolicznościach to nie byłoby w porządku.

- Dlaczego?

- Przecież jestem chętny do współpracy.

- Nie przejmuj się, Mattern - rzucił Mason. - Jeżeli nie dostałeś żadnej działki z tych pięćdziesięciu tysięcy, nic ci nie mogą zrobić. Oczywiście, Gilliland przejrzy księgi Western Prospecting Company, obejrzy uważnie zeznania podatkowe Bolusa, sprawdzi konta bankowe, popatrzy w twoje konto i zbada jeszcze kilka aspektów sprawy. To bardzo staranny facet.

- Wracaj, Mason. Siadaj - powiedział Mattern. Mason uniósł brwi.

- Po co?

- Złapałeś mnie - powiedział Mattern.

- Złapałem? - spytał Mason. - Nie rozumiem.

- Dostałem z tego dziesięć tysięcy - wykrztusił Mattern.

- Teraz lepiej - stwierdził adwokat, siadając w fotelu. - Mów.

- Nie ma o czym mówić - pokornie odezwał się Mattern. - Cały czas czułem się jak drań, ale potrzebowałem pieniędzy. Musiałem je mieć.

- Dlaczego? - spytał Mason.

- Ach, zawiodło mnie przecucie na wyścigach - powiedział Mattern.

- Czy to Bolus skontaktował się z tobą?

- Nie. Ja skontaktowałem się z nim. Wiedziałem coś o tych akcjach. Złożyłem mu propozycję. Miałem zainteresować nimi Tidingsa i dostać pięćdziesiąt procent... Zresztą to dobre akcje, panie Mason. Mają przyszłość.

- Dostałeś te pięćdziesiąt procent? - spytał Mason.

- Nie - odrzekł z goryczą Mattern. - Bolus to oszust, okantował mnie. Kiedy skontaktowałem ze sobą strony i doprowadziłem sprawę tak daleko, że nie mogłem się już wycofać, nie wzbudzając podejrzeń, Bolus oznajmił mi, że miał niespodziewane wydatki, musi odpalić coś w banku i że muszę się zadowolić dziesięcioma tysiącami zamiast dwudziestoma pięcioma.

- Dlaczego musiał odpalić działkę w banku? - spytał Mason.

- Jakiegoś bankowca, którego Tidings poprosił o raport na temat tych akcji, zaczęły swędzieć dłonie. Przynajmniej tak powiedział Bolus.

- Dobrze - ciągnął adwokat. - Dalej, powiedz mi, skąd wiedziałeś, że Tidings nie żyje.

- Mówię panu, że nie wiedziałem.

- Akurat - powiedział Mason.

- Naprawdę, panie Mason. Cała reszta wygląda tak, jak panu powiedziałem.

- Mattern, zaczynają mnie męczyć twoje kłamstwa. Wiesz, co zrobię? Pójdę do prokuratora i dam mu cynk na ciebie.

- Nic pan na mnie nie ma - odparł Mattern.

- Nie? - spytał Mason, uśmiechając się zimno.

- Absolutnie nic.

- Po pierwsze - zaczął Mason - potrzebne ci było dziesięć tysięcy, bo źle wytypowałeś konie. Zgadza się?

- Tak. I co z tego? Wielu ludzi gra na wyścigach.

- Aha, ale żeby grać, potrzebne są pieniądze.

- No i co? Przecież miałem pieniądze.

- Potem jak narobiłeś strat - powiedział Mason. - Jestem pewien, że na początku grałeś za pieniądze, które wyciągnąłeś od Tidingsa i z funduszu powierniczego. Gdyby nie te dziesięć tysięcy, badanie ksiąg Tidingsa wydobyłoby to na jaw.

Jedno spojrzenie na przerażoną minę Matterna wystarczyło Masonowi za potwierdzenie jego oskarżenia.

- Tak więc sprzeniewierzyłeś pieniądze - powiedział. - Tidings wezwał cię we wtorek rano. Domyślił się i chciał cię wsadzić do więzienia. Wiedziałeś, że jeżeli uda ci się powstrzymać go na kilka godzin, transakcja zostanie zrealizowana i będziesz miał pieniądze, żeby uzupełnić straty. Pomyślałeś, że będziesz mógł tak namieszać w księgach, iż ukryjesz tamte defraudacje. Zdesperowany i wytrącony z równowagi, wyciągnąłeś broń. Tidings ruszył na ciebie i pociągnął za spust.

- To kłamstwo - krzyknął Mattern.

- Być może - rzucił Mason - ale nie przekonasz ławy przysięgłych.

- Żaden przysięgły mnie nie skaże za morderstwo. Nie ma cienia dowodu.

Mason uśmiechnął się.

- Dziękuję bardzo, Mattern. Dałeś mi bezcenną wskazówkę. Nie muszę się już martwić o mojego klienta. Przegrałeś. Do widzenia.

Mason znowu wstał z fotela.

- Niech pan posłucha - Mattern odezwał się zdesperowany. - Wszystko panu powiem. Powiem, jak było. Naprawdę nie zabiłem go. Kiedy go znalazłem, był już martwy od dłuższego czasu.

- Kiedy to było?

- Około ósmej trzydzieści we wtorek rano.

- Gdzie?

- Tam, gdzie leżał, dokładnie na tym łóżku, gdzie go znaleziono.

- Co się stało? - spytał Mason.

- Tidings chciał znaleźć coś na żonę. Powiedział mi, że zadaje się z jakimś mężczyzną, który musi pozostać w cieniu ze względu na to, co mogłoby się wydarzyć w czasie rozprawy rozwodowej. Tidings powiedział mi, że ma informacje o nim i że jedzie do niej, by wszystko ujawnić. Zostawił w biurze ważne papiery i obiecał, że będzie o siódmej trzydzieści rano, żeby je podpisać.

Kiedy o ósmej nie było go w biurze, włożyłem papiery do teczki i pojechałem do domu jego żony. Pomyślałem, że może się pogodzili. Szalał za nią, naprawdę. Drzwi nie były

zamknięte. Wszedłem. Na podłodze były plamy krwi. Poszedłem za nimi do sypialni... Pan wie, co tam zobaczyłem.

- Co zrobiłeś? - spytał Mason.

- Prysnałem stamtąd - powiedział Mattern. - Byłem przerażony. Zrozumiałem, że skoro nie żyje, sprawdzą jego księgi, odkryją defraudację i pójdę do więzienia. Gdyby tylko żył parę godzin dłużej, udałoby mi się... Wtedy pomyślałem, że minie trochę czasu, zanim ktoś odnajdzie ciało, i że może uda mi się sfinalizować tę transakcję. Wiedziałem, że czek bankowy został wystawiony na biuro maklerskie... Cóż, resztę pan zna.

- To ty rozmawiałeś ze mną przez telefon tego dnia?

- Tak. Kiedy pan zadzwonił i chciał rozmawiać z Tidingsem, nie wiedziałem, co robić. Nie chciałem powiedzieć, że nie ma go w biurze... I wtedy wpadłem na ten pomysł. Wiedziałem, że nie zna pan jego głosu. Mam mały talent do naśladowania ludzi. Kiedyś grałem w amatorskim teatrze.

- Dobrze, Mattern - powiedział Mason. - Wiesz, w co się wpakowałeś?

- W co?

- Prokurator rozerwie cię na strzępy.

- Ale ja jestem niewinny. Przecież pan mi wierzy. Mason przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Lepiej pomóż mi znaleźć mordercę, Mattern. To twoja jedyna szansa.

Pod wpływem emocji Mattern wyciągnął rękę.

- Pan jest w porządku, panie Mason - powiedział. - Zrobię to. Może pan na mnie liczyć we wszystkim.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

### ***Rozdział 10***

Kiedy Mason przyszedł do kancelarii w piątek rano, na biurku leżał telegram, a Della Street poinformowała go, że w sekretariacie pani Tump niecierpliwie oczekuje jego przyjścia.

Adwokat otworzył telegram podpisany przez Adelle Hastings i przeczytał:

SKONTAKTOWAŁAM SIĘ ZE WSPOMNIANĄ OSOBĄ. ROZWÓJ SYTUACJI NIE DAJE POWODU DO NIEPOKOJU. PROSZĘ DZIAŁAĆ. WSZYSTKO W PORZĄDKU.

Mason wcisnął telegram do kieszeni i zwrócił się do Delii:

- Dobrze. Zobaczmy, czego chce pani Tump, i pozbędziemy się jej.

Della wprowadziła panią Tump. Kiedy wpłynęła do kancelarii, spojrzała na Masona błyszczącymi, szarozielonymi oczami, pozbawionymi uśmiechu.



- Dzień dobry, panie Mason - powiedziała.
- Dzień dobry, pani Tump.
- Czego się pan dowiedział?
- Niewiele - przyznał adwokat - ale robię postępy.
- Panie Mason, a co z tymi akcjami za pięćdziesiąt tysięcy?
- Unieważnię tę transakcję - powiedział Mason.
- Czy te akcje mają jakąś wartość?

Mason wskazał jej fotel, wziął papierosa, poczęstował panią Tump, zapalił i rozpoczął:

- Akcje dostarczone do biura Loftus & Cale były prywatną własnością prezesa spółki. To najlepsza odpowiedź na pani pytanie. Unieważnię tę transakcję na tej podstawie, że Tidings był martwy, zanim dostarczono czek, którym za nie zapłacono.

Przyglądała mu się twardym wzrokiem błyszczących oczu.

- Potrafi pan to zrobić?
- Tak.
- W jaki sposób pan to udowodni?
- Po pierwsze - stwierdził Mason - udowodnię to, opierając się na zeznaniu lekarza, który przeprowadził sekcję. Taką przynajmniej mam nadzieję.

- Panie Mason, chcę z panem szczerze porozmawiać - powiedziała pani Tump.

- Proszę.

- Nie będę owijać w bawełnę.

- Niech więc będzie bez bawełny - rzekł Mason z uśmiechem.

- Dobrze, panie Mason - powiedziała. - Kiedy poprosiłam, żeby wziął pan sprawę Byrl, zaczął pan grać na czas.

Adwokat uniósł brwi w niemym pytaniu.

- Oczywiście, kiedy po raz pierwszy przyszyliśmy tutaj, nie mógł pan wiedzieć, że pan Tidings nie żyje.

- Zgadza się - potwierdził Mason.

- Jeżeli dobrze rozumiem, gdyby udało się panu udowodnić, że pan Tidings zmarł przed jedenastą rano we wtorek, pięćdziesiąt tysięcy wróci do funduszu Byrl.

- Zgadza się.

- Kto zapłaci te pieniądze?

- Pozwiemy biuro Loftus & Cale - powiedział Mason. - Będą musieli odebrać te pieniądze Bolusowi. Ponieważ ostrzegłem ich, podjęli kroki zmierzające do ich odzyskania.

- Bardzo sprytnie, panie Mason.

- Dziękuję.

- Czy pan reprezentuje Adelle Hastings?

- W jakim sensie, pani Tump? - spytał ostrożnie adwokat.

- W każdym.

- Adwokatowi nie wolno ujawniać spraw swoich klientów.

- Pan wie, o co mi chodzi, panie Mason - powiedziała pani Tump. - Gdyby oskarżono ją o zamordowanie Tidingsa, zostanie pan jej obrońcą?

Mason w zamyśleniu przyglądał się papierosowi.

- Trudno powiedzieć.

- W takim razie powiem tylko jedno i na tym skończę - stwierdziła pani Tump. - Osobiście uważam, że Adelle Hastings jest arogancką i nieprzyjemną snobką. Bardzo zaszkodziła Byrl i dlatego jej nie znoszę. Jednak wiem, że nie byłaby w stanie popełnić morderstwa. To muszę jej przyznać, mimo że jej nie lubię.

Załóżmy, że oskarżą ją o morderstwo. Potrzebowałyby jej alibi i dlatego musiałyby udowodnić, że Tidings zmarł po dwunastej w południe we wtorek. Gdyby pomógł jej pan to udowodnić, działałby pan wbrew interesom Byrl, bo chcemy wykazać, że Tidings zginął przed jedenastą... Rozumie mnie pan, panie Mason?

- Tak.

Pani Tump wstała.

- No, cóż! Chciałam znać pańskie stanowisko. Nigdy nie owijałam w bawełnę. Nie interesuje mnie, kogo pan reprezentuje, ale musimy ustalić jedną rzecz: Albert Tidings zginął, zanim sfinalizowano sprzedaż akcji... Do widzenia, panie Mason.

Mason spojrzał na Delię, która zamknęła drzwi za panią Tump.

- To byłoby tyle - powiedział. - Załóż płaszcz i kapelusz, Delio. Weź notatnik. Odwiedzimy kobietę, która ma drugą część banknotu o wartości dziesięciu tysięcy.

- Wiesz, kto to jest? - spytała zaskoczona Della.

- Teraz tak - ponurym tonem przyznał Mason. - Trzy dni za późno.

- Jak to odkryłeś?

- Ruszyłem głową - odrzekł adwokat - a powinienem był nią ruszyć o wiele wcześniej.

Chodźmy.

Pojechali samochodem Masona, skręcając na północ z głównej ulicy przecinającej miasto.

- Pani Tidings? - spytała Della Street, gdy samochód zaczął wspinać się krętą drogą.

Mason kiwnął głową.

- Przecież była w Reno. Wyjechała w poniedziałek. Nie mogła przyjść do kancelarii w poniedziałek w nocy.

- Tylko ona próbowała mieć alibi na poniedziałkową noc - powiedział Mason cierpliwie. - Wszyscy inni mają alibi na wtorkowe popołudnie.

- Więc? - spytała Della.

- Więc odpowiedź jest oczywista - rzekł Mason. - Tylko ona wiedziała, że zginął w poniedziałek w nocy. Nie mogła przewidzieć, że Mattem będzie bronił swoich dziesięciu tysięcy, utrzymując, że Tidings żył we wtorek rano.

- To wszystko, na czym możesz się oprzeć, szefie? - spytała Della.

- Wystarczy - stwierdził ponuro Mason. - Powiniennem być się domyślić w chwili, kiedy powiedziała, że wyjechała do Reno w poniedziałek w południe i że jechała całą noc.

- To ona jest kobietą w masce?

- Tak.

- Myślisz, że zaprzeczy?

- Teraz już nie - powiedział Mason. - Mam tylko nadzieję, że przyjedziemy tam, zanim Holcomb wszystkiego się domyśli.

- Wpadnie na to?

- Tak.

Jechali w milczeniu krętą drogą. Przytulny dom, w którym znaleziono ciało Tidingsa, błyszczał w słońcu czystą bielą, niczym nie zdradzając złowieszczej tajemnicy przerażającego morderstwa.

- Jesteśmy - rzekł Mason.

Otworzył drzwi, wysiadł i wraz z Delią ruszył krótkim odcinkiem cementowej ścieżki, rozciągającej się od ulicy do werandy. Mason nacisnął kciukiem przycisk dzwonka.

Pani Tidings, ubrana do wyjścia, prawie natychmiast otworzyła drzwi.

- Dzień dobry, panie Mason - powiedziała. - Tak myślałam, że to pan, kiedy zobaczyłam, jak wysiada pan z samochodu.

- Panna Street, pani Tidings - od niechcienia przedstawił je sobie Mason.

- Dzień dobry - powiedziała pani Tidings to Delii. - Proszę wejść.

Kiedy byli w środku, pani Tidings wskazała fotele.

- Papierosa? - spytała Delię, otwierając papierośnicę.

- Dziękuję - odparła Della, częstując się papierosem.

- Zapalę mojego - powiedział Mason, wyjmując papierośnicę z kieszeni.

- Strasznie jestem zabiegana - stwierdziła pani Tidings. - Państwo wiedzą, jak to jest. Dzisiaj po południu jest pogrzeb. Dopiero dzisiaj, bo biegli szukali śladów wskazujących na mordercę... Nie wie pan, czy coś znaleźli, panie Mason?

- Skoro mają wydać dzisiaj ciało, na pewno skończyli badania.

- Tak, domyślam się, ale nie wiem, co znaleźli.

- Nie powiedzieli pani?

- Ani słowa - odpowiedziała pani Tidings. - Oczywiście, jestem zdenerwowana. Byliśmy w separacji, ale to był dla mnie szok... Nienawidziłam go.

- Rozumiem pani sytuację, pani Tidings - powiedział Mason. - Aha, tak przy okazji, przyszedłem po drugi kawałek banknotu.

- Nie rozumiem, panie Mason. Adwokat spojrzał na zegarek.

- Kilka minut może oznaczać różnicę między dobrą obroną a wyrokiem za morderstwo z premedytacją. Skoro chce pani marnować czas na dyskusję, proszę bardzo. To pani pogrzeb... w sensie dosłownym.

- Wydaje się pan bardzo pewny tego, co pan mówi, panie Mason.

- Bo jestem. Kiedy pani i Peltham przyszliście do mojej kancelarii, zauważyłem dwie rzeczy. Po pierwsze, Peltham opracował bardzo dokładny plan, jak skontaktować się ze mną o dowolnej porze dnia i nocy, gdyby potrzebował prawnika. Po drugie, wiele rzeczy w czasie państwa wizyty wskazywało na pośpiech i brak przygotowania. Na przykład to, że Peltham podał mi fikcyjne nazwisko, którego nie ma w książce telefonicznej. No i ta maska.

- Maska? - powiedziała, unikając jego spojrzenia.

- Czarna maska ze srebrną lamówką - przypomniał Mason - element stroju na bal maskowy, zachowana na pamiątkę.

- Nie rozumiem, co z tego wynika - powiedziała.

- To proste - powiedział Mason. - Peltham poczynił dokładne przygotowania na wypadek, gdyby musiał się ze mną zobaczyć. Coś się wydarzyło i musiał działać szybko. Postanowił panią chronić, ukrywając pani tożsamość nawet przede mną. To oznacza maskę. Nikt nie nosi przy sobie maski, nie wiszą też na drzewach, ale pani ją miała, pewnie upchniętą w jakiejś szufladzie. To oznacza, że to, co zmusiło kobietę, którą Peltham chroni, do spotkania ze mną, wydarzyło się u niej w domu lub w pobliżu. Powinienem być się tego domyślić w chwili, gdy znalazłem tu ciało Tidingsa.

Patrzyła na niego w milczeniu przez chwilę, przyglądając się kamiennym rysom jego twarzy. Bez słowa otworzyła torebkę, wyjęła małą kopertę, rozerwała ją, wyjęła drugi kawałek banknotu i wręczyła go Masonowi.

Na twarzy Delii pojawiło się zdumienie, lecz Mason nawet nie mrugnął powieką.

- Kiedy dowiedziała się pani, że on nie żyje?

- Jak to? Kiedy wróciłam z Reno.

Mason nie odezwał się, lecz znowu spojrzął na zegarek, wymownie przypominając jej, że czas upływa bezpowrotnie.

- Naprawdę, panie Mason - powiedziała. - Mówię prawdę.

- Kocha pani Pelthama. On chce panią chronić. Przyszliście do mojej kancelarii tuż po północy. Zrobiliście wszystko co w waszej mocy, żeby ukryć przede mną pani tożsamość i charakter sprawy, której miałem się podjąć. Później twierdziła pani, że wyjechała do Reno późnym popołudniem w poniedziałek, i chyba rzeczywiście była tam pani we wtorek rano.

Rozważając te wszystkie okoliczności w odpowiednim kontekście, oznacza to, że ciało Alberta Tidingsa leżało tutaj, w tej sypialni, w chwili gdy państwo byli u mnie w kancelarii... Tak więc czy to pani go zabiła, czy Peltham?

- Ani on, ani ja.

- Ale wiedzieliście, że nie żyje?

Zawahała się chwilę, po czym odezwała się prawie niedosłyszalnie:

- Tak.

- I to wy położyliście go na łóżku w sypialni? - Tak.

- Kto go zabił?

- Panie Mason, naprawdę nie wiem.

- Proszę powiedzieć mi wszystko, co pani wie.

- Będę z panem szczerą, panie Mason.

- Proszę - powiedział adwokat i dodał z naciskiem - przynajmniej tym razem.

- Chciałam rozwodu. Bardzo kocham Boba. Bob miał podstawy podejrzewać, że Albert mieszka w fundacji szpitala Hastingsa. Skontaktował się z Adelle Hastings, żeby to wyjaśnić. Poprosił ją, żeby zażądała sprawdzenia ksiąg. Gdyby w tych okolicznościach wyszedł na jaw mój związek z Bobem, spowodowałyby to bardzo poważne komplikacje. Rozumie pan?

- Rozumiem - odparł Mason bezbarwnym głosem.

Della wyjęła notatnik z torebki, lecz Mason zwrócił się do niej:

- Nie rób tego, Delio. Nie chcę, żeby pozostał żaden ślad po tej rozmowie... Proszę dalej, pani Tidings.

- Albert chciał, żebyśmy się pogodzili. Powiedziałam mu, że to niemożliwe. Byliśmy z Bobem w kinie i wracaliśmy do domu. W pobliżu ronda na końcu drogi zobaczyliśmy

samochód Alberta. Strasznie padało. Albert leżał na kierownicy. Był ranny i nieprzytomny. Zatrzymaliśmy się. Wysiedliśmy i w deszczu próbowaliśmy zobaczyć, co mu jest. Z trudem wyczuliśmy puls. Albert został postrzelony w klatkę piersiową. Niewiele mogliśmy zrobić w ograniczonej przestrzeni samochodu, więc powiedziałam Bobowi, że musi mi pomóc przenieść Alberta do domu, a potem zadzwonimy po lekarza i policję.

Razem wyciągnęliśmy go z samochodu i na wpół niosąc, zaciągnęliśmy go do domu. Położyliśmy go na łóżku i pobiegłam do telefonu. Właśnie miałam wykręcić numer, kiedy Bob zawołał do mnie: „Za późno, Nadine. Nie żyje”. Biegiem wróciłam do łóżka. Nie było wątpliwości. Przypuszczam, że ruszając go, spowodowaliśmy krwotok, zintensyfikowaliśmy go. W każdym razie umarł. Nie było tętna.

- Co państwo zrobili? - spytał Mason.

- Bob powiedział, że nie pozwolił mi w to wplątać, że zniknie i ukryje się, a to skieruje podejrzenia na niego. Ja miałam ukryć samochód w garażu i polecieć do Reno, gdzie mam znajomych. Potem miałam twierdzić, że pojechałam tam samochodem. Otwarte drzwi miały udowodnić, że włamał się tutaj pod moją nieobecność.

Omówiliśmy to i ustaliliśmy, że może minąć trochę czasu, zanim ktoś odkryje tu ciało, i że może będę mogła postarać się o sensowne alibi. Najlepiej byłoby, gdyby ustalono czas śmierci na jak najpóźniej. Na jego butach i na narzucie było błoto. Zrozumieliśmy, że może to pomóc w ustaleniu czasu zgonu, więc zdjęliśmy z niego buty i palto, wyciągnęliśmy spod niego poplamioną narzutę i zabraliśmy je.

- Co z nimi zrobiliście? - spytał Mason.

- Nie wiem. Bob je wziął. Powiedział, że się tym zajmie.

- Co było potem?

- Ja pojechałam samochodem Boba, a on Alberta. Chciał, żeby auto odkryto jak najdalej od domu. Porzuciliśmy je i zadzwoniliśmy do pana. Bob powiedział, że pan mnie najlepiej ochroni, ale podkreślił, że jeśli moje alibi zda egzamin, nie będę potrzebowała adwokata, i że jeżeli znajdą ciało Alberta za cztery czy pięć dni, nikt nie będzie w stanie określić, kiedy umarł. Powiedział, że przy odrobinie szczęścia, w ogóle nie będę w to wplątana.

Byliśmy bardzo ostrożni. Nikt nie miał pojęcia, że Bob i ja... że łączy nas uczucie.

- Przeoczyła pani jedną rzecz - powiedział Mason.

- Co takiego?

- Na granicy stanu, w okolicach Topaz Lake, jest punkt sanitarny. Sprawdzają wszystkie samochody, szczególnie te, które wjeżdżają do Kalifornii. Zapisują numery rejestracyjne... Poleciała pani do Reno?

- Tak.

- I schowała samochód?

- Tak.

- Gdzie?

- W małym garażu, gdzie czasem go trzymam.

- Znają tam panią?

Uśmiechnęła się.

- Niejako panią Tidings.

- Pod innym nazwiskiem?

- Tak.

- Pani Peltham?

- Nie, nie pani Peltham. Pani Hushman.

- A kim jest pan Hushman? - spytał Mason. Opuściła wzrok i odparła po chwili:

- Pan Peltham.

Dobiegł ich dźwięk samochodu szybko przejeżdżającego koło domu i pisk opon, jakby protestujących przeciw zbyt dużej prędkości, w jaką wprowadzono samochód na rondzie. Della Street wstała z fotela i podeszła do okna.

- Policja - powiedziała do Masona. Mason zmrużył oczy.

- Pani Tidings, nich mi pani obieca jedną rzecz. Proszę absolutnie nic nie mówić. Proszę nie odpowiadać na pytania.

- Ależ przecież nie sądzi pan chyba, że... Della odezwała się od okna:

- Sierżant Holcomb i jeszcze jeden policjant wysiadają z samochodu. Idą tu.

- Obieca mi to pani? - spytał Mason. - Tak.

- Proszę pamiętać, że pani życie zależy od tego, czy pani dotrzyma tej obietnicy.

- Ależ, panie Mason, nie mogą mi nic zrobić, bez względu na to, jak dostałam się do Reno. Byłam tam o piątej we wtorek rano, a z zeznań sekretarza Alberta wynika, że żył we wtorek w południe.

- Czy pani wiedziała, że Mattern to zrobi? - spytał Mason, kiedy rozległ się odgłos kroków na werandzie.

- Nie, oczywiście, że nie. Mieliśmy szczęście.

- Jest w tym jeden słaby punkt - powiedział Mason. - To nie jest prawda. Kiedy pójdzie pani do sądu, polegając na czymś, co nie jest prawdą, rozsypie się cała linia obrony. Nie prowadzę spraw w ten sposób. Najpierw dochodzę do prawdy, a potem opieram linię obrony na solidnych podstawach... Więc, jeżeli pani go zabiła, niech mi pani to powie.

- Nie zabiłam go.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał długo i natarczywie.

- Jeżeli pani kłamie - powiedział Mason - niech Bóg ma panią w opiece.

- Panie Mason, mówię samą prawdę. Przedtem kłamałam, ale teraz mówię prawdę.

Dzwonek nadal dzwonił. Do tego doszło rozkazujące stukanie w drzwi.

- Jeżeli pani go nie zabiła - spytał Mason - to kto?

- Naprawdę, panie Mason, nie mam najmniejszego pojęcia. To na pewno ktoś związany z funduszem powierniczym. Czasem wydawało mi się...

Drzwi zajęczały pod naciskiem ramion policjantów.

- Dobrze. Proszę ich wpuścić - powiedział Mason. Pani Tidings przeszła przez pokój i otworzyła drzwi.

Sierżant Holcomb wpadł do środka i popatrzył na Perry'ego Masona i Delię Street.

- Co wy tu robicie? - odezwał się głosem, w którym czaił się gniew.

- Rozmawiam z moją klientką - powiedział Mason.

- Skąd pan wiedział pan, że przyjadę? - spytał sierżant. Mason potrząsnął głową.

- Zaangażowała pana pani Tidings?

- Tak.

- W jakim celu?

- Żebym zajął się jej sprawami.

- Jakimi sprawami? Mason uśmiechnął się.

- Naprawdę, sierżancie. Adwokat nie ujawnia spraw swoich klientów.

Holcomb obrócił się gwałtownie w stronę pani Tidings.

- Dobrze, pani Tidings. Udzieli mi pani odpowiedzi na kilka pytań, tu i teraz. Wiemy, że nie pojechała pani samochodem do Reno. Kiedy pani tam była, pani samochód stał w garażu na East Central Avenue. Znają tam panią jako żonę Roberta Hushmana. Znają tam też pani rzekomego męża, pana Hushmana. Ludzie z garażu zidentyfikowali na fotografiach Roberta Pelthama jako Roberta Hushmana... No i co ma pani do powiedzenia na ten temat?

- Ja odpowiem na to pytanie - odezwał się Mason.

- Nie pana pytałem - powiedział sierżant. - Chcę usłyszeć jej odpowiedź.

- Nie mam nic do powiedzenia - rzekła pani Tidings. Mason kiwnął głową.



- Poinstruowałem panią Tidings, żeby nie odpowiadała na żadne pytania.

- Jeżeli nie odpowie na to pytanie - stwierdził sierżant - zabieramy ją na komendę. Pogada sobie z prokuratorem. Jeżeli wtedy nie wyjaśni pewnych faktów, zostanie oskarżona o morderstwo z premedytacją.

Mason starannie przydusił niedopałek papierosa.

- Proszę założyć kapelusz, pani Tidings - poradził.

### ***Rozdział 11***

Kiedy jechali samochodem z powrotem do kancelarii Masona, Della Street rzekła:

- Dlaczego nie nic powiedziałaś pani Tidings?

- O tym, że znaleziono płaszcz Pelthama w jego samochodzie?

- Tak.

- Niech to zrobi Holcomb - powiedział Mason.

- To będzie dla niej okropny szok, szefie... Może powinienesz być ją uprzedzić i powiedzieć, żeby się nie martwiła.

- Nie - odparł adwokat.

- Dlaczego?

- Początkowo chciałem zastawić pułapkę na Adelle Hastings. Chciałem wykurzyć Pelthama z kryjówki. Pomyślałem, że ktoś zacznie w końcu mówić, jeżeli się okaże, że Peltham nie żyje.

- Właśnie to może być niebezpieczne - stwierdziła Della. - Jeżeli pani Tidings pomyśli, że Peltham nie żyje, może coś powiedzieć.

- Niech mówi - powiedział Mason. - Skoro Peltham chowa się za jej spódnicą, czas, żeby się ujawnił.

- Myślisz, że się chowa?

- Nie wiem - powiedział Mason. - Posłuchaj. Wielu adwokatów prowadzi sprawy oparte na fałszywych zeznaniach. Czasem im się udaje, a czasem nie. Ja nie miałbym odwagi podjąć się takiego ryzyka. Prawda jest najpotężniejszą bronią i jeżeli prowadzi się praktykę tak jak my, jest jedyną bronią wystarczająco potężną.

Gdyby adwokat, który posuwa się tak daleko jak ja, nie mógł oprzeć się na prawdzie, zostałby pozbawiony uprawnień w ciągu miesiąca. Ta sprawa nie daje mi spokoju... Zbiła mnie z tropu. Nie wiem, co dokładnie się stało, a muszę to wiedzieć.

Domyślam się kilku rzeczy, ale to zbyt mało, żeby wykuć z tego wystarczająco potężną broń... Zresztą, nie ma sensu martwić się tym teraz. Jakoś to się ułoży. Pojedźmy zobaczyć się z Adelle Hastings.

Zastali ją w jej mieszkaniu. Poza pewną twardością rysów nie dostrzegli żadnych śladów wzburzenia.

Mason przyjrzał się jej dokładnie byстрым wzrokiem i zauważył nieruchomą twarz, za którą ukryła swoje emocje.

- Panna Street, moja sekretarka i panna Hastings - przedstawił je sobie Mason.

Adelle Hastings zareagowała grzeczną serdecznością, nie wychodząc jednak poza zasady dobrego wychowania.

- Proszę wejść - rzekła.

- Właściwie nie spodziewałem się zastać pani w domu. Domyślam się, że pani pracuje - powiedział Mason.

- Dziś mam wolne - odparła, nie wyjaśniając nic więcej. - Proszę siadać.

Kiedy usiedli, zwróciła się nagle do Perry'ego Masona, na chwilę zrzucając maskę. Jej oczy zalśniły.

- Dlaczego wysłał pan telegram? - spytała.

- Ponieważ potrzebowałem informacji - odpowiedział adwokat. Wskazała na poranną gazetę.

- Można by podejrzewać, że to pułapka - powiedziała.

- Pułapka? - spytał Mason, jakby nie mógł pojąć jej sposobu rozumowania.

Mocno zacisnęła usta.

- Skoro jednak pani o tym wspomniała - kontynuował Mason

- dosyć to dziwne, że udało się pani skontaktować z człowiekiem, który jest poważnie, jeżeli nie śmiertelnie, ranny, i przekazać mi wiadomość od niego.

Mrugnęła gwałtownie oczami, powstrzymując łzy.

- Czy może mi pani powiedzieć - spytał Mason - o której dokładnie skontaktowała się pani wczoraj z panem Pelthamem?

- Nie.

- Policja będzie chciała to wiedzieć - zaznaczył adwokat. - Obawiam się, że teraz musi pani podzielić się z nami swoją wiedzą.

- Czy... czy policja go znalazła? To znaczy ciało?

- Nie wiem - powiedział Mason - Policja nie zawsze pała do mnie przyjacielskim uczuciem. Muszę czerpać wiedzę z gazet, tak jak pani.

Splotła palce obu dłoni i wykręciła je nerwowo. Poza tym nie okazała żadnych emocji.

- Oczywiście, w interesie wszystkich leży, żeby odnaleziono ciało - powiedział Mason.

Nadal siedziała nieruchomo w milczeniu.

- Policja bywa uparta i czasem nieprzyjemna. Zakładam, że pani to rozumie - kontynuował Mason.

- Czy pan mi grozi? - spytała. Mason spojrzał jej w oczy.

- Tak - rzekł.

- Trudno mnie przestraszyć - odpowiedziała. Mason wyjął papierośnicę z kieszeni.

- Czy mogę zapalić? - spytał.

Przygryzła wargę, na chwilę ujawniając nerwowe napięcie, po czym uśmiechnęła się uprzejmie i odpowiedziała:

- Przepraszam, że nie poczęstowałam pana papierosem, panie Mason. Mam tu...

- Nie, dziękuję. Wolę własne. Czy poczęstuje się pani moim? Wzięła od niego papierosa, Della również. Mason podsunął im zapaloną zapałkę i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Czekam - stwierdził.

- Na co?

- Na pani pełne wyjaśnienia.

- Niczego nie będę wyjaśniać.

- To bardzo nierozsądne z pani strony.

Otworzyła usta, zawahała się i nagle zalała go potokiem słów.

- Czy zawsze musi pan zdominować ludzi, których pan spotyka? Nie może pan nikomu pozostawić choć cienia szacunku do samego siebie, cienia poczucia, że się działa z własnej woli? Moje pierwsze spotkanie z panem było tak upokarzającym doświadczeniem, że chciało mi się płakać, choć teraz... Cóż, nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz.

- Spójrzmy na fakty, panno Hastings - spokojnie odpowiedział Mason. - Pani kontakty z mężczyznami ograniczają się do sytuacji towarzyskich, kiedy to kobiety traktowane są z wyjątkową uprzejmością. Ja zajmuję się sprawami życia i śmierci. Nie mam czasu ani cierpliwości dla dobrych manier.

- Więc? - spytała.

- Więc - powiedział Mason - mam zamiar dowiedzieć się o pani kontaktach z Robertem Pelthamem: jak się umówiliście, jak odbiera pani od niego wiadomości i do jakiego stopnia ma pani wolną rękę.

- Skąd pan wie, że mam wolną rękę?

- Nie da się odbierać wiadomości od martwego człowieka - rzekł Mason.

- A więc myśli pan, że on nie żyje?

- Na to wskazywałyby dowody poszlakowe odkryte przez policję - odpowiedział adwokat.

- Wczoraj o dziewiątej miał się dobrze.

- Jest pani pewna?

- Tak.

- Rozmawiała pani z nim?

- Tak.

- Przez telefon?

- Nie mam zamiaru odpowiadać na to pytanie. Mason zwrócił się do Delii Street:

- Chyba będziesz musiała zadzwonić do sierżanta Holcomba z Wydziału Zabójstw i powiedzieć mu, że mamy świadka, który wie coś o Robercie Pelthamie.

- Nie może pan tego zrobić - powiedziała Adelle Hastings.

- Dlaczego?

- To nie byłoby w porządku. Pan Peltham pana zaangażował.

- Po to, żeby chronić kobietę, nie jego - powiedział Mason.

- Kim jest ta kobieta?

- Pan Peltham przedsięwziął pewne kroki, żeby ukryć przede mną jej tożsamość - odparł Mason.

- Teraz rozumiem, o co panu chodziło, kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, gdy pan sugerował, że mam coś panu dać.

- Czyżby? - rzekł Mason głosem, w którym kryło się tylko grzeczne zainteresowanie.

- Mam zadzwonić, szefie? - odezwała się Della Street.

- Tak - odpowiedział adwokat.

Della zwróciła się do Adelle Hastings z wyszukaną uprzejmością:

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Nie - odpowiedziała panna Hastings. - Nie chcę mieć nic wspólnego z policją.

- W aptece na rogu jest telefon. Masz dziesięć centów, Delio? - spytał Mason, nie odwracając się.

- Tak.

Della wstała, położyła papierosa w popielniczce i powiedziała:

- Przepraszam. Della otworzyła drzwi.

Dopiero kiedy wyszła już na korytarz i miała zamknąć za sobą drzwi, Adelle Hastings krzyknęła: „Proszę wrócić”, napiętym, ostrym głosem.

Della zatrzymała się.

- Proszę wejść - powiedziała Adelle Hastings. - Powiem panu Masonowi wszystko, co chce wiedzieć.

Della weszła do mieszkania, zamknęła drzwi i oparła się o nie, z ręką wciąż położoną na klamce. Adelle Hastings bez powodzenia próbowała powstrzymać łzy, mrugając oczami.

- Nigdy nie daje pan przeciwnikowi możliwości zachowania twarzy? - zwróciła się do Masona.

- Przykro mi, panno Hastings - odparł adwokat. - Interesują mnie wyniki. Nie dbam o metody.

- Zauważyłam - odpowiedziała. - Wie pan co? Mogłabym pana znienawidzić bez wielkiego trudu.

Mason odrzekł obojętnym, bezosobowym tonem:

- Wielu ludzi mnie nienawidzi.

- Powiem prawdę - powiedziała Adelle Hastings zmęczonym głosem. - Muszę, jestem osaczona. Robert Peltham przyszedł do mnie prawie dwa tygodnie temu. Powiedział mi, że ma pewność, iż coś jest nie w porządku w tym, jak zarządzana jest fundacja. Na początku mu nie wierzyłam, ale zwrócił moją uwagę na pewne znaczące fakty. Powiedział, że z powodów osobistych nie może podjąć inicjatywy, i zaproponował, żebym ja to zrobiła.

- I zrobiła to pani?

- Przeprowadziłam wstępne dochodzenie.

- I co?

- W nocy w ostatni poniedziałek, lub, żeby być dokładnym, we wtorek rano, około trzeciej nad ranem, pan Peltham zadzwonił do mnie. Powiedział, że musi się ze mną zobaczyć w sprawie niecierpiącej zwłoki.

- Czy wtedy doprowadziła już pani do rozpoczęcia dokładnego dochodzenia?

- Tak.

- I co się stało? - spytał Mason.

- Peltham powiedział mi, że Albert Tidings został zamordowany, a okoliczności zabójstwa mogą spowodować, iż zostanie oskarżony o morderstwo. Wydawał się bardzo zdenerwowany.

- Czy wspomniał coś o jakiejś kobiecie? - spytał Mason.

- Nie bezpośrednio, ale zrozumiałam, że nie był sam w czasie strzelaniny.

- Czy przyznał się pani, że zastrzelił Tidingsa?

- Nie.

- Co jeszcze? - spytał Mason.

- Peltham powiedział mi, że może minąć trochę czasu, zanim znajdą ciało Tidingsa, żeby pod żadnym pozorem nie przyznała się, iż wiem o jego śmierci, że muszę postępować, jakby Tidings żył, i wywierać presję, bo dla niego jest to bardzo ważne, żeby ustalono istnienie braków w księgowości, zanim opinia publiczna dowie się o morderstwie.

- Powiedział pani, dlaczego?

- Nie.

- Co mu pani powiedziała?

- Obiecałam, że tak zrobię. Był w stosunku do mnie uczciwy, bardzo prawdopodobny i bardzo szczerzy. Ufałam mu.

- Czy powiedział coś jeszcze?

- Powiedział, żebym dobrze zapamiętała, co kiedy robię - na wypadek gdyby się okazało, że będę musiała to wyjaśnić.

- Innymi słowami, spodziewał się, że może pani być oskarżona o morderstwo.

- Nie wiem. Nic nie mówił. Powiedział mi tylko to, a ja nie pytałam, dlaczego.

- Ale domyśla się pani, prawda?

Zawahalała się na chwilę, po czym obróciła się ku niemu gniewnie i rzekła:

- Tak.

- Tak lepiej - rzekł Mason. - Wtedy ustalili państwo, jak pozostać w kontakcie?

- Tak.

- Jak?

- Pan Peltham nie wyjechał z miasta. Pojechał do małego hotelu i wynajął pokój na nazwisko Bilback. Jestem z nim w kontakcie.

- Przez telefon?

- Przez telefon i osobiście.

- Co się stało wczoraj wieczorem?

- Poszłam, żeby się z nim zobaczyć - odpowiedziała.

- Był u siebie w pokoju?

- Tak.

Mason spojrzał na Delię Street.

- Czy zadzwoniła pani do niego, potem jak przeczytała pani gazetę dzisiaj rano? - spytał.

- Oczywiście.

- I co?

- Powiedziano mi, że nie widziano pana Bilbacka dzisiaj rano, i że nie ma go w jego pokoju.

- Zadała pani sobie wiele trudu, żeby zmusić mnie do działania po omacku - powiedział Mason.

Uśmiechnęła się.

- Próbowałam chronić pana Pelthama. Myślę, że w tych okolicznościach potrafi pan to zrozumieć.

- To jedyny powód?

- Ależ tak, oczywiście.

- W poniedziałek wieczorem pan Tidings był umówiony z kobietą. Z kobietą, która mogła narobić mu mnóstwo kłopotów. Kiedy wychodził z biura, śpieszył się na to spotkanie.

Jej twarz pozostała nieprzeniknioną maską.

- Proszę powiedzieć nam o tym spotkaniu, panno Hastings - powiedział Mason.

- Nie rozumiem.

- Ostrzegam panią po raz ostatni - powiedział Mason. Mrugnęła oczami, żeby powstrzymać łzy.

Mason spojrział na zegarek.

- Ma pani dokładnie trzydzieści sekund - powiedział.

Po dziesięciu sekundach odezwała się głosem łamiącym się od napięcia:

- Widziałam się z nim.

- Gdzie? - spytał Mason.

Znowu zapadła cisza. Po chwili powiedziała:

- Tutaj.

- Nie tutaj - powiedział Mason. - Na rondzie koło domu pani Tidings. Poprosił, żeby pani tam przyjechała. Nie chciał, żeby go widziano, jak przychodzi do pani mieszkania. Wcześniej oskarżyła go pani o braki finansowe w fundacji. Powiedział, że wszystko wyjaśni, kiedy się spotkacie.

Zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

- Gdzie się spotkaliście? - powtórzył adwokat.

- Tutaj.

Mason ponownie zgiął ramię, aby spojrzeć na zegarek.

- Trzydzieści sekund - powtórzył.

W pokoju zapadła nieprzyjemna cisza. Po dwudziestu pięciu sekundach Adelle Hastings poruszyła się i głęboko wciągnęła powietrze, jakby chciała coś powiedzieć, po czym zacisnęła znowu usta w upartym milczeniu.

Mason wstał.

- Chodźmy, Delio - powiedział i przytrzymał drzwi, żeby puścić ją przodem. Obrócił się w kierunku nieruchomej postaci Adelle Hastings, siedzącej w milczeniu w fotelu.

- Proszę pamiętać, że dałem pani szansę - rzekł. Zamknął za sobą drzwi.

### **Rozdział 12**

Mason otworzył drzwi kancelarii i powiedział do Delii:

- Zajrzyj do sekretariatu. Zobacz, kto tam siedzi, i powiedz Gertie, że jestem u siebie, ale nie chcę z nikim się widzieć.

Della wymknęła się cicho za zewnątrz. Kiedy wróciła, Mason palił papierosa.

- Co nowego, Delio? - spytał.

Przyłożyła palec do ust, nakazując milczenie. Podeszła do niego na palcach i powiedziała cicho:

- Ktoś jest w bibliotece.

Zaskoczony Mason uniósł brwi.

- Kto?

- Nie wiem - powiedziała. - Nie podał nazwiska. Powiedział, że musi się z tobą zobaczyć i nie może czekać w sekretariacie. Gdy Gertie spytała go o nazwisko, przepchnął się obok niej, wszedł do biblioteki i kazał jej zająć się papierami. Zezłościła się, ale ponieważ wydał się jej kimś z lepszego towarzystwa, postanowiła go nie wyrzucać.

- Delio, to jest Robert Peltham.

Podszedł do drzwi, otworzył je gwałtownym ruchem i powiedział:

- Dzień dobry, panie Peltham. Proszę wejść.

Peltham, który siedział przy długim stole i nerwowo zaciągał się papierosem, skoczył na równe nogi i szybko podszedł do Masona.

- Co się, do diabła, dzieje? - spytał. - Skąd się wzięło moje palto, samochód i...?

- Nie śpieszył się pan - odparł adwokat.

- Nie rozumiem?

- Musiałem się z panem zobaczyć - wyjaśnił Mason. - Próbowałem zwykłych sposobów, żeby pana tu ściągnąć, ale nie wyszło, więc posunąłem się drastycznych środków.

Peltham wlepił w niego wzrok.

- To znaczy, że pan... - głos uwiązł mu w gardle.



- To Della Street, moja sekretarka - rzekł adwokat. - Nie mam przed nią żadnych tajemnic. Proszę wejść i usiąść. Dlaczego unikał pan spotkania ze mną?

- Uważałem, że byłoby to nierozsądne.

- Dlaczego nie wyłożył pan wszystkich kart na stół za pierwszym razem?

- Jak to?

- Oczywiście - stwierdził Mason z sarkazmem. - Pan i pańska przyjaciółka w masce. Pan i pańskie tajemnicze aluzje, że coś się wydarzy. Dlaczego, do diabła, nie powiedział mi pan, że Tidings nie żyje?

- Bo nie wiedziałem.

- Bzdura - powiedział Mason. - A dlaczego nie powiedział mi pan, że mam reprezentować panią Tidings? Być może wtedy udałoby się zrobić coś sensownego, zamiast kręcić się w kółko.

- Świetnie pan sobie radzi - odrzekł Peltham.

- Tak się panu tylko wydaje - odpowiedział Mason. - Teraz proszę posłuchać. Mamy mało czasu. Ma pan robić dokładnie to, co mówię... Pan nie żyje, rozumie pan?

- Nie rozumiem.

- Nie żyje pan. Zamordowano pana.

- Panie Mason, nie rozumie pan? - rzucił zniecierpliwiony Peltham. - Chciałem, żeby chronił pan panią Tidings. Ja...

- Chronię ją - rzekł Mason i dodał znacząco - teraz.

- A przedtem nie?

- A jak miałem to zrobić? Ścigałem duchy. Dlaczego, do diabła, zgodził się pan, żebym reprezentował Byrl Gailord?

- Dlaczego nie? Wiem o niej wszystko. Tidings był powiernikiem jej funduszu, w którym narobił straszego bałaganu. Pewnie się okaże, że na jej koncie są olbrzymie braki.

- Skąd pan to wszystko wie? - spytał Mason.

- Od pani Tump. Jest dla niej kimś w rodzaju matki chrzestnej. Wyciągnęła ją z Rosji, przywiozła tutaj i pomyślała, że może... to znaczy, zrobiła dla niej, co mogła. Potem ktoś ją niepostrzeżenie zabrał z sierocińca...

- I pomyślał pan, że nie będzie żadnej sprzeczności w reprezentowaniu interesów Byrl Gailord i pani Tidings?

- Tak.

- Czy zna pan Byrl osobiście?

- Nie. Słyszałem o niej od pani Tump.

- Wobec tego - rzekł Mason - nie wie pan, że stara się zaistnieć w towarzystwie, w którym obraca się Adelle Hastings, i że próbuje usidlić młodego człowieka, którym ona się interesuje.

- Byrl Gailord! - wykrzyknął Peltham. Mason kiwnął głową.

- Nie, to nie możliwe. Adelle Hastings nie powiedziała mi o tym ani słowa.

- Jest ostatnią osobą, która wspomniałaby o tym komukolwiek, a szczególnie panu.

- Ależ pańskie pytanie przekazała mi właśnie Adelle Hastings.

- Dobrze, nie będziemy o tym dyskutować. Co się stało, to się nie odstanie. Kim jest dla pana Nadine Tidings?

- A jak pan myśli?

- Nie jestem od myślenia - powiedział Mason. - Chcę wiedzieć. Peltham spojrzał mu prosto w oczy i odpowiedział krótko:

- Jest dla mnie najważniejszą osobą na ziemi.

- A Adelle Hastings?

- Nie rozumiem.

- Kim ona jest dla pana?

- Cóż, nikim specjalnym, po prostu znajomą, to wszystko. Świetna dziewczyna i zawsze ją lubiłem, ale nic więcej.

- Czy wie o pańskim uczuciu do pani Tidings?

- Oczywiście, że nie. Nikt o tym nie wie. Zadałem sobie wiele trudu, żeby utrzymać to w absolutnej tajemnicy.

- Dlaczego? - spytał Mason.

- Nie rozumie pan, co stałoby się, gdyby to wyszło na jaw? Byłem w zarządzie fundacji wraz z Tidingsem, a on mi nie ufał. Były braki i Tidings oskarżyłby mnie, że chcę go zrobić i wsadzić do więzienia, żeby móc ożenić się z jego żoną. Nadine chciała rozwodu, ale on miał na nią tyle, że mógł publicznie zszargać jej reputację.

- A pan był na tyle niemądry, że pomyślał, iż pański plan ją ochroni? - powiedział adwokat.

- Oczywiście, że tak. Przecież tak się stało.

- Nie - rzucił krótko Mason. - Policja aresztowała panią Tidings godzinę czy dwie temu. Chcą ją oskarżyć o morderstwo z premedytacją.

- Nie rozumiem, jak mogą ją z tym łączyć. Ma solidne alibi.

- Powiem panu, gdzie zrobił pan poważne błędy - powiedział Mason. - Kilka osób odkryło, że Tidings nie żyje i gdzie jest jego ciało. Po dokonaniu tego odkrycia każda z nich postanowiła się zabezpieczyć, wymyślając sobie alibi.

- Więc? - spytał Peltham.

- Prokurator okręgowy ma je wszystkie przed sobą. To jak łamigłówka. Nikt poza mordercą nie wie, kiedy dokładnie Tidings został zamordowany. Wszyscy pomyśleli, że zginął tuż przed momentem, gdy odkryli jego ciało... Tak więc wystarczy, że prokurator przyjrzy się alibi i wybierze to, które obejmuje najdłuższy okres. To mu wystarczy. Alibi pani Tidings rozciąga się na okres od poniedziałkowego popołudnia... Może się pan domyślić, co to znaczy.

Peltham zmarszczył brwi.

- Powiem panu, co prokurator powie ławie przysięgłych - rzekł Mason. - Nawiązał pan w tajemnicy romans z panią Tidings. Spotykaliście się potajemnie jako państwo Hushman. Pan...

- Dobry Boże - wykrzyknął Peltham. - Kto jeszcze to wie?

- Prokurator - rzekł Mason. - Ma go pan za durnia? Przerażony Peltham patrzył na niego w milczeniu.

- Tidings wszystkiego się dowiedział - mówił Mason. - Pan...

- Ależ nie. Przysięgam, że nic nie wiedział.

- Mówię to, co prokurator powie przysięgłym - odrzekł Mason. - Spotykał się pan w tajemnicy z Nadine Tidings w jej domu, choć Albert Tidings wciąż był jej legalnym mężem. Postanowił pan go zabić i w ten sposób pozbyć się go oraz zapewnić sobie jego milczenie, chroniąc dobre imię Nadine i swoje oraz otwierając sobie drogę do małżeństwa.

- Przysięgam, że to nieprawda. Przysięgam na wszystkie...

- Niech pan sobie daruje - rzucił Mason. - Mnie nie musi pan przekonywać.

- Ależ ja chcę pana przekonać.

- To nie ma sensu - odpowiedział Mason. - Kupiłem całość. Mam nadzieję, że Nadine Tidings jest niewinna, i będę ją reprezentował bez względu na to, czy tak jest, czy nie. Taki zawarliśmy układ, a ja dotrzymuję umów... Ale kiedy to się skończy, jeżeli ktoś mi zaproponuje, żebym znowu działał po omacku, sam zgłoszę się do domu wariatów. Włożył pan do pułapki przynętę o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Wtedy pewnie nie wiedział pan, że to pułapka. Ja też nie. I wpadliśmy: ja, pan, Nadine Tidings... Musimy się z niej wydostać. Najważniejsze, żeby prokurator myślał, że pan nie żyje, i żeby tak myślał zabójca Alberta Tidingsa.

- Dlaczego?

- Nie rozumie pan?

- Nie.

- Dobrze - powiedział Mason. - Nie musi pan. Spowodowałem, że pan nie żyje, a pańskim zadaniem jest pozostać martwym.

Mason zwrócił się Delii Street.

- Delio, ten człowiek nie żyje. Zabierz go stąd i pochowaj gdzieś, gdzie będę mógł go znaleźć.

- Dokąd mam go zabrać i kiedy? - spytała.

- Wyprowadź go z budynku. Zdaję się na twoja pomysłowość. Ty...

Zadzwoił telefon na biurku Masona. Adwokat zmarszczył brwi, zirytowany. Della Street szybko podniosła słuchawkę:

- Nie dzwoń do nas, Gertie, chyba że to coś... Ach, tak? Spojrzała na Masona.

- Paul Drake - powiedziała. - Mówi, że to ważne. Mason chwycił słuchawkę.

- Nie mam czasu rozmawiać - powiedział Drake. - Właśnie się dowiedziałem. Chcą cię zrobić.

- Co ty mówisz?

- Twoje klientki cię zdradziły - ciągnął Drake. - Chcą nas wszystkich zaciągnąć do prokuratora. Chcą...Właśnie idą, Perry.

Mason usłyszał, jak Drake odkłada słuchawkę. Adwokat obrócił się do Deli.

- Są w budynku. Musisz wyprowadzić niepostrzeżenie Pelthama z biura, kiedy przyjdą po mnie... Stańcie koło drzwi prowadzących na korytarz. Kiedy usłyszycie, że wchodzi policjanci, wymknijcie się z kancelarii. Zatrzymam ich tu. Miejmy nadzieję, że nie obstawili wejścia do budynku...Mason usłyszał hałas w sekretariacie i Gertie protestującą piskliwym głosem.

- Tam nie wolno wchodzić. Nie wolno przeszkadzać panu Masonowi. Nie...

Mason kiwnął Delii głową. Della chwyciła Pelthama a za ramię, pociągnęła w kierunku drzwi i otworzyła je.

Drzwi z sekretariatu otworzyły się na cal, po czym zamknęły się znowu. Z drugiej strony dobiegł odgłos przepychanki Mason kiwnął głową.

- Teraz - powiedział.

Della i Peltham wymknęli się na korytarz. Della cicho zamknęła za sobą drzwi.

Drzwi od sekretariatu otworzyły się gwałtownie. Sierżant Holcomb powiedział: „Odejdź stąd, czarownico”, i odsunął obfitą postać Gertie od drzwi. Ubrany po cywilnemu policjant chwycił ją za ramiona, obrócił i obydwaj mężczyźni przecisnęli się do kancelarii.

Mason siedział przy stole, czytając książkę prawniczą. Podniósł wzrok i zmarszczył brwi, niezadowolony z najścia.

- Co to ma, do diabła, znaczyć? - spytał. Sierżant Holcomb rzekł z triumfem:

- To znaczy, że o jeden raz za dużo przespacerował się pan po cienkiej linie. Tym razem lina pękła.

- O czym pan mówi?

- Otrzymałem odpowiednie instrukcje, Mason. Albo pan pójdzie ze mną do prokuratora i odpowie na kilka pytań, albo wsadzę pana do więzienia.

- Nie pozwolę się szantażować - powiedział z oburzeniem Mason, odsuwając krzesło i wstając.

- Jaki szantaż? - powiedział Holcomb. - Jeżeli o mnie chodzi, to mam nadzieję, że pan odmówi. Chcę pana aresztować i wsadzić do ciupy. Prokurator złapał pana na gorącym uczynku, ale ponieważ jest pan prawnikiem, powiedział, że da panu szansę wszystko wyjaśnić - jeżeli pan zechce.

Mason zamilkł, patrząc spod zmarszczonych brwi na sierżanta, i w myślach obliczał, ile czasu zajmie Delii zabranie Pelthama windą na dół i dojście do tylnego wyjścia z budynku.

- Czy ma pan nakaz? - spytał.

Na twarzy sierżanta Holcomba pojawił się wyraz triumfu.

- Miałem nadzieję - powiedział - że właśnie o to pan zapyta... Nie, panie Mason, nie mam nakazu, ale zdobędę go w dziesięć sekund. Maszyna poszła w ruch.

Podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i rzucił:

- Proszę mnie połączyć z biurem prokuratora. Mason wzruszył ramionami.

- Dobrze - powiedział. - Pójdę do prokuratora.

- Za późno - rzucił sierżant.

W głosie Masona pojawił się chłód.

- Nie sądzę - rzekł. - Nie odmówiłem pójścia z panem. Spytałem tylko, czy ma pan nakaz.

Holcomb opuścił słuchawkę.

- Dobra, Mason - powiedział. - Idziemy.

Najwolniej jak mógł, adwokat sięgnął po kapelusz i płaszcz, po czym stwierdził:

- Muszę zawołać recepcjonistkę i powiedzieć jej, że wychodzę.

- Tylko szybko - rzucił sierżant.

Mason wezwał Gertie do kancelarii. Wciąż dyszała ciężko po walce i patrzyła z wrogością na policjantów.

- Gertie, wezwano mnie na przesłuchanie do prokuratury. Zapisz, co trzeba zrobić w sprawach kilku klientów.

- Streszczaj się pan - rzucił sierżant.

- W sprawie Smith przeciwko Smith załatw złożenie zeznania - powiedział Mason.

Skonsternowana Gertie na chwilę zmarszczyła czoło. Kiedy zrozumiała, że Delii nie ma w kancelarii, i przypomniała sobie, że nie istnieją akta sprawy Smith przeciwko Smith, odezwała się kompetentnym głosem:

- Oczywiście, panie Mason. Coś jeszcze?

- Tak. W sprawie Jones przeciw Raglund trzeba jutro złożyć zażalenie. Gdybym nie wrócił i nie był w stanie tego zrobić, załatw przedłużenie terminu.

- Tak, panie Mason. A jeżeli termin nie zostanie przedłużony?

- Wtedy załatw decyzję sądową - odpowiedział adwokat.

- Jak mam to zrobić? Sierżant Holcomb odezwał się:- Chodźmy. Będzie pan mógł do niej zadzwonić, kiedy prokurator z panem skończy.

- To są ważne rzeczy - odrzekł Mason. - Nie mogę przegrać sprawy przez zaniechanie.

- Będzie pan mógł zadzwonić. Idziemy. Nie mamy czasu. Prokurator czeka.

Mason zwrócił się do Gertie:

- Po prostu wyjaśnij okoliczności sędziemu. W sprawie Hortense przeciw Wiltfong oddaj zaliczkę. Wyjaśnij panu Hortense, że nie będę mógł zająć się jego sprawą. Zrób to, jeżeli nie wrócę do piątej, albo...

Sierżant Holcomb ruszył w kierunku Masona.

- Nie będzie pan przecież dyktował instrukcji, jak prowadzić całą praktykę. O co panu chodzi? Chce pan zyskać na czasie?

Mason zwrócił się do Gertie:

- To wszystko, Gertie... Panowie, idziemy.

### ***Rozdział 13***

Perry Mason wszedł za sierżantem Holcombem do poczekalni biura prokuratora okręgowego. Tył zabezpieczał ubrany po cywilnemu policjant.

W środku Paul Drake siedział koło policyjnego detektywa.

- Cześć, Paul - powitał go Mason, udając zaskoczenie. - O co tu chodzi?

Drake wstał.

- Nic mi nie powiedzieli.

Sierżant Holcomb zwrócił się do adwokata.

- Idziemy, Mason. Prokurator czeka. Drake spontanicznie wyciągnął rękę.

- Perry - powiedział - bez względu na to, co mówią, jestem po twojej stronie. Nigdy nie uwierzę, że stosujesz jakieś nieuczciwe metody.

- Dzięki - odparł Mason, ściskając rękę Paula, i poczuł złożoną kartkę papieru, którą Drake ukradkiem włożył mu w dłoń.

- Idziemy - niecierpliwie odezwał się Holcomb, stojąc w podwójnych drzwiach prowadzących do biur prokuratury.

- Panowie, tylko nie padajcie sobie w objęcia - wtrącił się detektyw siedzący koło Drake'a. - Wystarczy.

Mason odwrócił się i niedbale włożył prawą dłoń do kieszeni spodni.

- Tędy - wskazał Holcomb.

Weszli do długiego korytarza, w którym były biura zastępców prokuratora. Na samym końcu, na mahoniowych drzwiach widniała tabliczka „Hamilton Burger, Prokurator Okręgowy”.

- Czekaj na nas - powiedział sierżant i otworzył drzwi. Mason wszedł za nim, a policjant oparł się plecami o ścianę koło wejścia, wykonawszy zadanie doprowadzenia prawnika na miejsce.

Automat z trzaskiem zamknął drzwi.

Za biurkiem siedział Hamilton Burger, osobnik o szerokiej klatce piersiowej i grubym karku, sprawiający wrażenie kogoś o wielkiej sile fizycznej i nieustępliwości buldoga.

- Dzień dobry, panie Mason - przywitał się. - Proszę usiąść.

Mason kiwnął głową i rozejrzał się. Przy stoliku siedział reporter, przed którym leżał otwarty notatnik. Kartka była do połowy zapisana pismem stenograficznym, zapewne ze sprawozdaniem z rozmowy ze świadkiem. Pod ścianą siedział Carl Mattern, wyglądając jak ktoś absolutnie przekonany o swojej racji. Obok niego siedziała pani Tump, patrząc na Masona nieprzejednanym wzrokiem. Byrl Gailord, siedząca koło niej, podniosła zapłakane oczy i spojrzała na niego z urażoną godnością. Na jej twarzy widać było rozmyte łzami plamy makijażu rozmazanego mokrą chusteczką.

- No, dobrze - spytał adwokat - o co chodzi?

- Mam podstawy, żeby wystawić nakaz aresztowania pana - odezwał się Hamilton Burger. - Ponieważ jednak jest pan prawnikiem i dotychczas cieszył się pan dobrą opinią, postanowiłem dać panu możliwość wyjaśnienia pańskiego postępowania.

- Dziękuję panu - rzekł Mason z lodowatą uprzejmością.

- Pragnę dodać - kontynuował Burger - że dobra opinia na pański temat, moim zdaniem, wynika z pomyślnego zbiegu okoliczności. Od dawna ostrzegałem, że pańskie metody wpędzą pana w kłopoty.

- Proszę sobie darować ten wykład - odparł Mason. - Mam własne metody i własną etykę i biorę za nie osobistą odpowiedzialność. Słucham.

- Proszę usiąść - rzekł Hamilton Burger.

Mason zajął krzesło stojące najbliżej biurka prokuratora, tylko o kilka stóp od reportera.

- Ostrzegam pana, Mason, że ta rozmowa będzie ujawniona opinii publicznej i że cokolwiek pan powie, może być użyte przeciwko panu. Nie musi pan nic mówić, jeżeli pan nie chce. Jednakże wszelkie pańskie wypowiedzi będą traktowane jako niewymuszone i wypowiedziane z własnej woli, bez przymusu oraz bez żadnych obietnic z naszej strony.

- Niech pan da sobie spokój z tą formułką - rzucił Mason. - Przejdźmy do konkretów. Znam procedurę.

Burger kiwnął głową Matternowi

- Panie Mattern - zaczął - proszę powtórzyć panu Masonowi wszystko to, co powiedział pan mnie. Może pan ograniczyć się do najważniejszych szczegółów.

- Po co? - odrzekł Mattern. - On to wszystko wie.

- Niemniej chcę, żeby pan to powtórzył - odparł Burger. Mattern uniósł oczy i popatrzył na Masona oskarżycielskim wzrokiem. Odezwał się pewnym głosem, starannie wymawiając wyrazy:

- Byłem sekretarzem pana Tidingsa. W zeszły wtorek rano pan Mason przyszedł do biura.

- O której? - spytał Mason.

- Bardzo proszę nie przerywać świadkowi, panie Mason - odezwał się Hamilton Burger. - Później będzie pan miał możliwość obrony. Chcę tylko, żeby był pan świadomy informacji, które mi przekazano. To nie jest czas na poddawanie świadka krzyżowemu ogniowi pytań.

- Jeżeli chce mnie pan o coś oskarżyć - stwierdził Mason - i spodziewa się pan, że odpowiem na oskarżenie, muszę znać szczegóły. Dalej, Mattern.

Zirytowany Burger zmarszczył brwi.

Mattern ze wzrokiem wciąż utkwionym w Masona, ciągnął tym samym monotonnym głosem.



- Pan Mason powiedział mi, że panu Tidingsowi wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Nie wyjaśnił, jaki. Powiedział, że zgodnie z jego wiedzą pan Tidings nie żyje, a on sam reprezentuje Byrl Gailord, beneficjentkę funduszu powierniczego, którym zarządzał pan Tidings. Powiedział, że wie, iż Tidings zamierzał dokonać zakupu akcji Western Prospecting Company, i że sfinalizowanie zakupu jest bardzo korzystne dla jego klientki, bo jest to dobra inwestycja. Zależało mu, żeby wyglądało, iż pieniądze przeznaczone na zakup - pięćdziesiąt tysięcy dolarów - pochodzą z funduszy Tidingsa.

- Czy powiedział, że gdyby policja była przekonana, iż zgon Tidingsa nastąpił później, niż to się rzeczywiście stało, byłoby to w interesie jego klientów? - spytał Hamilton Burger.

- Nie dokładnie tymi słowami - odpowiedział Mattern, marszcząc brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. - Chyba powiedziałem już panu, co powiedział, tak dokładnie, jak pamiętam.

- Cóż, proszę mi przypomnieć - rzekł Burger.

- Powiedział, że z powodów, których nie będzie mi wyjaśniał, byłoby bardzo korzystne dla jego klientów, gdyby wyglądało na to, że czas zgonu przypadł na okres po dwunastej w południe we wtorek.

- Czy powiedział „klienta” czy „klientów”? - spytał Burger.

- Klientów. Pamiętam to dokładnie. - odpowiedział Mattern.

- Ale nie wyjaśnił, czy klienci to Byrl Gailord i ktoś jeszcze?

- Nie, ale pamiętam, że użył słowa „klientów” - w liczbie mnogiej.

- Dobrze - rzekł Burger - proszę dalej.

Czując na sobie wrogie spojrzenie pani Tump i nieme oskarżenie Byrl Gailord, Mason niedbale wyciągnął z kieszeni papierośnicę. Wziął papierosa i zaczął szukać zapalek. W trakcie poszukiwań udało mu się wyjąć z prawej kieszeni spodni złożoną kartkę, którą dostał od Drake'a. Zapalił papierosa. Gdy Mattern podjął swoje zeznania, Mason ukradkiem przeczytał wiadomość wypisaną atramentem na wąskim pasku papieru. Słowa były proste i rzeczowe: „Freel zamieszkał w hotelu St. Germaine jako Herkimer Smith z Shreveport, Luizjana”.

Mason przełożył zapalną do lewej ręki i wrzucił ją do popielniczki. W tym czasie włożył niedbale prawą rękę z kawałkiem papieru do bocznej kieszeni marynarki.

Mattern kontynuował:

- Pan Mason powiedział mi, że według zasad prawa regulującego udzielanie upoważnień po śmierci Tidingsa nie wolno mi było sfinalizować transakcji, ale jego klienci chcieli, żeby została dokonana, i że byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby

wyglądało na to, że tak się stało, zanim Tidings umarł. Obiecał, że jeżeli będę z nim współpracował, już po wszystkim da mi dziesięć tysięcy dolarów.

- Czy zgodził się pan? - Spytał Burger.

- Najpierw tak - odpowiedział Mattern. - Wiadomość bardzo mnie poruszyła i byłem zaskoczony, że człowiek o takiej pozycji jak pan Mason zaproponował mi coś takiego.

- Czy podzielił się pan z nim swoimi wątpliwościami?

- Tak. Powiedziałem mu, że nie mogę tego zrobić.

- Jak zareagował pan Mason?

- Pan Mason podkreślił, że Tidings nie żyje, nie przywrócimy go do życia i że tak będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, a szczególnie dla jego klientów...

- I użył tych słów w tym kontekście i w liczbie mnogiej? - spytał Burger.

- Tak jest.

- Proszę dalej.

- I że byłoby o wiele lepiej dla jego klientów, gdyby wyglądało na to, że pan Tidings zginął po dwunastej w południe. Spytał mnie, czy pan Tidings rzeczywiście przygotował czek bankowy na sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów na zakup akcji. Potwierdziłem to. Wtedy pan Mason zaproponował, że zadzwoni do mnie później, i że mam powiedzieć jego sekretarce, że pan Tidings przebywa w biurze i jest gotów rozmawiać z panem Masonem. Mason powiedział, że wtedy on weźmie słuchawkę i będzie rozmawiał ze mną, ale będzie udawał, że rozmawia z Tidingsem. Miałem też informować wszystkich, którzy zadzwoniliby do pana Tidingsa, że siedzi w biurze, ale jest zajęty i nie można mu przeszkadzać. Ja miałem sfinalizować transakcję, jakby Tidings żył, i przysiąc, że zjechałem z nim windą. Potem, żeby zapiąć wszystko do końca, miałem twierdzić, że Tidings zadzwonił do mnie i spytał, czy wszystko poszło zgodnie z planem.

- I obiecał panu za to dziesięć tysięcy dolarów? - spytał Burger. - Tak.

- Czy otrzymał pan te pieniądze?

- Tak.

- W jakiej formie?

- W banknotach pięćdziesięcio- i studolarowych.

- Co pan zrobił z pieniędzmi?

- Wpłaciłem do banku.

- Do banku, w którym ma pan konto?

- Nie, do innego. Poszedłem do banku, gdzie nikt mnie nie znał. Powiedziałem, że chcę założyć konto, i wpłaciłem pieniądze pod fikcyjnym nazwiskiem.

- Jakim?

- Anthony Blake.

- Czy powiedział pan o tym komuś?

- Nie... Dopiero panu dzisiaj rano. Burger spojrział na adwokata.

- No, dobrze, Mason. Co ma pan do powiedzenia?

- Chcę mu zadać kilka pytań - odpowiedział Mason.

- To nie jest odpowiedni czas ani miejsce - rzekł Burger. - Nie jesteśmy w sądzie.

Chciałem tylko wyłożyć karty na stół i uświadomić panu, jakimi informacjami dysponuję.

Mason puścił to mimo uszu i odezwał się do Matterna:

- Mattern, przypuszczam, że prokurator dowiedział się o nowym koncie i poprosił cię o wyjaśnienia.

- Ależ skąd! - odrzekł Mattern z oburzeniem. - Nikt nie wiedział o tym koncie. Sumienie nie pozwoliło mi milczeć i końcu sam przyszedłem do prokuratora i wyjaśniłem wszystkie okoliczności.

Mason zwrócił się do Hamiltona Burgera:

- Widzi pan, co się stało. Mattern wiedział, że Tidings nie żyje. Wyznał mi, że odkrył ten fakt wcześniej we wtorek rano. Bolus, prezes Western Prospecting Company, planował pozbyć się akcji. Zaproponował Matternowi dziesięć tysięcy, jeżeli transakcja zostanie zrealizowana. Zwróciłem Matternowi uwagę, że z pańskimi możliwościami będzie pan w stanie to odkryć. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę i wymyślił tę historię.

- To kłamstwo - odezwał się Mattern.

- To się nie trzyma kupy, Mason - rzekł prokurator. - Rozmawiałem z Emery'ym Bolusem, prezesem Western Prospecting Company. To prawda, że sprzedał własne akcje, ale nic nie wie o wypłacie dziesięciu tysięcy i nie miał pojęcia, że Tidings był martwy w czasie dokonywania transakcji. Nie uda się panu uciec od konsekwencji własnego postępowania, wciągając w to innych.

- Bolus rozmawiał z prawnikiem - ciągnął Mason. - Dowiedział się, że zgodnie z zasadami prawa regulującego udzielanie upoważnień transakcja została unieważniona, gdyby wyszło na jaw, że Tidings nie żył, chyba żeby okazało się, iż to ja zezwoliłem na transakcję jako adwokat Byrl Gailord. W takim wypadku Mattern działałby z upoważnienia beneficjentki, a nie powiernika. Przy takim obrocie sprawy Bolus mógłby twierdzić, że transakcja jest prawomocna. Wymyślili tę historię, żeby uwiarygodnić sprzedaż akcji, które prawdopodobnie są bezwartościowe. Bolus dał Matternowi jeszcze pięć czy dziesięć tysięcy,

żeby opowiedział tę historię. Dzięki temu Mattern może wybrnąć z sytuacji i wyjaśnić swoje postępowanie, a Bolus może zatrzymać pieniądze.

- To jest sprytne posunięcie mające na celu przeinaczenie faktów - rzekł zimno Burger. - Niestety, dowody przeczą pańskiej wersji.

- Dobrze - powiedział Mason - spróbuję z innej strony. Zacznijmy od pani, pani Tump. To pani zaangażowała mnie, żebym pilnował interesów Byrl Gailord. Proszę powiedzieć, kiedy pani do mnie przyszła.

- We wtorek rano - odpowiedziała pani Tump - około dziesiątej, ale pan wiedział, że mam zamiar przyjść i prosić o reprezentowanie Byrl.

- Skąd miałem to wiedzieć? - spytał Mason. - Nie mam zdolności telepatycznych.

- Wiedział pan od Roberta Pelthama - odrzekła. - Jest pan z nim w kontakcie od początku tej sprawy. Nie zaprzeczy pan, że Robert Peltham był u pana w poniedziałek w nocy i zaangażował pana.

- Dlaczego pani przypuszcza, że tak było? - spytał Mason.

- Powiedział mi...

- Proszę nie odpowiadać na to pytanie - przerwał jej Burger. - Nie jesteśmy tu po to, żeby dać panu Masonowi okazję do zdobycia informacji, z której ułoży potem sensowną historię.

- Jaki jest więc cel tego przesłuchania? - spytał adwokat.

- Nakreślenie okoliczności, z których wynika, że mam obowiązek wystawić nakaz aresztowania pana na podstawie oskarżenia o porozumienie przestępcze i matactwo.

- Matactwo? - spytał Mason.

- W sprawie morderstwa Alberta Tidingsa.

- Rozumiem - spokojnie rzekł Mason. - A komuż to miałem udzielić pomocy w dokonaniu przestępstwa?

- Robertowi Pelthamowi.

- Ach, więc to on jest teraz mordercą? - spytał adwokat.

- Przecież pan wie, że tak.

- A niby skąd to wiem?

- Powiedział to panu w poniedziałek po północy lub, żeby być bardziej precyzyjnym, we wtorek rano. Spotkaliście się w pańskiej kancelarii i on pana zaangażował. Opracował pan alibi dla niego i jego kochanki. Żeby je uwiarygodnić, zależało panu, żeby wyglądało, iż Tidings żył we wtorek rano i zginął dopiero po dwunastej w południe. Wszystkie pańskie czyny na to wskazują. Poszlaki obciążają pana i w świetle zeznania Matterna uważam, że

moim obowiązkiem jest zainicjować postępowanie karne, chyba że przekona mnie pan o swojej niewinności.

- Ależ jak ja mam to zrobić? - spytał Mason. - Nie mogę zadawać pytań świadkowi, nawet nie wiem, jakie pan ma dowody. Mam związane ręce.

- Jeżeli jest pan niewinny - odrzekł Burger - nie musi poddawać pan świadka krzyżowemu ogniu pytań. Wystarczy, jeżeli po prostu opisze pan swój związek ze sprawą.

- Nie mogę tego zrobić - rzekł Mason.

- Dlaczego?

- Ponieważ ujawniłbym sprawy mojego klienta.

- Czy zaprzeczy pan, że przyjął pan Roberta Pelthama pomiędzy północą i pierwszą rano we wtorek?

- Nie podam panu żadnej informacji dotyczącej mojego klienta - odpowiedział Mason.

- W tych okolicznościach kończę przesłuchanie - powiedział Burger. - Mam dowody jednoznacznie wskazujące, że Peltham kochał żonę Tidingsa, że Tidings nie chciał zgodzić się na rozwód i dowiedział się w końcu o romansie, mimo iż utrzymywali go w tajemnicy. Tidings zginął, kiedy próbował zastawić pułapkę na kochanków.

- Kiedy?

- O jedenastej piętnaście w nocy w poniedziałek.

Mason przez kilka sekund przyglądał się dymowi wijącemu się ku górze z na wpół wypalonego papierosa.

- O jedenastej piętnaście - powtórzył w zadumie.

- Tak jest.

- Czy ktoś słyszał strzał? - spytał adwokat.

Przez chwilę wydawało się, że Burger zamierza odpowiedzieć na pytanie, lecz chwycił za słuchawkę telefonu stojącego na jego biurku:

- Czy jest tam panna Adelle Hastings?... Dobrze. Porozmawiam z nią za chwilę... I Paul Drake... Dobrze, niech czeka.

Mason powtarzał w zadumie:

- Jedenasta piętnaście... To nie pasuje. Czas zgonu nie zgadza się z faktami, które ustaliłem.

- Więc o której nastąpił zgon według pana? - spytał Burger.

- Około dziewiątej trzydzieści - odparł Mason bez wahania.

- W poniedziałek wieczorem?

- Tak.

- Nie ustosunkuję się do tego, panie Mason. Zrobię to dopiero po przesłuchaniu jeszcze jednego świadka.

- Czy świadek słyszał strzał? - spytał Mason.

- Świadek widział, jak popełniono zabójstwo - powiedział Burger zdecydowanym tonem. - Rozpoznał Roberta Pelthama jako mordercę. Rozmawiałem z nim przez telefon. Nie mam jeszcze jego podpisanego zeznania.

Mason wyciągnął długie nogi, skrzyżował je w kostkach i zaczął przyglądać się czubkom butów.

- Cóż - stwierdził - nie mam nic do dodania.

- Proszę mi powiedzieć, jak pan doszedł do tego, że zgon nastąpił o dziewiątej trzydzieści.

Mason potrząsnął głową.

- Dobrze - oznajmił Burger zdecydowanym głosem, kończąc rozmowę. - Wydam polecenie, żeby przygotowano nakaz aresztowania. Przykro mi, ale wiele razy ostrzegałem pana, że pańskie metody wpędzą pana w kłopoty.

- Czy wyznaczy pan kaucję? - spytał Mason.

- Oskarżę pana o porozumienie przestępcze.

- Nakaz nie jest jeszcze gotowy? - spytał adwokat.

- Będzie gotowy za godzinę.

- Do tego czasu nie jestem aresztowany?

- Nie mam zamiaru aresztować pana bez nakazu - odpowiedział Burger.

Mason wstał, wrzucił papierosa do popielniczki i rzekł:

- Dziękuję, że był pan na tyle uprzejmy, żeby dać mi możliwość zaprezentowania mojej wersji wydarzeń.

- Przykro mi, że nie potrafi pan podać bardziej przekonujących wyjaśnień.

- Mnie również - powiedział Mason.

- A co z nami? - odezwała się z goryczą pani Tump. - Nie może pan zmusić Byrl do zaakceptowania tej transakcji. Ona nie chce tych akcji.

- Obawiam się, że będzie musiała pani dochodzić tego w procesie cywilnym - rzekł Burger.

Pani Tump spojrzała ze złością na Masona.

- I pomyśleć, że miałam pana z uczciwego adwokata - powiedziała z pogardą.

Mason uklonił się.

- Przykro mi, pani Tump.

- Czuję się jakby wszyscy zmówili się przeciwko mnie - odezwała się Byrl płaczliwie.  
- Teraz moje pieniądze poszły na jakieś bezwartościowe akcje. A resztę pieniędzy sprzeniewierzono.

- Jest pani pewna, że akcje są bezwartościowe? - spytał Mason.

- Oczywiście, że tak - odrzekła.

- No, cóż, mam jeszcze kilka spraw - powiedział Mason.

Nie oglądając się za siebie, podszedł do drzwi i wyszedł na korytarz. Carl Mattern patrzył za nim przeciągle wzrokiem bez wyrazu.

#### ***Rozdział 14***

Mason zadzwonił z apteki na rogu.

- Cześć, Gertie - powiedział. - Wiesz, kto mówi?

- Aha - odpowiedziała.

- Pilnują kancelarii?

- Aha.

- Telefon na podsłuchu?

- Nie.

- Dobrze - rzekł Mason. - Udawaj, że jestem twoim chłopakiem i umawiamy się na randkę.

- Dziś nie mogę - powiedziała Gertie. - Chyba będę musiała zostać w pracy. Coś się narobiło. Szef się w coś wpakował i wszędzie łązi policja. Działają mi na nerwy... Słucham?... Rozmawiam z chłopakiem. Co? Nie mogę mu powiedzieć, dlaczego nie mogę się umówić?... Akurat. Niech pan się zajmie swoimi sprawami i nie wtyka nosa w moje... Halo, Stew, chyba im się nie podoba, że rozmawiamy. W każdym razie, dziś nie dam rady.

- Della pojechała pogrzebać nieboszczyka - rzekł Mason. - Masz od niej jakieś wieści?

- Aha.

- Adres?

- Aha.

- Idź do toalety i wymknij się do telefonu, gdzie nikt cię nie usłyszy - powiedział Mason. - Zadzwonź do Delii i powiedz jej, żeby zabrała przenośną maszynę do pisania i przyjechała jak najszybciej do hotelu St. Germaine. Taksówką. Zapamiętasz?

- Dobrze, wyjątkowo tym razem - odpowiedziała Gertie - ale nie wyobrażaj sobie, że możesz mi ciągle wstawiać tę gadkę. Zawsze przyjeżdżają do ciebie jakieś kuzynki ze wsi, które chcą się rozerwać. Po co chciałeś się ze mną umówić, jeżeli wiedziałeś, że ona przyjeżdża?... Ostatnio, ile razy cię szukam, to jesteś w jakimś klubie z szalową blondynką, a

potem się okazuje, że to twoja kuzynka albo szwagierka. Masz za dużo krewnych - i to same blondynki.

Mason zachichotał i odezwał się:

- Ale przyznasz, że za każdym razem to inna. Nie denerwuj się, panuję nad sytuacją.

Mason usłyszał, jak męski głos powiedział coś do Gertie.

- Słuchaj, Stew - odezwała się Gertie. - Może to prawda. Jestem wyrozumiała, ale zaczynam mieć dość. Zadzwoń za pięć piąta i jeżeli nie będę musiała zostać w pracy, to przyjdę. A jeżeli się okaże, że to nie jest twoja kuzynka, to jej powyrywam te blond kłaki z głowy... Nie dam się robić w konia.

- Dobrze, kochanie - powiedział Mason. - Do widzenia. Wyraźnie usłyszał męski głos, który rzekł:

- Kochana, jak chcesz, to porozmawiam z tym twoim narzeczonym. Gdzie on mieszka?

Mason odwiesił słuchawkę, wyszedł, zatrzymał taksówkę i podał adres hotelu St. Germaine.

Della pojawiła się dziesięć minut później.

- Nie dało się szybciej, szefie - powiedziała. - Jak wygląda sytuacja?

- Bardzo poważnie - odpowiedział. - Wrobili mnie.

- Kto?

- Mattern.

- Ten szczur?

- Wymyślił niezłą historię - powiedział Mason.

- Sam?

- Nie, upichcił to jakiś prawnik z błogosławieństwem Bolusa. Dziesięć tysięcy przypadło, ale ciągle mają czterdzieści do stracenia i Bolus nie odda ich bez walki.

- A ty?

- Ja jestem owcą prowadzoną na rzeź.

- Po co tu przyjechaliśmy?

- Złożymy wyrazy uszanowania komuś o nazwisku Herkimer Smith, który podał, że jest z Shreveport w Luizjanie. Musimy go zaskoczyć.

- Chcesz znać numer jego pokoju?

- Tak.

Della wyciągnęła rękę. - Daj.



Wzięła od Masona monetę dziesięciocentową i podeszła do budki telefonicznej. Mason stanął w otwartych drzwiach, a Della wykręciła numer hotelowej recepcji.

- Tu dział kredytów banku Ville de Paris. Mamy przekaz pieniężny dla niejakiego pana Herkimera Smitha z Shreveport w Luizjanie, mieszkającego w waszym hotelu. Musimy to sprawdzić... Bardzo proszę.

Po chwili podziękowała i odwiesiła słuchawkę.

- Dobra, szefie. Pokój 409.

Mason dotknął ramienia Delii, dając jej znak, żeby wyszła z budki. Wyjął z kieszeni kolejną monetę i wykręcił numer Agencji Detektywistycznej Drake'a.

- Tu Mason - powiedział. - Potrzebny mi detektyw, który wygląda na twardziela i jest ostry. Szybko. Przyślijcie go do hotelu St. Germaine. Niech wejdzie do pokoju 409 bez pukania. Będę tam. Niech podniesie dwa palce, żebym wiedział, że to wasz człowiek. Ma nic nie mówić, dopóki mu nie podpowiem. Jasne?

Usłyszał potwierdzenie od sekretarki Drake'a, rozłączył się i powiedział do Delii:

- Idziemy.

Podeszli w milczeniu do windy, pojechali na czwarte piętro i Mason zatrzymał się na chwilę, żeby zorientować się w numerach pokoi. Poprowadził Delię korytarzem w prawo i zatrzymali się przed drzwiami pokoju 409. Mason zastukał.

Za drzwiami usłyszeli cieni, piskliwy głos Arthmonta A. Freela, który spytał nerwowym tonem:

- Kto tam?

- Pokojówka z ręcznikami - odpowiedziała Della ciepłym głosem.

Freel przekręcił klucz i Mason napał na drzwi ramieniem. Freel usiłował je zamknąć, lecz adwokat odepchnął je i wszedł z Delią do środka. Freel patrzył na nich przerażony.

- Cześć, frajerze - rzucił Mason. - Jak się ma kandydat do gazu? Delio, zobacz, czy nie ma nikogo w łazience. Potem usiądź przy stole.

Mason podszedł do szafy, szarpnięciem otworzył ją i spojrzał do środka. Dokładnie zamknął drzwi pokoju hotelowego i usiadł na wygodnym krześle. Sprawdziwszy łazienkę, Della przysunęła krzesło do wiklinowego stolika koło okna. Spokojnie postawiła maszynę do pisania i wkręciła w wałek dwie kartki papieru przełożone kalką. Skończywszy, usiadła ze skrzyżowanymi ramionami.

Freel obserwował ją zaniepokojony, po czym przeniósł wzrok na prawnika.

- Przykro mi, że zrobili z ciebie kozła ofiarnego - ciągnął Mason. - Osobiście, nie sądzę, że jesteś winny, ale zawsze byłeś frajerem. Myślałeś, że jesteś cwany i wysunąłeś szyję ze skorupy, akurat na tyle, żeby można było nałożyć na nią pętlę.

- O czym pan mówi? - spytał Freel.

Mason wyjął papierosa i postukał nim delikatnie o papierośnicę. Zapalił zapałkę i zaciągnął się z rozkoszą dymem.

- Kiepsko z tobą, Freel. Nigdy nie umiałeś pojąć zasad gry - Mason przerwał, żeby znowu zaciągnąć się dymem, potrząsnął ponuro głową i dodał - kiepsko.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedział Freel.

- Pewnie, że nie - zaśmiał się Mason. - Nigdy nie wiesz, co ludzie mówią. Na tym polega twój problem, Freel. Wszedłeś do gry, której nie rozumiesz, i kiedy ktoś ci każe rzucić sztony na stół, ty wywalasz wszystko, co masz. Kiepsko.

- Nie przestraszy mnie pan - powiedział Freel. - Raz się panu udało, ale już nigdy więcej.

- Pozwolisz, że spojrzę na całą sprawę chłodnym okiem prawnika - rzekł Mason. - Jestem przekonany, że tę grę wymyślił jakiś cwany adwokat.

- Pan zwariował - odrzekł Freel.

- Nie mów tego z taką pogardą - uśmiechnął się Mason. - Za trzydzieści dni twoją jedyną obroną będzie szaleństwo. Będą cię badać lekarze, a ty w pocie czoła będziesz chciał im udowodnić, że jesteś wariatem. Więc nie mów o szaleństwie z taką nonszalancją.

Widzisz, Freel. W tej sprawie mamy do czynienia z kilkoma alibi. Niektóre są niezłe. Alibi nie zmieniają się, ale czas zgonu tak. Bez przerwy skacze to tu, to tam.

Jesteś miły, mały facecik, ale masz zbyt wielki apetyt na pieniądze. Pożadasz ich, szalejesz za nimi. Przybywa ci lat i nie możesz znaleźć pracy, pracy za biurkiem, do której się nadajesz. To cię martwi, więc potrzebujesz pieniędzy, żeby zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa. Śmiechu warte, Freel. Bezpieczeństwo i ty!

Freel zaczął wykręcać palce, patrząc z lękiem na adwokata, lecz nic nie powiedział.

Mason palił spokojnie, przyglądając się Freelowi, jakby był jakimś interesującym okazem ryby w akwarium. Della siedziała bez ruchu za stołem, trzymając się na uboczu, poza świadomością Freela.

- Więc - powiedział Mason - zaproponowano ci pieniądze, żebyś przysiągł, że widziałeś, jak popełniono morderstwo. Powiedzieli ci, że Peltham nie żyje i nie zaprzeczy twoim oskarżeniom. Więc zgodziłeś się wziąć pieniądze i przysiąc, że widziałeś, jak Peltham oddał strzał. Przeoczyłeś jednak fakt, że mordercy nigdy nie zależało, żeby rzeczywiście

przypisać tę zbrodnię Pelthamowi. Jeszcze to do ciebie nie dotarło, Freel. Zabierze ci to pewnie z tydzień. Zostałeś jednak kandydatem do zajęcia miejsca w stanowej komorze gazowej i stało się to tak sprawnie, że cała operacja będzie praktycznie bezbolesna.

Przez tydzień będziesz najważniejszym świadkiem w tym stanie, a potem pojawi się Peltham ze swoim alibi i tak zostaniesz - z pętlą na szyi. Prokurator dopadnie cię i rozerwie na kawałki.

- Peltham nie żyje - odezwał się Freel ponuro. Mason roześmiał się.

- Tak ci się wydaje. Ten numer z paltem to sztuczka, która miała mu pomóc w ucieczce. Kobieta, którą kocha, jest podejrzana o to morderstwo, a on chciał uniknąć przesłuchania. Prysnał, bo nie chciał zeznawać na temat ich związku.

Freel zaczął się wiercić.

- Nic nikomu nie powiedziałem.

- Ależ tak, oczywiście, że powiedziałeś. Bąknąłeś o tym prokuratorowi, a on na tej podstawie udzielił wywiadu gazetom. Nie spodoba mu się to.

- Znowu mnie pan straszy - powiedział Freel.

- Tak myślisz? - spytał Mason. - Zastanów się. Pomyśl, biedny, dumny palancie, może coś dotrze do tej twojej tępej mózgowicy. Albert Tidings zginął, kiedy siedział w swoim samochodzie, jakiś czas potem, gdy zaczęło padać w poniedziałek w nocy. Nie umarł od razu. Tuż po jedenastej znaleziono go nieprzytomnego w aucie. Zabrano go do domu pani Tidings i położono do łóżka, gdzie zaraz umarł. W kieszeni miał rewolwer kalibru trzydzieści dwa, ale nie strzelał z niego. Nawet nie próbował go wyjąć. Na chusteczce w kieszeni płaszcza były świeże ślady szminki.

Tidings dowiedział się o Pelthamie i swojej żonie. Gdyby Peltham podszedł do samochodu, w którym siedział, wyjąłby broń. Na chusteczce nie byłoby śladów szminki. Jeżeli oczyścisz swój mózg z pajęczyn i spróbujesz przez chwilę pomyśleć o tej szmince, wiele się dowiesz. Kto go pocałował? Żona? Nienawidziła go. Nie, Freel, jest tylko jedna kobieta, którą on by pocałował, i która pocałowałaby jego. Pocałował ją i zginął. Pomyśl o tym.

Przerażony Freel wykręcał palce, trzasnęły kostki i w ciszy pokoju dźwięk ten zabrzmiał wielokrotnie głośniejsz.

Mason wyciągnął ramiona nad głowę, przeciągnął się i ziewnął.

- No, cóż - powiedział - taka to jest gra. Żyjemy i wydaje nam się, że nasze życie jest takie ważne... Chyba robię się śpiący. Rząd odbierze ci nazwisko i przydzieli numer. Potem dadzą ci nowe, miłe ubranko, zawiozą do komory gazowej i zostawią tam na piętnaście minut.

Kiedy wyjdiesz, do klapy przypną ci karteczkę i zawiozą do zakładu pogrzebowego. Dzień jak co dzień. Dla ciebie pewnie to ważne, Freel, ale tak naprawdę nie robi większej różnicy. Jesteśmy tylko kółeczkami w maszynie.

Freel polizał wargi i z trudem przełknął ślinę. Milczał.

- No, dobrze - rzekł Mason. - Bóg wie, że jesteś za to odpowiedzialny, Freel. Wiesz, dlaczego Tidings nie użył broni. Posłużył się amunicją, którą dostał od ciebie. Ty właśnie jesteś odpowiedzialny za to, co się stało, i powinieneś za to zapłacić.

Mason spojrzał na zegarek, po czym omiół twarzym wzrokiem Freela.

- Masz trzy minuty - powiedział. - Za trzy minuty wychodzę. Kiedy zamknę drzwi, będzie za późno, żebyś mógł ocalić głowę. Cała twoja nadzieja we mnie, Freel.

Freel pochylił się do przodu i rzekł głosem kogoś, kto bardzo się stara, żeby zrobić wrażenie na słuchaczu:

- Nie uda się panu mnie w to zrobić, Mason. Mówię panu, że jestem czysty.

Mason roześmiał się.

- Czysty... Ty... A to dobre. Ty durniu, przyznałeś się, że byłeś na miejscu, kiedy dokonano zbrodni.

- Naprawdę, panie Mason, ja...

Mason, wpatrzony w zegarek, gestem nakazał mu milczenie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej i potężnej szczęce wtoczył się do pokoju, zamykając stopą drzwi za sobą. Podniósł dwa palce.

Mason wstał z krzesła i serdecznym gestem chwycił dłoń mężczyzny.

- No, proszę, kapitanie - powiedział. - Dawno pana nie widziałem. Nie spodziewałem się pana. Myślałem, że przyjdzie sierżant Holcomb z Wydziału Zabójstw, żeby go aresztować. Widzę, że postanowił pan zjawić się osobiście.

- Tak - odezwał się gość głębokim, tubalnym głosem - przyszedłem osobiście.

Mason odezwał się szybko:

- Niech pan posłucha, kapitanie. Ten facet to szczur, biedny, zwiędły szantażysta wyłudający drobne sumy. Nie chciałbym, żeby oskarżono go o morderstwo. Chyba jest gotów powiedzieć prawdę. Jeżeli ją wyzna, postaram się uratować jego głowę, bo wtedy nie zostanie oskarżony o morderstwo z premedytacją. To jego jedyna szansa. Tam siedzi moja sekretarka, gotowa spisać to, co powie. Kapitanie, okażmy wyrozumiałość... bądźmy ludźmi... dajmy mu szansę. Dajmy mu sześćdziesiąt sekund. Zrobi pan to dla mnie?

Detektyw mrugnął oczami i odezwał się dudniącym basem:

- Sześćdziesiąt sekund. Robię to dla pana. Mason zwrócił się do Freela:

- Dobra, frajerze. Zdecyduj się.

Freel, który zastanawiał się podczas rozmowy między Masonem i detektywem, odezwał się piskliwym, płaczącym głosem:

- Dobrze, powiem prawdę. Jeżeli to zrobię, spróbuje mnie pan uratować?

Mason kiwnął głową.

- Obiecuję pan?

Adwokat znowu kiwnął głową.

Freel wyjął z kieszeni brudną chusteczkę i wytarł czoło.

- Co mam zrobić? - spytał.

Mason kiwnął głową w kierunku Delii.

- Powiedz jej wszystko - powiedział. - Podpisz, kiedy skończycie.

Freel spojrział na Delię.

- Wszystko zaczęło się - rozpoczął - kiedy spróbowałem szantażować Alberta Tidingsa. Najpierw chciałem sprzedać mu informację, a potem...

Ręce Delii zawisły nieruchomo nad klawiaturą, po czym opadły na klawisze i maszyna zaczęła klekotać w szybkim tempie. Gdy Freel przerwał na chwilę. Mason rzekł:

- Delio, kiedy skończycie, niech podpisze. Niech kapitan podpisze się jako świadek. Włóż to do koperty i dostarcz do „The Clarion”. Wręcz to osobiście redaktorowi naczelnemu. Zabierz ze sobą Freela.

Della kiwnęła głową i z rękami na klawiaturę spojrzała wyczekująco na Freela.

Mason odezwał się szeptem do detektywa.

- Jeżeli będzie się migał, rozerwij go na kawałki. Jeżeli będzie chciał się ulotnić, złap go za kołnierz i przytrzymaj.

- Jak mam go przytrzymać? - spytał detektyw. Mason spojrział na niego z politowaniem.

- Masz dwie ręce - nie wystarczy?

Przepchnął się obok niego do wyjścia, wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał się na chwilę. Po pięciu sekundach usłyszał szybki stukot klawiszy.

Uśmiechając się szeroko, Mason ruszył korytarzem.

## ***Rozdział 15***

Mason siedział w kancelarii rozparty w fotelu z nogami na rogu biurka i uśmiechał się szeroko do sierżanta Holcomba.

- Tym razem mam nakaz - rzekł ponuro Holcomb.

- Myślę, że prokurator już nie chce mnie aresztować, sierżancie.

- To pomyśl pan jeszcze raz.

- To była interesująca sprawa - stwierdził Mason. - Dwie czy trzy rzeczy okazały się zagadkowe, lecz w końcu nie była aż tak skomplikowana, jak się wydawało. „The Clarion” przygotowuje wydanie specjalne. Z przyjemnością pan o tym przeczyta.

- Bzdura - powiedział Holcomb.

- Freel powiedział wszystko - spokojnie kontynuował Mason. - Della Street osobiście dostarczyła jego zeznanie do gazety i przyprowadziła Freela do redakcji.

W podejrzliwych oczach sierżanta pojawiło się zainteresowanie.

- O co panu chodzi? Zwodzi mnie pan?

- Nie, podaję panu najświeższe informacje. Niech pan uważa, bo wyląduje pan na chodniku, patrolując ulice.

- Mam nakaz - powtórzył Holcomb.

- I co z tego?

- Niech pan weźmie kapelusz. Mason wyciągnął ręce, jakby trzymał w dłoniach gazetę i udał, że czyta. „Szybkość, z jaką «The Clarion» rozwiązał sprawę, wprowadziła policję w zakłopotanie. Już po tym, jak opublikowano wydanie specjalne, jednym z bardziej zabawnych obrazów był widok sierżanta Holcoma z Wydziału Zabójstw, który z uporem pozbawionego wyobraźni funkcjonariusza policji dokonał aresztowania znanego adwokata, właśnie gdy na ulicach sprzedawano wydanie specjalne ujawniające fakty. Jednakże sierżant Holcomb, ślepo wierny swoim obowiązkom, doprowadził rozbawionego Perry’ego Masona na komendę policji, przepychając się przez tłum gazeciarzy wykrzykujących nazwisko rzeczywistego mordercy”. Mason udał, że składa gazetę i odkładają na biurko.

- W ten sposób nie odwlecze pan aresztowania - rzekł Holcomb.

- Niczego nie odwlekam, sierżancie. Usiłuję wyświadczyć panu przysługę.

- Jasne, zawsze mnie pan lubił.

- Poważnie, Holcomb, nie jest pan taki zły... Jest pan uparty jak osioł i trochę mało roztropny, ale wierzy pan w to, co robi, poważnie traktuje pan swoją pracę i jest pan absolutnie uczciwy. Niech pan z niej skorzysta.

- Czyli co, na przykład? - spytał Holcomb. - Chce pan mi coś powiedzieć, Mason?

- Na przykład, szminka na twarzy Tidingsa - powiedział Mason. - To interesujący trop. W tej sprawie pojawiło się kilka kobiet, ale tylko jedna pocałowałaby Tidingsa. Tylko jedna z nich mogła podejść do niego na pustej drodze, nie prowokując go do wyjęcia broni.

- Jakiej pustej drodze? - spytał sierżant.

- Pan wie, o co mi chodzi. Tidings szukał czegoś na żonę. Czekał w pobliżu jej domu. Nadjechał samochód, a Tidings znał osoby, które nim przyjechały. Jechały za nim. Wsiadły i Tidings pocałował kobietę.

Sierżant Holcomb myślał, zmarszczywszy czoło.

- Kogo? - spytał.

- Byrl Gailord - odpowiedział Mason.

- Skąd pan to wie?

- Byrl Gailord chciała pieniędzy i pani Tump chciała pieniędzy. Tidings lubił Byrl i nienawidził pani Tump. Nie chciał rozmawiać z Byrl, kiedy była z nią pani Tump, więc poczekały na niego i pojechały za nim, kiedy wyszedł z biura. Pojechały za nim do mieszkania Adelle Hastings, ale nie udało się im z nim porozmawiać. Pojechały więc na miejsce, gdzie czekał na żonę. Tam im się udało.

Byrl pocałowała go, a wtedy podeszła pani Tump, zaczęła stawiać żądania i grozić procesem. Tidings wyśmiał ją i powiedział, że jeżeli wcieli swoje groźby w życie, ujawni, iż Byrl jest nieślubnym dzieckiem jej córki i cała opowieść o jej rosyjskim, szlacheckim pochodzeniu to bujda. Wtedy pani Tump zastrzeliła go.

- Ładna bajeczka na dobranoc - powiedział sierżant Holcomb.

- Nie, to logiczne - stwierdził Mason. - Znalazłem zwitek pieniędzy w materacu na łóżku Freela. Nie dostał tej forsy od pani Tump. Jest zbyt cwana, żeby płacić z góry. Jediną osobą, która zabawiła się w Świętego Mikołaja, był Tidings. Domyśliłem się, że Freel sprzedał informację Tidingsowi, a on nie kupiłby drogiej amunicji bez powodu.

Wiedziałem, że pani Tump nie zaangażowałaby adwokata, gdyby istniała szansa porozumienia bez prawnika. Nie zaangażowała mnie, żebym wynegocjował porozumienie, lecz po to, żeby mieć alibi. Nikt nie angażuje adwokata, żeby rozmawiał z martwym człowiekiem. To był sprytny krok, ale problem polega na tym, że wiedziałem, iż nie zapłaciłaby honorarium, gdyby miała szansę wytargować porozumienie bez płacenia.

Przegapiliście ten ślad. W laboratorium można zanalizować tę szminkę i porównać ze szminką używaną przez kobiety pojawiające się w tej sprawie.

Sierżant Holcomb zamyślił się.

- Mogliśmy to zrobić, właściwie ciągle jeszcze możemy, ale nie powstrzyma mnie to przed aresztowaniem pana.

Mason wstał i spojrzał Holcombowi prosto w oczy.

- Niech pan zrozumie - powiedział. - Jeżeli o mnie chodzi, nie interesuje mnie, co pan zrobi. Jeżeli jest pan na tyle nierozsądny, żeby zaciągnąć mnie na komendę, podczas gdy

„The Clarion” publikuje wydanie specjalne, mnie to nie zaszkodzi. To z pana będą szydzić. Nie, sierzancie, mówię panu o tym, bo chcę panu zrobić przysługę. Niech pan pójdzie do redakcji gazety, powie im, że wszystko pan wie, przejmie Freela jako świadka i pańska fotografia pojawi się w gazecie.

- Aresztuję pana - powiedział Freel.

- Proszę. I tak pańskie zdjęcie będzie w gazecie. Który podpis pan woli? „Sierżant Holcomb rozwiązuje tajemnicę morderstwa” czy „Sierżant Holcomb aresztuje znanego adwokata, podczas gdy gazeciarze sprzedają wydanie specjalne ujawniające fakty”.

- Skąd mam wiedzieć, że nie gra pan na czas, żeby prysnąć? - spytał Holcomb.

Mason spojrzał na niego i zaśmiał się.

- Miałbym uciec i zostawić praktykę, która daje mi takie dochody? Niech pan pomyśli. Ktoś go pocałował, ktoś go zabił i uciekł. Wtedy pojawili się pani Tidings i Peltham, zobaczyli, że umiera, zabrali do domu i chcieli zadzwonić po pogotowie. Tidings umarł i próbowali zatrzeć ślady. To jest jedyna teoria, która...

Otworzyły się drzwi i Della Street wpadła do kancelarii.

- W porządku? - spytał Mason.

- W porządku - odpowiedziała. - Było dokładnie tak, jak przewidziałeś. Pani Tump przekupiła go, żeby zeznał, że to Peltham. Freel sprzedał informację o Byrl Gailord, tak jak podejrzewałeś.

- Czy może udowodnić, że pani Tump popełniła tę zbrodnię?

- Nie, tylko że pani Tump go przekupiła. Mason uśmiechnął się szeroko do Holcomba.

- Lepiej niż myślałem, sierzancie - powiedział. - „The Clarion” nie odważy się bezpośrednio oskarżyć jej o morderstwo. Mogą tylko opublikować zeznanie Freela i oskarżyć ją o przekupstwo. Wie pan, na pańskim miejscu, zająłbym się Byrl Gailord. Wątpię, czy wiedziała, że pani Tump chce zabić Tidingsa, ale po morderstwie postanowiła wesprzeć swą babcię. Myślę, że gdyby bystry policjant zabrał się szybko do roboty, zanim „The Clarion” pojawi się na mieście...

Sierżant Holcomb obrócił się na pięcie, zrobił dwa szybkie kroki w kierunku drzwi, zatrzymał się i wrócił. Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę do zaskoczonego adwokata.

- Dobrze, Mason - powiedział. - Nie podobają mi się pańskie metody. Któregoś dnia posadzę pana w ciupie, ale umiem docenić dobrą detektywistyczną robotę i jako policjant potrafię stanąć po stronie faceta, który wyjaśnia zbrodnię, mimo że nie podoba mi się, jak to zrobił.

Zaskoczony Mason uściskał mu dłoń.



- Niech pan sobie nie wyobraża, że daje to panu prawo chodzenia na skróty przy następnej sprawie.

- Więc co mi to daje? - spytał Mason. W jego oczach pojawiły się iskiereki rozbawienia.

- Moją wdzięczność za podanie wskazówki na talerzu i za wykrycie mordercy. Każdy porządny gliniarz szanuje kogoś, kto potrafi to zrobić.

Mason poklepał Holcomba po ramieniu.

- Oto słowa prawdziwego mężczyzny, sierżancie. Naprzód. Sierżant jeszcze raz ruszył w kierunku drzwi. Zanim je zamknął, odwrócił się i rzekł do Masona:

- I tak nie podobają mi się pańskie metody.

- Rozumiem - rzekł Mason.

Sierżant popatrzył na adwokata błyszczącym wzrokiem.

- Pan też mi się nie podoba. Zamknął z trzaskiem drzwi.

Mason z uśmiechem odwrócił się do Delii.

- To byłoby tyle.

- Dlaczego mu to powiedziałaś? - spytała.

- Bo on potrafi przycisnąć Byrl i wydobyć z niej prawdę. Della popatrzyła na niego przeciągle.

- I ponieważ chciałeś wyświadczyć mu przysługę.

- Może - przyznał Mason.

- Nie lubi cię, szefie.

- Wiem, ale walczy, a ja lubię takich. Jak poszło w redakcji?

- Świetnie. Nie wydadzą Freela sierżantowi - wyciągają z niego wszystko, co wie.

Mason uśmiechnął się szeroko.

- Spodoba im się od pierwszego wejrzenia - rzekł. - Oddadzą mu Freela, kiedy wyjdzie wydanie specjalne.

Zadzwoił telefon. Della podniosła słuchawkę, powiedziała: „Halo”, i zakryła mikrofon ręką.

- Adelle Hastings pyta, czy może coś dla ciebie zrobić.

- Powiedz jej, żeby przyszła za piętnaście minut do Haystack Cocktail Lounge. Chcę zobaczyć jej minę, kiedy przeczyta gazetę.

Wciąż trzymając rękę na mikrofonie, Della powiedziała profesjonalnym tonem:

- Jeżeli przyjdziemy do baru za piętnaście minut, czy będziemy tam jeszcze, gdy wyjdzie „The Clarion”?

- Czuję, że spędzimy tam całe popołudnie - odparł Mason z szerokim uśmiechem.

Della odsłoniła mikrofon.

- Halo, panno Hastings - powiedziała.